

Eileen Wilks

Ślub w Las Vegas

Rozdział pierwszy

– Słyszałaś nowinę, kochanie? Jack Merriman jest w mieście.

Annie drgnęła. Poczowała lekki zawrót głowy. Unoszący się kurz sprawił, że przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Akurat stała na najwyższym stopniu drabiny w garażu pani Perez.

– Jack wrócił? – wydusiła, gdy tylko poczuła przyływ powietrza. – Jest pani tego pewna?

– Ależ tak! To wiadomość od samej Idy Hoffman. Spotkałam ją dziś rano w sklepie spożywczym. Ida od trzydziestu lat prowadzi dom Merrimanów, więc nie może się mylić. Pojawił się niespodzianie wczoraj po południu. Ida mówi, że omal nie padła z wrażenia, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła go.

– No... jak to Jack. Zawsze nieprzewidywalny. – Annie była zadowolona z siebie. W jej głosie nie było słyhać złości ani pretensji, ani też obawy, choć doznawała wszystkich tych uczuć. Ile to razy pojawiał się u niej bez uprzedzenia! – Wyobrażam sobie, jak bardzo Idę zaskoczył!

– Jeszcze jak! Była niesamowicie przejęta i wzruszona. Przecież zawsze miała słabość do tego szelmy.

To chyba nic nowego? Wszystkie kobiety, niezależnie od wieku, zawsze lubiły Jacka.

– Ida jest w siódmym niebie. Cieszy się, że będzie mu

gotować. Odkąd umarła Sybil Merriman, niewiele ma do roboty w tym wielkim, pustym domu.

Annie też tak uważała, ale teraz, wtłoczona nagle między przeszłość a teraźniejszość, prawie nie słuchała, co do niej mówi pani Perez. Skrzywiła się na widok pyłków kurzu unoszących się w wiązce światła wpadającego przez okienko. W pewnym sensie Jack był jak te pyłki kurzu – w ciągłym ruchu. Nawet gdy wszystko było w porządku, gdy nic się nie działo, on nie mógł wytrwać w jednym miejscu. Najmniejszy podmuch wiatru, a jego już niosło.

Czy nie inaczej było dwa miesiące temu, kiedy ją zostawił?

Musi wziąć się w garść. W końcu nie jest tu po to, żeby rozpamiętywać minione szaleństwa! Skierowała snop światła latarki na elektryczne kable, które właśnie naprawiała. Teraz jest dobrze. Tylko to cholerne drżenie światła. Podobnie jak jej dłoni. Zakłęła pod nosem i wyłączyła latarkę.

– Zrobione – oznajmiła i zaczęła schodzić z drabiny.

– Dziękuję, że od razu przyjechałaś i wybawiłaś mnie z kłopotu. – Pani Perez, była nauczycielka Annie, przytrzymywała drabinę, dopóki dziewczyna nie stanęła obiema nogami na ziemi. – Zaraz ci zapłacę, tylko znajdę książeczkę czekową, choć prawdę mówiąc, nadal nie rozumiem, dlaczego zajmujesz się majsterkowaniem, zamiast nauczaniem...

– Pani Perez...

– No już dobrze. – Poklepała Annie po ramieniu. – Obiecałam nie zrzędzić, więc nie będę.

Gdy pani Perez udała się na poszukiwanie książeczki czekowej, Annie usiadła przy kuchennym stole i zaczęła podliczać należność. Postanowiła nie rozpamiętywać błędów przeszłości. Już wystarczy! Po latach wytężonej pracy, zmierzającej ku określonymu celowi, po przejściu wielu kroków na trudnej drodze, jaką sobie wytyczyła – wybranej

po części pod wpływem kobiety, której właśnie naprawiła elektryczność – trudno było pogodzić się z faktem popełnienia życiowej pomyłki. Pomyłki, która wstrząsnęła jej światem... i która doprowadziła do kolejnej życiowej pomyłki.

Ale nie będzie myśleć o Jacku. Nie będzie też spekulować na temat jego powrotu. W przypadku Jacka wszelka spekulacja jest bezcelowa, pomyślała, wyrывая rachunek z bloczka.

– Jak sądzisz, co sprowadza Jacka Merrimana do miasta?
– Z głębi domu doszedł ją głos pani Perez.

Oczywiście, że trudno wyrzucić go z pamięci, skoro ludzie koniecznie chcą o nim rozmawiać.

– Kto to może wiedzieć?

– Na pogrzeb swojej ciotki nie przyjechał.

– Przecież był na Borneo! Na pewno by przyjechał, gdyby tylko mógł zdążyć na czas. – Zagryzła wargę, zła, że bez chwili zastanowienia broni Jacka i że się zdradziła, jak wiele o nim wie.

– Oto ona! – Wymachując triumfalnie książeczką czekową, pani Perez wkroczyła do kuchni. – Ida ma nadzieję, że może Jack na dobre zechce osiąść w domu. W końcu teraz to jego własność.

– Myślę, że go sprzeda. Na co mu dom tutaj, skoro nosi go po świecie? A oto rachunek. I proszę dać mi znać, gdybym była potrzebna.

Pani Perez rzuciła okiem na rachunek, po czym przeszła Annie zimnym jak stal wzrokiem, który jeszcze w liceum sprawiał, że gotowa była przyznać się do wszystkich popełnionych i nie popełnionych win.

– To nie jest w porządku.

– Za dużo? Zaraz jeszcze raz przeliczę.

– Nie gadaj głupstw. Przecież wiesz doskonale, że potraktowałam mnie ulgowo.

Annie pamiętała jednak, że mąż pani Perez był w tym roku dwukrotnie hospitalizowany. Starła się udawać niewiniątko.

– Ach, chodzi pani o ten rabat dla seniorów? No, cóż...

– Jesteś szelmą, Annie, ale masz wielkie serce. – Pani Perez pochylała się i wypisała czek. – A gdy zobaczysz tego drugiego szelmę, powiedz mu, żeby mnie odwiedził. – Ze zmrużonymi oczami i przechyłoną na bok głową wyglądała jak pomarszczony wróbelek. – Kiedyś, gdy ty i Jack byliście w liceum, myślałam sobie, że byłaby z was dobra para.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego.

– Och, sama nie wiem. Byliście bardzo zaprzyjaźnieni, mieliście ze sobą wiele wspólnego, pomimo różnic... Pewnie uważałam, że uzupełniacie się nawzajem. Masz dobrze poukładane w głowie. Jack mógłby przejąć trochę twojej rozwagi i roztropności.

– Tylko że zwykle działa się odwrotnie – zasępiła się Annie. – Wystarczy zapytać moich braci. Jack zawsze potrafił mnie namówić... – Zaczerwieniła się. Wkraczała na zbyt osobisty teren. Ostatnia eskapada, na którą ją namówił, była czymś znacznie poważniejszym, niż urywanie się ze szkoły z nim i z jej bratem Charliem.

– Niewykluczone, że przydałoby ci się trochę jego impulsywności.

Uchowaj Boże! Przekonała się na własnej skórze, jak marnie na tym wychodzi. Ruszyła w kierunku drzwi.

– Dobrze, że Ben tego nie słyszy.

– Ben chce jak najlepiej, ale zwykle braciom brakuje realizmu, gdy chodzi o ich małe siostrzyczki. A ty zawsze chyba musiałaś czuć przesyty, jeśli chodzi o troskliwość braci – powiedziała pani Perez, otwierając drzwi.

Annie uśmiechnęła się szeroko. Przesyty! Spodobało jej się to określenie. Pasowało do jej sytuacji, jako że miała aż trzech starszych braci.

– Trafiała pani w sedno. A jak to będzie po hiszpańsku?

– *Una plaga testosterone* – odparła starsza pani.

– Plaga męskiego hormonu? – Annie roześmiała się i opuściła dom.

Wsiadając do swojego forda bronco, uśmiechała się nadal. Zerknęła na listę dzisiejszych zleceń i skreśliła pracę u pani Perez.

Choć był dopiero wrzesień, chłodne powietrze dawało się we znaki. Wciągnęła na siebie kurtkę, żeby móc opuścić szybę. Lubiła bezpośredni kontakt z otaczającym ją światem – spokojną krzątanicę i trochę senną atmosferę rodzinnego miasta, z jego surowymi, górskimi szczytami. Wpadające przez szybę powietrze pachniało sosną i jałowcem. Oddychanie tą znajomą mieszanką zapachową podniosło ją na duchu.

Było późne popołudnie. Od nadciągających z północy burzowych chmur pociemniało niebo, spowijając świat w marzycielskim półmroku. Uwielbiała burze.

Kiedy skręciła w ulicę Główną, zadzwonił telefon komórkowy. Ucieszyła się, że może w sprawie pracy... Ale nie.

– Co znowu, do diabła, robi Jack Merriman w mieście? – warknął jej do ucha starszy brat. – I dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Odczep się, Ben, i nie trać czasu. Wał wprost, o co ci chodzi?

W słuchawce rozległ się basowy, grzmiący dźwięk, który oznaczał chichot.

– No więc, jak spędziłaś dzień, Annie? Jaką ładną mamy dzisiaj pogodę! Co sądzisz o ostatnim meczu Chicago Bulls? I dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jack wraca?

– Bo nie wiedziałam. Dopiero co usłyszałam o tym od pani Perez.

Ben nie od razu odpowiedział.

– Pewnie uważasz, że przesadzam. Ale po tych wszystkich

kłopotach, w jakie Jack wpakował ciebie i Charliego, chyba się nie dziwisz, że jestem trochę przeczulony?

– To zależy, czy zadzwoniłeś do Charliego, żeby i jego obsztorcować.

– Nikogo nie sztorcuję. Drobną radą od starszego brata...

– Która brzmi jak rozkaz. Wciąż zapominasz, że nie mam piętnastu lat i nie muszę spowiadać się ze wszystkiego. Ale tobie to już weszło w nawyk.

Annie miała dziesięć lat, gdy zginęli ich rodzice. Ben miał wtedy dwadzieścia dwa. Bez słowa protestu zrezygnował z własnego życia, żeby zachować rodzinę w całości. I choć Annie stopniowo zaczynała zdawać sobie sprawę z wagi jego poświęcenia, to jednak czasami doprowadzał ją do szału. I właśnie dlatego nie powiedziała mu o Jacku. Teraz poczuła się winna i szybko zmieniła temat.

– W drodze do domu zajrzę do sklepu spożywczego. Czy coś ci kupić? Bo chyba pamiętasz, że dzisiaj wieczorem ty gotujesz?

Ben pogderał jak zawsze, a ta stała licytacja o to, kto ma gotować, kto sprzątać, a kto ma wolny wieczór, podziałała na nią kojąco. Było prawie tak, jak za dawnych czasów. Duncan, jej drugi starszy brat, służył w Jednostkach Specjalnych Amerykańskiej Armii, więc rzadko go widywała. Natomiast Charlie, jej kolejny starszy brat, był kierownicą wielkich, dalekobieżnych ciężarówek i kiedy przyjeżdżał do miasta, mieszkał z nią i Benem w ich dawnym domu, w którym wszyscy się wychowali.

– No dobrze, dobrze – ustąpił wreszcie Ben. – Przyrządę chili *con carne*, jeżeli przywieziesz kilka ostrych papryk. Weź z pół tuzina.

– Dwie wystarczą. – Chili Bena nawet bez papryki mogło rozpuścić metalową łyżkę, jeżeli nie jadło się go dość szybko.

– Zrób, jak uważasz. Posłuchaj, szkrabie, jest mi głupio,

że tak na ciebie naskoczyłem. Chyba rzeczywiście traktuję cię, jakbyś jeszcze była w szkole i próbowała ukryć wszystko, co uknuliście z Jackiem.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Przywykłam do tego. Ale może odłóżmy tę rozmowę do kolacji.

Rozłączyła się, gdy tylko powiedzieli sobie „do widzenia”, przełknęła ślinę, ale nadal czuła w ustach gorzki smak. To poczucie winy zawsze powodowało u niej taką gorycz. Okłamała brata. Oczywiście, nie po raz pierwszy. Robiła to od dwóch miesięcy, jeśli nie wprost, to zatajając prawdę. Podobnie jak okłamała panią Perez. Do licha, przecież próbowała też okłamywać siebie!

Annie domyślała się, po co Jack wrócił do miasta. Była więcej niż pewna, że chce rozwodu.

Czarne burzowe chmury powodowały, że można byłoby pomyśleć, że to już zmierzch dnia. Po frontowym ganku domu McClainów przechadzał się mężczyzna. Pomimo lekkiego utykania, poruszał się swobodnie. Krótko ostrzyżone włosy były równie ciemne jak chmury nad jego głową.

Podobnie chmurny był wyraz jego twarzy.

Od tego chodzenia jeszcze bardziej rozboleło go kolano. Wczoraj spędził czternaście godzin w samolocie, oczywiście łącznie z przesiadkami, plus jazda tutaj samochodem z Denver, nic więc dziwnego, że to głupie kolano znowu mu zeszytniało. Jednak nie zamierzał usiąść i spokojnie poczekać na powrót Annie. Już po jednym dniu w tym przeklętym mieście rwał się do wyjazdu. Ale nie tylko Highpoint było przyczyną jego niepokoju. Opuścił Borneo, gnany potrzebą odnalezienia winnego tego całego draństwa, które go doprowadzało do białej gorączki. Wkrótce będzie musiał odbyć podróż do Denver i spróbować odszukać szubrawca.

Nie zamierzał jednak wyjeżdżać bez Annie. Nie tym razem.

Na szczęście miejsca do chodzenia tam i z powrotem nie brakowało. Frontowy ganek McClainów obiegał cały dom. Był to rodzaj ganku, na którym ludzie z przyjemnością przesiadują w długie letnie wieczory, miejsce, gdzie młody człowiek może skraść pocałunek swojej pierwszej miłości. Nie znaczy to, że Jack skradł właśnie tutaj czyjkolwiek pocałunek. Annie McClain zawsze była dla niego jak młodsza siostrzyczka – której niestety nigdy nie miał – piegowata, naprzykrzająca się dziewczynka, która z czasem zamieniła się w jego dobrą przyjaciółkę.

I nagle, nie wiadomo kiedy, zmieniła się. Albo on się zmienił.

Na końcu ganku znajdowała się drewniana bujana ławeczka. Pomalowana na jaskrawy, niestosowny w tym miejscu turkus. Dzieło Annie, pomyślał i przystanął. Uśmiechnął się lekko. Annie uwielbiała jaskrawe kolory. Jej zamiłowanie do żywego koloru wyłaniało się nieoczekiwanie spomiędzy obronnych szarych szańców, którymi zwykle się otaczała, zaskakując taką właśnie turkusową huśtawką czy na przykład parą jaskrawoczerwonych tenisówek.

Pomarańczowy kot wielkości małego niedźwiadka wałkonił się na ławeczce i udawał, że wcale nie interesuje go ten ruchliwy mężczyzna.

– Skoro, jak się wydaje, jesteś tu domownikiem, powiedz mi, kocie, o której Annie zwykła wracać? – zapytał Jack, wsuwając ręce do tylnych kieszeni.

– Mniej więcej o tej porze – odezwała się Annie.

Stała na dole schodów, przyciskając kurczowo dwie brązowe torby z zakupami, jakby ich ciężar miał ją utrzymać na ziemi w porywistym wietrze. Była tu wreszcie, a on nie wiedział, co ma powiedzieć. Wolał po prostu patrzeć bez

słów na starą przyjaciółkę, nie dopuszczając do głosu zarówno obecnych uczuć, jak i niedawnych urazów.

Miała odrobinę dłuższe włosy, na tyle długie, żeby je zebrać w koński ogon, który harcował na wietrze. Ale nie zmieniły koloru – jak dawniej były lśniące i rudawobrazowe. Podobał mu się sposób, w jaki je ściągnęła do tyłu, odsłaniając i pokazując światu swoją śliczną twarz. Miała delikatne, lekko wypukłe policzki, gładkie wysokie czoło, wyraźnie zarysowany, świadczący o silnym charakterze podbródek, zaś oczy tak zielone jak irlandzkie wzgórza, które kiedyś go zachwyciły.

Podszedł bliżej i popatrzył na nią z góry. Taka kruszyna. Często o tym zapominał. Była bowiem naładowana tak wielką energią, iż łatwo było zapomnieć o jej drobnej posturze.

– Dobrze wyglądasz – zauważył.

– Och, nie wątpię. Zawsze najlepiej wyglądałam w roboczym ubraniu, bez makijażu i z rozwianymi włosami.

– Właściwa odpowiedź na komplement powinna brzmieć „dziękuję”.

– Odkąd to oczekujesz właściwej odpowiedzi na cokolwiek?

– Możesz wierzyć lub nie, ale ja naprawdę mam pewne wyobrażenie o tym, co jest właściwe. Uważam, na przykład, że zamężna kobieta powinna nosić obrączkę. A gdzie jest twoja?

– Powiedziałaś komuś o... Las Vegas? – zaniepokoiła się.

– Nie. Gdy dotarło do mnie, że wolisz, aby nasze małżeństwo pozostało tajemnicą, strzegłem jej jak oka w głowie. Czy nie było tak zawsze?

– Powiedzmy, że to działało w obie strony – powiedziała oschłym tonem. – A tak poza wszystkim, to musimy porozmawiać. Tylko czy nie lepiej to zrobić w domu, zamiast tkwić na wietrze?

Jack odsunął się na bok, żeby mogła wejść na ganek. Nie kwapił się z odebraniem od niej toreb, chociaż wiadomo było, że z takim ładunkiem będzie jej trudno dogrzebać się do kluczy i otworzyć drzwi. Nie zaoferował jej pomocy, ponieważ był zbyt wściekły. Przywykł do tego, że jego złość mija równie szybko, jak się pojawia. Ale ta złość nie opuszczała go już od paru miesięcy, szarpiąca wnętrzości złość w połączeniu z ponurym nastrojem była czymś zupełnie nowym.

Nie czuł się z tym dobrze. Szedł za Annie, lekko utykając i przez cały czas czynił sobie w duchu wymówki. Wiedział, że walcząc z nią, nic nie wskóra. Minęli pokój dzienny i jadalnię, aż dotarli do wielkiej, staroświeckiej kuchni.

Tutaj się rozluźnił. Po raz pierwszy od przyjazdu do miasta poczuł sens słów „powrót do domu”. Spędził tu przecież tyle godzin.

– Niewiele się tu zmieniło – mruknął. – Podłoga jest nowa, ale ma ten sam odcień zieleni co poprzednia.

Annie postawiła torby na dębowym stole.

– Podłoga jest nowa od pięciu lat. Widać, jak dawno cię tutaj nie było, Jack.

– Aż tyle? – Odniósł zupełnie inne wrażenie, a wspomnienia, które go atakowały, były tak miłe i przyjazne, jak sfera szczeniąt. Podeszedł do stołu i automatycznie zaczął pomagać wyładowywać zakupy, tak jak to robił tysiące razy w tym domu.

Annie stała po drugiej stronie. Na tyle blisko, że mógłby jej dotknąć... gdyby uważał, że jego dotyk zostanie dobrze przyjęty.

Zmarszczyła brwi.

– Kulejesz.

– Parę tygodni temu miałem wypadek samochodowy i wyrznięłem się w kolano. Nic poważnego.

Przebłysk zainteresowania i troski w jej oczach sprawił mu przyjemność.

– Co się stało? Jesteś przecież dobrym kierowcą.

Tak, był, i dlatego wypadek nie skończył się katastrofą. Zamierzał jej o tym opowiedzieć, a także o wielu innych sprawach, ale jeszcze nie teraz.

– O, kupiłeś tę paprykę. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, wyjmując plastikową torebkę z dwiema małymi, szatańsko mocnymi paprykami. – Czyżby Ben zamierzał przyrządzić jedno ze swoich sławnych chili?

– Tak. – Chwyliła mleko i masło, które wyjął, i zaniosiła je do lodówki.

– A czy mam jakąś szansę wproszenia się na kolację? – Dawno już nie jadł chili Bena, które tak wspaniale paliło w żołądku.

Annie rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię.

– No wiesz, Jack, nie czujesz, że... biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności... byłoby to trochę niezręczne?

– Domyślam się, że nic nie wie o naszym ślubie?

– Nie.

– No to dlaczego nie powiedziałeś nikomu o Vegas? – Wstydziła się? Postanowił zignorować kolejną falę gniewu.

– Ja... nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Przecież nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem. Ja byłam tutaj, a ty tysiące kilometrów stąd, w Timbuktu...

– Na Borneo – rzucił ze złością.

– Na jedno wychodzi. Byłeś daleko, budowałeś tam coś, a ja byłam tutaj. Nie wiedziałam, co powiedzieć ludziom. Nie odpowiedziałeś na mój list.

– Jestem tutaj, czy to nie wystarczy?

– Jack. – W jej głosie usłyszał irytację. – Nie mówię o tych kilku słowach, które nabazgrałam dwa tygodnie temu. Mówię o czterostronicowym liście, który napisałam po twoim wyjeździe.

– Odpowiedziałem. Wysłałem ci bilet.

Napisała te cztery strony, zgoda, cztery strony o tym, jak bardzo jest jej przykro, jak bardzo jej na nim zależy, ale że nie chce zostawić wszystkiego, co zna i w czym potrafi się poruszać, dopóki on nie podejmie jakiejś konkretnej decyzji w związku z jej osobą. Co było równie bezsensowne, jak pływanie nago w styczniu. Przecież ożenił się z nią. Do czego jeszcze może zobowiązać się mężczyzna?

– Nie nazwałabym biletu lotniczego w jedną stronę uczciwą próbą porozumienia się – powiedziała oschłym tonem.

– Wiedziałaś, co oznacza ten bilet. Chciałem, żebyś była ze mną. Ale ty byłaś zbyt zajęta ukrywaniem się w Highpoint, naprawianiem dachów i rur tutejszym mieszkańcom. Czy dlatego trzymałaś nasze małżeństwo w tajemnicy, ponieważ uważałaś, że mu nie sprostasz? Chciałaś być wolna? Umawiać się na randki? Słyszałem, że ostatnio kręcił się tutaj Toby Randall. – Wczoraj wieczorem napomknęła mu o tym Ida.

Annie zrobiła wielkie oczy.

– Bądź poważny, Jack. Toby Randall? Przypuszczam, że jest miłym chłopakiem, ale na miłość boską? To jeszcze dzieciuch, któremu mamusia ciągle prasuje slipki.

– Poważnie? – Pomimo parszywego nastroju jednak się uśmiechnął. – Skąd wiesz?

– Powiedział mi. Radził się mnie, co zrobić, żeby z tym skończyła. Naprawdę, Jack, nie ośmieszaj się. Zawsze miałam dużo kumpli wśród chłopaków, dobrze o tym wiesz. Aż trudno uwierzyć, że możesz mnie posądzać o zdjęcie obrączki z chęci ukrycia tego przed ludźmi. – Odwróciła się, rozprawiając się szybko z pozostałymi nie rozpakowanymi artykułami spożywczymi. – Sądziłam, że znasz mnie lepiej.

Westchnął.

– Do licha, Annie, przepraszam. Czuję się tak, jakbym się poruszał po nieznanym terenie.

Zupełnie nieznanym. Aż do dzisiaj rano mógłby przysiąc,

że nigdy nie był zazdrosny o żadną kobietę, a przynajmniej aż do szkoły średniej, kiedy Charlie próbował mu odbić Mary Wolfstedder. Ale wtedy nie wiedział nawet, że to co czuje to zazdrość. I czymkolwiek to było, nie spodobalo mu się.

Do diabła. To przez Annie czuje coś, czego nie chce czuć.

– Więc gdzie jest twoja obrączka?

– Na górze, w kasetce z biżuterią. – Mogłoby się wydawać, że porządkowanie żywności jest dla niej ważniejsze niż rozmowa z nim, skoro nawet nie zerknęła w jego stronę, tylko kręciła się po kuchni. – Dlaczego robisz z tego taki problem? Przecież sam nie chciałeś nosić obrączki. Powiedziałaś, że na pewno ją zgubisz, gdy będziesz ją zdejmować w czasie pracy. A ponieważ nie jesteśmy prawdziwym małżeństwem, więc...

– Przestań. Może dla ciebie nie jesteśmy, ale dla mnie tak.

Stanęła jak wryta.

– Przepraszam. Zamierzałam w końcu powiedzieć braciom, ale chciałam z tym poczekać do czasu, kiedy się dowiem, co dalej zamierzasz. Biorąc pod uwagę, jak się zachowałeś, a potem ten twój wyjazd... Po prostu zabrałeś się, zostawiając mi tę głupią kartkę. „Kiedy się opamiętasz, dołącz do mnie”. Aż nie chce się wierzyć!

Potrząsnęła głową i zniknęła w spiżarni.

– Podobno znasz się świetnie na kobietach, Jack. Czy naprawdę myślałeś, że po takiej kartce polecę na drugi koniec świata, żeby zostać z tobą?

– Nie jesteś taka jak inne kobiety. Jesteś... Annie. – Annie, jego przyjaciółka, która stanęła razem z nim w paradnej kaplicy ślubnej i obiecała być z nim na zawsze... a to „zawsze” trwało tylko dwie godziny. Dostatecznie długo dla niego, żeby dostać pilne wezwanie do dalekiego

kraju. Dostatecznie długo dla Annie, żeby zmienić zdanie na jego temat. – Byłem zły, pisząc tę kartkę. Odmówiłaś wyjazdu ze mną.

Wyszła ze spiżarni.

– Nie byłam przygotowana na opuszczenie kraju niemal w tej samej chwili, w której wyszłam za mąż! Do licha, ja w ogóle nie myślałam o braniu ślubu. Poza tym uważałam, że potrzeba czasu, żeby się dopasować... ale właśnie wtedy zadzwonił ten telefon. Wszystko potoczyło się tak szybko. Zbyt szybko. Nie uważam, żeby moja reakcja była najwłaściwsza, ale gdybyś ty nie... och, do diabła. Znowu robię to samo. – Skrzywiła się. – Obiecałam sobie nie wracać do naszego sporu. I tak dostatecznie skrzywdziliśmy się nawzajem tamtego wieczoru.

Zapamiętał to. Wyraźniej, niżby tego pragnął, zapamiętał przykre słowa, jakie powiedział, kiedy ich sprzeczka wymknęła się spod kontroli i jakby zaczęła żyć własnym życiem, a także słowa, które cisnęła mu w odpowiedzi. Słowa, które ją tak zaszokowały, że aż zamilkła, a po których on spędził noc w kasynie, a potem, następnego ranka, wyjechał na drugi koniec świata. Takie słowa jak „kłamca, egoizm” czy „na miłość boską, wydorosłej”.

A także te, które nie opuszczały go i nie dawały spokoju od dwóch miesięcy i siedmiu dni. „Małżeństwo z tobą jest największą pomyłką mojego życia”.

– Czy dlatego nie powiedziałaś o tym nikomu, bo nie chciałaś się przyznać do strasznej pomyłki, jaką popełniłaś?

– Stchórzyłam, tak? To chciałeś usłyszeć? Powiem raczej, że nie czułam się na siłach stawić czoło ludzkiej ciekawości, ponieważ nie miałabym odpowiedzi na ich pytania. Z początku czekałam, kiedy odpowiesz na mój list, ale nie doczekałam się. A im więcej czasu upływało, tym trudniej było cokolwiek powiedzieć.

Jack potarł nerwowo twarz. Przecież to ona nie od-

powiedziała, nie on. Wysłał jej bilet, na co w ogóle nie zareagowała.

– Może lepiej nie spierajmy się o to, czy odpowiedziałem, czy nie na twój pierwszy list. Jestem tutaj z powodu twojego drugiego listu.

– Mojego drugiego listu? – zdziwiła się. – Więc zlekceważyłeś mój czterostronicowy list, a teraz przyznałeś z powrotem, tylko dlatego że wściekłam się na to, co napisała jakaś twoja była znerwicowana kochanka? A napisała to pewnie tylko dlatego, że przestała brać lekarstwa na uspokojenie...

Złapał ją za ramiona, chcąc, żeby nareszcie przestała krążyć.

– Napisałaś, że dostałaś anonimowy list z pogrozkami. Powiedz dokładnie, co w nim było?

– Że jeszcze pożałuję, że wysłałam za ciebie. Po prostu stek bzdur. Na miłość boską, Jack, tym się nie trzeba przejmować!

– Zachowałaś go?

– A po co? – Próbowała mu się wyrwać. – Czy naprawdę jesteś tutaj z powodu tego listu?

– Między innymi. Posłuchaj, Annie, powinniśmy porozmawiać o pewnych sprawach, i wolałbym to zrobić przed powrotem twoich braci.

Pięgi na zgrabnym nosku Annie jakby wystąpiły na wierzch, wyraźnie kontrastując z jej nagle pobladłą twarzą.

– Świetnie. Naprawdę świetnie. Wiem, o co ci chodzi. Chcesz rozwodu. Nie będę się sprzeciwiać. Mam tylko nadzieję, że potrafisz to załatwić... spokojnie i bez rozgłosu.

– Rozwodu?! – Już nie panował nad złością. – Nie przyjechałem tu po to, żeby cię prosić o rozwód, Annie! Domagam się prawa do nocy poślubnej, do której nigdy nie doszło!

Rozdział drugi

Annie odskoczyła jak oparzona.

– Chyba się przestyszałam!

– A co w tym dziwnego? Utrzymujesz, że nasze małżeństwo nie jest prawdziwe. Poślubna noc może więc zmienić twoje nastawienie. Nie dotrzymałaś obietnicy.

Patrzyła ze zdumieniem na mężczyznę, którego, jak sądziła, znała lepiej niż kogokolwiek na świecie. I nie poznawała go.

Och, znała dobrze jego twarz. Była to jedna z tych ujmujących twarzy o nieregularnych rysach, stworzona do chytrych uśmieszków i grzesznych, sugestywnych min. Ale wyraz jego czekoladowych oczu zmienił ten bliski i znany jej obraz w coś obcego i napawającego lękiem. Nigdy jeszcze nie spoglądał na nią tak surowo. Nawet tamtego straszego wieczoru, kiedy obrzucali się wyzwiskami jak granatami. Złość zmąciła jego myśli, kierując je na niewłaściwe tory.

– Och, Jack, i dokąd nas to wszystko zaprowadziło – powiedziała ze smutkiem Annie.

– Co masz na myśli? Przecież rozmawiamy. Próbujemy dojść do porozumienia. – Podszedł bliżej. – Powinnaś być szczęśliwa. O ile wiem, kobiety mają fioła na punkcie rozmawiania i dogadywania się.

– A w jakiej sprawie mielibyśmy się jeszcze dogadywać? Skoro już mnie nawet nie lubisz jak dawniej.

– Oczywiście, że cię lubię. Jesteś Annie.

– Powtarzasz to, jakby moje imię miało wszystko tłumaczyć!

– A czy tak nie jest? Przyjaźnimy się od bardzo dawna.

– I powinniśmy zostać przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi.

– Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy być jednocześnie przyjaciółmi i małżeństwem.

Potrząsnęła głową.

– Ty mnie nie rozumiesz. – I prawdopodobnie właśnie to, że nie był w stanie jej zrozumieć, powodowało, że musiała go zranić. I sprawić, że jego oczy stały się zimne i wrogie, co z kolei jej sprawiło ból. – Jack, ja po małżeństwie oczekuję czegoś więcej niż przyjaźni.

– To ty mnie nie rozumiesz. – Zniecierpliwiony, przeciągnął ręką po włosach. Były za krótkie, żeby ten ruch mógł je zmierzwić. – Posłuchaj, skoro ja jestem gotów zapomnieć o twojej dezerecji, ty mogłabyś przynajmniej okazać trochę dobrej woli i wyjść mi naprzeciw.

Ruch, jaki wykonał, odwrócił jej uwagę od słów, a skierował na jego włosy. A może nie była gotowa na dyskusję, która, tego była pewna, nie oszczędzi żadnego z nich.

Kiedy ostatni raz widziała Jacka, miał długie, zmierzwione włosy, z intrygującymi pasemkami, rozjaśnionymi przez zabójcze słońce Paragwaju. Dotykała tych ślicznych pasemek, zanurzając palce w jego włosach. Ale teraz były na to za krótkie. Jedyne, co mogłaby teraz zrobić, żeby je popieścić, to pogłaskać tę miękką, brązową czuprynę od góry aż po zagłębienie szyi...

Zacisnęła wargi. Nie powinna sobie pozwalać na takie myśli.

– Co ci się znowu nie spodobało?

– Pozwoliłeś fryzjerowi, żeby cię oskalpował.

Rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Ja naprawdę próbuję rozmawiać poważnie, Annie. Czy

nie sądzisz, że komentarze na temat mojego wyglądu możemy zostawić na później?

– Nie chodzi tylko o twoje włosy. Także zeszczupłałeś, i kulejesz. Powinieneś bardziej dbać o siebie, Jack.

Przechylił głowę na bok.

– A co ty robisz? Jak nazwiesz to, co robisz?

– Po prostu daję ci drobną radę.

– Nie, próbujesz znowu bawić się w moją siostrę. Ale to nie działa, Annie. Już nie. Nie po tym, kiedy trzymałem cię w ramionach i czułem, jak bardzo się rozpalasz.

Poczerwieniała, zacisnęła wargi i odwróciła się.

– Nie pójdę z tobą do łóżka.

– Chcesz się założyć?

Złowieszczy ton jego głosu sprawił, że rzuciła się przed siebie, ale choć była szybka, on okazał się jeszcze szybszy. Złapał ją za ramiona i szarpnął do góry, przyciskając do siebie, a ona omal nie krzyknęła z powodu jego szorstkiej twarzy i z powodu nieznośnego, a jakże słodkiego doznania w zetknięciu z jego ciałem. Waliło jej serce.

– Zostaw mnie.

– To niemożliwe.

Patrzył na jej wargi, a jej bijący dziko puls zatrwożył ją bardziej niż jego naigrawająca się z niej męskość.

– Nie chcę tego.

– To ciekawe, ale nie przypominam sobie, żebyś przed wyjściem za mnie kiedykolwiek mnie okłamywała.

Widziała już wcześniej podobną zawziętość w oczach Jacka – kiedy współzawodniczył z kimś. Przeważnie był ustępliwym, łatwym w kontaktach człowiekiem, ale coś się w nim zapalało, kiedy postanawiał wygrać. A ona stała się dla niego wyzwaniem. Kimś, z kim musi wygrać.

– Zamierzam cię pocałować, Annie.

Nie, pomyślała. Ale nie ruszyła się. Stała tak, sztywna i unieruchomiona jego rękami, z mocno walącym pulsem.

Może, pomyślała, jeżeli pozwolę mu się pocałować, przestanie próbować ze mną wygrać. Może ją wtedy puści.

Pochylił głowę, ale jej nie pocałował. Zamiast tego, przeciągając koniuszkiem języka wzdłuż jej dolnej wargi, wystawił ją na jakże słodką udrękę. Szarpnęła głowę do tyłu, ale on wzmocnił uścisk, przytrzymując ją w miejscu. Kiedy zaczął muskać językiem jej szyję, z trudem łapała oddech.

Próbowała go odepchnąć.

– Do licha, Jack, nie rób tego. Nie igraj ze mną.

– Kto mówi, że igram? – Tym razem jego usta już nie pieściły. Domagały się. Gorące, twarde, niespokojne, już o nic jej nie prosiły, a żądały wszystkiego.

Na Boga, chciała dać mu wszystko, czego żądał, i jeszcze więcej. Przepelniło ją pożądanie. To był smak Jacka i jego zapach, uderzający do głowy, który – pomimo czasu, jaki minął – tak dobrze pamiętała, a który poznała w wieczór ich ślubu. Tuż przed tym, zanim ją opuścił.

Otrząsnęła się i szarpnęła do tyłu głowę.

– Jack... – Odpychała go. Nawet nie drgnął. Jego ciało było twarde i napierało na nią, jego zapach wypełniał jej nozdrza. – Tak nie można.

– Można. – Wzrok miał zawzięty, ale głos łagodny. – Pozwól tylko, a przekonam cię, jak może być nam dobrze.

– Co tu się dzieje, do diabła? – nagle odezwał się za nią niski, chrapliwy głos.

Annie zamknęła oczy. Wybornie. Jeszcze tylko tego brakuje, żeby jej brat rzucił się Jackowi do gardła, a Jack...

– Nic takiego, Ben – powiedział Jack, nie spuszczać oczu z Annie. – Właśnie witam się z moją żoną.

No tak. To było to. Dopiero teraz się zacznie!

Burza przeszła, pozostawiając po sobie świeże, chłodne powietrze, niebo pokryte gwiazdami i mokrą huśtawkę na ganku. Annie, nie bacząc na wilgoć idącą od ławeczki,

odpychała się lekko stopami, wsłuchiwała w skrzypienie łańcucha i starała się nie myśleć. Dzisiejszego wieczoru nachodziły ją tylko same nieprzyjemne myśli.

Towarzyszył jej jedyny z domowników, który się na nią nie boczył. Wążący cztery i pół kilo kot rozłożył się na jej kolanach i dodawał jej otuchy. Pocieszanie w wydaniu Samsona polegało na tym, że łaskawie pozwalał jej zaspokajać własną potrzebę przyjemności – podnosił pyszczek, by pod nim go drapała. Kiedy to robiła, niesłyszalne dla ucha mruczenie kota wibrowało pod jej palcami.

Ben zawsze powtarzał, że to zwierzę jest zbyt leniwe, żeby głośno mruścić.

Westchnęła. Starszy brat prawie się do niej nie odzywał. Nawet Charlie rozdarł się na nią, co w jego przypadku było prawie tak rzadkie, jak głośne mruczenie kota. A Jack... no cóż, jeśli jej nie znenawidził, to w tej chwili na pewno nie przepadał za nią. Wszyscy, o których się troszczyła i na których jej zależało, byli zagniewani i dotknięci do żywego, ona zaś czuła się winna.

A przecież Jack też nie był bez winy. Podrzucił tę bombę tak niefrasobliwie, jakby mówił o pogodzie, choć doskonale wiedział, jaki wywoła efekt. Zrobił to naumyślnie. Wrócił po to, żeby ją zranić. A przecież przez całe lata, odkąd znała Jacka, nie zdarzyło się nigdy, żeby próbował jej wyrządzić choćby najmniejszą krzywdę.

Ale czy obecnie wszystko nie uległo zmianie?

Czy chęć zaciągnięcia jej do łóżka nie oznaczała także potrzeby odebrania należności i odegrania się na niej? Całkiem przemyślny rodzaj odwetu – wziąć swoje, a potem wyjechać do Timbaktu, tym razem nie zapraszając jej na wspólną wyprawę.

Jeszcze do dzisiejszego popołudnia Annie mogłaby przyjąć, że Jack nie należy do tych, dla których seks jest swego rodzaju bronią. Teraz nie była już tego taka pewna.

Zresztą już dawno przestała być czegokolwiek pewna. A konkretnie, od czasu, kiedy rzuciła pracę i poślubiła swojego najlepszego przyjaciela. Początkowo nie miała oczywiście zamiaru wychodzić za Jacka. Nawet próbowała od niego uciec. A potem postanowiła pójść z nim do łóżka.

Jak to się stało, że zrobiła coś, czego nie przewidywała, a poniosła porażkę w tym, do czego, jak sądziła, była powołana? Wszystko zaczęło się w Denver, w lipcu...

Tak... to stało się przez Jacka, pomyślała. To Jack pokrzyżował jej plany. Oczywiście obojgu im niezłe odbiło, żeby poważać się na coś takiego...

Denver, lipiec

Annie sięgnęła po ostatnią książkę i włożyła ją do kartonu. Prostując się, skrzywiła się, ponieważ nadal bolały ją zębra. Nie byłyby w stanie unieść żadnego z tych kartonów, które w takim pośpiechu zapełniła, ale za parę dni przyjadą tutaj jej bracia i pomogą jej.

Powiodła wzrokiem po kartonach i ubraniach, które zawały jej mieszkanie. Ile planów i marzeń zostało spakowanych razem z podręcznikami! Ale, zapewniała siebie, zamierza dalej uczyć. To, że nie wypaliło jej w Denver, nie znaczy wcale, że nadal nie może być nauczycielką. Przecież zawsze tego pragnęła.

No nie, bądź uczciwa! – upomniała siebie. Nauczanie nie było wszystkim, czego pragnęła. Ale to był osiągalny cel, w przeciwieństwie do zwariowanych mrzonek, które ją skłoniły do wyjazdu.

Rozległ się dzwonek. Przepchnęła się między kartonami do drzwi, zastanawiając się, kto składa jej wizytę. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby ktoś dotrzymał jej towarzystwa. Pakowanie zawsze nastrojało ją melancholijnie.

W drzwiach stał jej stary przyjaciel. Miał potargane włosy, pomiętą koszulę i sfatygowane dżinsy. Wyglądał cudownie. I szczerze mówiąc, wolałaby, żeby teraz nadal znajdował się na drugim końcu świata.

– Jack! Nie spodziewałam się ciebie. Sądziłam, że wracasz za kilka tygodni.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

– Pakuję się. – Odwróciła się i weszła do pokoju. – Nie widzisz? – Nie sądziła, że będzie zły. Wytrąciło ją to z równowagi.

– Do licha, Annie. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wszedł za nią do mieszkania. Kiedyś, kiedy się tu wprowadziła, sprawiłoby to jej przyjemność. To było jej pierwsze w życiu własne mieszkanie. Kompleks budynków został świeżo oddany do użytku. Po mieszkaniu w starym domu, a potem, gdy była w college’u, w równie starym akademiku, spodziewała się, że nowe mieszkanie okaże się jedną wielką radością. Kolejna rzecz, co do której się pomyliła. Minęło trochę czasu, a mieszkanie wciąż wydawało się zimne, nieprzytulne i bezosobowe.

Podeszła do otwartego kartonu i zaczęła owijać w gazetę szklaną misę.

– Nie było cię tutaj, Jack. Jak więc miałam ci o tym powiedzieć?

– Twojemu bratu jakoś się udało. Zadzwoił przedwczoraj. Ochrzaniłem go, że nie zadzwonił wcześniej, i przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

– Który z braci? Charlie? – Odwrócona do niego plecami, na chwilę przerwała pracę.

– Oczywiście. Ben mnie nie lubi. – Położył rękę na jej ramieniu i odwrócił ją ku sobie, przyglądając się bacznie jej twarzy. – Mój Boże, Annie. – Podniósł rękę i delikatnie dotknął jej policzka.

Wytrzymała dzielnie i nie odchyliła głowy. Sińce zbladły, a opuchlizna prawie zeszała.

– Już jest w porządku.

– Nie powiedziałbym. Gdyby tak było, nie przeprowadzałyś się z powrotem do domu. Co się stało?

– Myślałam, że Charlie ci powiedział. – Nie mogąc już znieść jego badawczego wzroku, odwróciła się i umieściła misę w kartonie.

– Powiedział, że zostałeś pobita. Dwa tygodnie temu. Przez dwóch punków z twojej szkoły. – Wypowiadane *staccato* słowa brzmiały bezbarwnie i płasko. – I że przez to rzuciłaś pracę, i zamierzasz wrócić do Highpoint.

Napaść nie była jedynym powodem decyzji o powrocie do domu, ale uzmysłowiła jej pewne sprawy.

– Mniej więcej tak to było, ale napaść nie jest jedynym powodem. Nie czułam się tutaj szczęśliwa.

– Wiem, że doprowadzała cię do szału za duża ilość uczniów w klasach i cała papierkowa robota, ale nie podoba mi się, że tak łatwo przyznajesz się do porażki. Po tylu latach, teraz, kiedy dostałaś dyplom nauczyciela?

– Nie zamierzam rezygnować z nauczania. Po prostu nie chcę robić tego tutaj. Już nie.

– Tylko mi nie mów, że wciąż tęsknisz za domem. – Pokręcił głową. – Minęło parę dobrych lat, odkąd wyjechałaś z tego beznadziejnego miasteczka. Nie może być, żebyś usychała z tęsknoty za Highpoint.

Poczuła dobrze jej znany skurcz serca. Jack nie zrozumie nigdy, jak głęboko wrosła w miasteczko, w którym się wychowała, a które on opuścił z największą radością, gdy tylko skończył liceum.

– Po części tak jest. Ale tylko po części. Ja naprawdę nie lubię tego wielkiego miasta, Jack. Wiesz o tym. I... – Zawahała się. Ale był jej przyjacielem. Powinien ją zrozumieć. – Ja po prostu już nie czuję się tutaj bezpieczna.

– Wścieka mnie to, co ci się przydarzyło. I jest mi strasznie przykro, że to się stało w czasie mojej nieobecności. Gdybym tu był...

– Też by się to mogło zdarzyć. Już mam się dobrze. Jeszcze trochę boli, ale wszystko wraca do normy. Tylko... wiesz, jak to określają w raportach? „Ofiarę opatrzone i wypisano do domu”. Ot i wszystko. Żadnych złamań, tylko pęknięte żebro i wiele zewnętrznych obrażeń. Ale ja zawsze sądziłam, że „opatrzone i wypisane” to tak, jakby nic poważnego się nie stało. – Zdobyła się na uśmiech. – Nie miałam racji!

– Czy chcesz powiedzieć, że opuściła cię twoja dzielność i brawura? Nie zniosę tego!

Rozśmieszył ją tym, i taki też pewnie miał zamiar. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym on znów zaczął mówić.

– Charlie powiedział, że napaść nie miała podłoża seksualnego.

– Nie zostałam zgwałcona. Ja... och, nie!

Była zła z powodu cisnących się do oczu łez. Przez wszystkie dni po tym okropnym incydencie chciała tylko jednego – żeby Jack był na miejscu i żeby ją przytulił. Ale on był w Paragwaju.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Lekarz powiedział, że mogło być jeszcze gorzej. Powiedział, że miałam szczęście.

– To idiota, nie lekarz. Nikomu nie jest potrzebny ten rodzaj szczęścia. Chodź tutaj. – Objął ją ramieniem i siłą pociągnął w stronę sofy, na której, ułożone w idealnie równych kupkach, leżały jej ubrania. Stracił jedną z nich na podłogę.

– Jack! Moje ubranie...

– Co tam ubranie. – Pociągnął ją na dół i posadził obok siebie. – Annie, jest mi tak przykro. Tak strasznie przykro.

A potem trzymał ją właśnie tak, jak chciała, w milczeniu,

a jego ciało było ciepłe, mocne i niosło ukojenie. I właśnie tego rozpaczliwie potrzebowała. Zbyt rozpaczliwie. To także – choć nigdy by się do tego nie przyznała – było głównym powodem jej decyzji o wyjeździe z Denver. Nie mogła się obejść bez Jacka Merrimana.

Po chwili wyprostowała się. Ale nie całkiem się odsunęła. Nadal obejmował ją ramieniem. Nadal czuła przy sobie jego ciepłe i dające oparcie ciało.

– Naprawdę czuję się już dobrze. A swoją drogą aż do tej pory nie spodziewałam się, że okazaę się taką ciamajdą.

– Nie jesteś ciamajdą. Możesz mi opowiedzieć, jak to się stało? Co robiłaś latem w szkole?

– W lecie też odbywają się zajęcia. Zostałam po lekcjach i poprawiałam zeszyty, i nic nie wskazywało, że coś się wydarzy. Bo przecież nie popełniłam żadnego błędu. – I właśnie to nie dawało jej spokoju. Postąpiła prawidłowo pod każdym względem, a jednak, okazało się, że nie jest bezpieczna. – Zaparkowałam w pobliżu wejścia, w dobrze oświetlonym miejscu, a wokół byli ludzie. Niewielu, ale dzieciaki miały próbę w teatrze i wychodziły o tej samej porze. Był też strażnik. Sądziłam, że wszystko jest okej. Nawet gdy tych dwóch podeszło do mnie, myślałam, że nadal jestem bezpieczna.

– Było ich dwóch? – Zacisnął wargi.

Skinęła głową.

– Jeden chwycił moją torebkę. Krzyknęłam na niego. Byłam wściekła... powinnam mu była zostawić tę torebkę, ale naprawdę byłam wściekła i bynajmniej nie przestraszona. Ja... ja go znałam. Był jednym z moich uczniów.

– Tym gorzej, prawda? – Poglaskał ją po głowie.

– Tak. – Piekły ją oczy. – Pyskował mi, wyzwał od ostatnich. Potem jego kumpel uderzył mnie. Nie spodziewałam się tego, ale jeszcze się nie bałam, nie do końca. Oddałam mu. Nie zastanawiałam się. Po prostu uderzyłam,

walnęłam go prosto w żołądek. Mocno. Ale on był czymś zamroczony. Nie poczuł bólu. Tylko jeszcze bardziej się rozzuchwiał. A potem obaj... obaj zaczęli mnie tłuc, a ja nie mogłam... nie mogłam...

– A gdzie był strażnik? Gdzie był pieprzony strażnik, kiedy to wszystko się działo?

– Zjawił się tak szybko, jak mógł. Odprowadzał jakieś dziewczynki do samochodów, ale kiedy wrzasnęłam, przybiegł od razu. Ci dwaj... moi napastnicy, używając policyjnego żargonu... uciekli, zanim się pojawił. I tak to się skończyło. – Z wyjątkiem policyjnych raportów, i tego „opatrzona i wypisana”, a także koszmarnych snów. Zadrżała, a Jack roztań jej ramiona.

Chciał ją pocieszyć, ukoić. Dobrze o tym wiedziała, ale ogarniające ją powoli i podstępnie ciepło nie miało wiele wspólnego z pocieszeniem, natomiast było to uczucie, które powinno ją skłonić do odsunięcia się. Tak też zrobiła.

– Naprawdę nie byłam aż tak bardzo potłuczona. Byłam obolała i zszokowana, i to wszystko.

– Pobili cię i nielicho przestraszyli. Nadal jesteś zastraszona, w przeciwnym razie nie uciekałybyś.

Dotknął ją tymi słowami.

– Wcale nie uciekam. Gdybym czuła się szczęśliwa w Denver, gdybym znajdowała satysfakcję w pracy, jeden przykry incydent nie wypłoszyłby mnie tak łatwo.

– Tak czy inaczej, Annie, będzie mi ciebie brakowało. Lubilem wracać do Denver, wiedząc, że cię tutaj zastanę między kolejnymi wyjazdami.

Lubił? Nie odezwała się. Nie mogła.

Jack pracował dla prywatnej, nie nastawionej na łatwe i szybkie zyski organizacji, z główną siedzibą w Denver. Międzynarodowa Pomoc na rzecz Rozwoju Budownictwa wznosiła szkoły i kliniki w rozwijających się państwach na całym świecie. Między kolejnymi zleceniami Jack przeby-

wał w Denver. I choć teraz Annie nie mogła nadziwić się własnej głupocie, to przecież był to jeden z powodów, dla których po dyplomie zdecydowała się pozostać właśnie w tym mieście.

I na początku to pomagało. Ilekroć spotykali się i szli na pizzę, ilekroć sprzecali się, jaki film wypożyczyć, albo jechali na jednodniową pieszą wędrówkę po górach, nie tęskniła za domem. Aż zaczęła uzależniać się od jego przelotnych wizyt. Nie tylko tęskniła za domem, ale po czasie spędzonym z Jackiem i po jego wyjeździe czuła się bardziej samotna niż zwykle. A on, oczywiście, był nieobecny przez większą część czasu.

– Posłuchaj – powiedział Jack – mogę jeszcze zrozumieć, dlaczego chcesz wyjechać z Denver. Ale, na miłość boską, czy musisz wracać do Highpoint? – Przesłał jej swój najbardziej czarowny uśmiech.

Ten uśmiech obudził jej czujność.

– Bo tęsknię za Highpoint.

– Przecież w pobliżu Denver jest wiele miasteczek, w których czułabyś się bezpieczna... Założę się, że niektóre z nich wrywałyby sobie nauczyciela z twoimi kwalifikacjami. Gdybyś zamieszkała w pobliżu, moglibyśmy się nadal spotykać.

– Highpoint nie leży aż tak daleko od Denver. Wystarczy, żebyś pojechał trochę dalej, i nadal będziemy mogli się widywać. – Nie robiłby tego, oczywiście. W każdym razie niezbyt często. Jack w równym stopniu nie znosił Highpoint, jak kochała je Annie.

Wstał nagle i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Mogłabyś jednak pójść na jakiś kompromis. A co powiesz o Colorado Springs? Gdybyś tam zamieszkała, mogłabyś widywać się z braćmi w każdy weekend, a mnie łatwiej byłoby tam dojechać.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Czyżbyś sugerował, że układając sobie życie, powinnam brać pod uwagę twoją niechęć do rodzinnego miasteczka?

Staął w miejscu. I znów jakaś dziwna zawziętość, do której nie była przyzwyczajona, pojawiła się w oczach jej starego przyjaciela.

– Nie, sugeruję, że układając sobie życie, nie powinnaś kierować się strachem.

– Skoro uważasz, że uciekam, to znaczy, że masz mnie za głupią, wystraszoną idiotkę.

– Nie czynię ci zarzutu, że wystraszyłaś się tego, co się stało. Do diabła, jak usłyszałem, co cię spotkało, przez pół godziny trzęsły mi się ręce. Ale ucieczka do domu nie jest właściwą reakcją.

– Nie „uciekam do domu”. W Highpoint czuję się dobrze, Jack. Jak nigdzie indziej. Dlaczego więc nie miałabym tam mieszkać?

– Przecież, na dobrą sprawę, nigdy nigdzie nie byłaś, Annie. Trzymasz się przeszłości, która cię więzi i krępuje jak jakiś powróż. Czujesz się tam bezpiecznie i wygodnie, i uważasz, że to cię zwalnia z realizacji twoich marzeń.

– Nie rezygnuję z marzeń. Nadal będę uczyć...

– Dajmy spokój nauczaniu. Chodzi o coś innego. A podróże? Te wszystkie piękne miejsca, które chciałaś kiedyś zobaczyć?

– To ty marzyłeś o podróżach, nie ja.

– Studiowałaś języki, ponieważ fascynują cię inne miejsca, inni ludzie.

– Ja... pomyliłam się. Istnieje duże zapotrzebowanie na nauczycieli z moimi kwalifikacjami, więc sensownie jest udać się tam, gdzie mnie przyjmą.

Zacisnął wargi. Podeszedł do kartonu, który dopiero skończyła pakować i zaczął w nim grzebać.

– To musi być gdzieś tutaj. – Przeszedł do następnego

kartonu, jednego z tych, które niedawno okleiła taśmą, i zerwał ją.

– Przestań! – Rzuciła się, żeby go odepchnąć.

Nie zwracając na nią uwagi, otworzył karton i chwycił jego zawartość – archiwalne numery „National Geographic”.

– Ile jeszcze tego masz? Od jak dawna marzysz o nieznanym, dalekich miejscach?

– Och, skończ już z tym! Miliony ludzi czyta „National Geographic”, ale nie każdy rwie się do odkrywania tajemnic Tunezji!

– Ale niewielu z nich zostało opuszczonych przez rodziców, którzy zamiast siedzieć w domu i wychowywać dzieci, woleli dalekie strony! I w końcu zginęli w jednym z takich dalekich miejsc.

Zesztywniała. Jak on śmie? Jakim prawem ciska jej to w twarz w taki sposób?

– Moja matka nie porzuciła nas. A mój ojciec musiał pracować.

– Z tego, co wiem od Charliego, twoja matka wyjechała wkrótce po twoim ojcu.

– Czują, że jej miejsce jest przy mężu – odparła przez zaciśnięte zęby. – Wiedziała, że z babcią będzie nam dobrze. Nie przypuszczałam, że wyciągasz jakieś nieprawdopodobne wnioski wyłącznie na podstawie tego, co czytam. Ale za tym nie kryje się żadna mroczna tajemnica, Jack. Po prostu lubię czytać o dalekich, nieznanym stronach. I to wszystko.

– Czyżby? – Potrząsnął głową. – Może mam jakieś egoistyczne powody, dla których nie chcę, żebyś wracała do Highpoint. Ale nie wszystkie wynikają z egoizmu. Nie chcę, żebyś tam ugrzęzła.

– Widzisz mnie taką, jaką chciałbyś mnie widzieć, Jack. A tymczasem ja nie należę do osób, które czują się schwyta-
ne w pułapkę, gdy muszą spędzić więcej czasu w jednym miejscu.

– Mogę tylko żałować, że nie czujesz się schwyтана w pułapkę w Highpoint. Szkoda, że czujesz się tam bezpieczna.

– Co w tym złego? I dlaczego nie miałabym przebywać wśród ludzi, których znam od urodzenia?

– Sądzę, że nie ma nic złego w fakcie, iż chcesz przebywać wśród znanych ci ludzi. – Jakże dobrze znała ten jego chytry uśmieszek! – I lubię to w tobie. A mnie znasz lepiej niż kogokolwiek. Annie, nie wracaj do Highpoint. Lepiej wyjedź ze mną.

– Co? Co powiedziałaś?

– Pojedź ze mną, kiedy otrzymam nowe zlecenie. Będziesz mogła uczyć. Wierz mi, że znajdziesz tam wielu ludzi, którzy będą chcieli się uczyć, a ja zaopiekuję się tobą. Sprawię, że poczujesz się bezpieczna.

– Czy ja się przesłyszałam? – Jack nigdy nie przejawiał nadopiekuńczych skłonności, nie był taki jak jej bracia. – Patrzysz na mnie jakoś tak dziwnie...

Przeniósł wzrok na jej usta.

– Dziwnie? – powtórzył machinalnie. – Chyba masz rację. Zawsze lubiłem twoje usta, Annie.

– Co? – Serce zabiło mocno i miała wrażenie, że podeszło jej do gardła. – O czym ty mówisz?

– O twoich ustach. Może... – wyszeptał, a ona miała wrażenie, że nie mówi do niej, tylko do siebie. – Może przyszedł czas. – Zaczął pochylać głowę.

Cofnęła swoją gwałtownie.

– Co robisz?

Jego uśmiech pojaśniał.

– Czy tego nie widać? Chodź. Pokażę ci. – I przywarł do jej ust.

Wstrząs był tak silny, że zastygła w bezruchu i to na długą chwilę. Na tyle długą, by poczuć rozkoszny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa w miarę, jak jego usta dotykały i poruszały

się na jej wargach... och, jakże delikatne i zwinne usta. Od lat była ciekawa, jak smakują pocałunki Jacka, a jednocześnie bała się ich. I oto wystarczyło spróbować, by ciekawość wzięła górę nad strachem, zamieniając się w pożądanie. Trzymał rękę na jej karku, a palce miał równie zwinne jak usta, i niemal do bólu przyprawiające o dreszcze. To przekraczało jej siły.

Od tego nie można było się oderwać.

Gdy to do niej dotarło, odwróciła głowę w bok, umykając przed jego rozpalającymi do szaleństwa ustami.

– Jack, to idiotyczne. Nie myślisz o mnie w ten sposób... wiesz przecież!

Odwrócenie głowy nie uratowało jej. Otworzyło tylko przed nim nowe możliwości. Kiedy musnął ustami jej policzek i dotarł do wrażliwego miejsca pod brodą, zadrżała. A ten drań zachichotał.

– Oczywiście, że od czasu do czasu myślałem o tobie „w ten sposób”. – Skubnął zębami płatek jej ucha. – Tylko nigdy nie pozwoliłem sobie na nic takiego, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi.

– Więc dlaczego... och, przestań już! – Pozbierała się na tyle, żeby odepchnąć rękę, która powędrowała niżej, dotykając jej piersi.

Posłuchał, wyprostował się i popatrzył na nią.

Jego pociemniałe oczy były nieprzeniknione. Magiczne oczy, zdolne rozpalic i rozbudzić nadzieję w kobiecie, która wcale tego nie chciała.

Nadzieja nie wchodziła w grę. Wiedziała o tym. Pożądaniu nie można było się oprzeć. Bo i po co? – pomyślała nagle. Dlaczego nie pozwolić sobie na ten jeden raz, na to jedno wspomnienie? Przecież to niczego nie zmieni, kiedy Jack odjedzie.

Podniósł rękę i z premedytacją objął jej pierś, nie spuszczając z niej tych magicznych oczu. Zaparło jej dech,

zamknęła oczy i wiedziała, że traci głowę. Oddając się teraz Jackowi, narazi się tylko na większy ból żeber...

A może warto? Może...

Gdy znów sięgnął do jej ust, nie była przygotowana. Jak mogła odpowiedzieć na jego pragnienie i głód? Wprawilo ją to w zdumienie, zawładnęło nią, przeniosło w mroczną, jakże intymną sferę, gdzie wszystko wydawało się możliwe. Zagarnął ją, ramionami, zapachem, pożądaniem, a kiedy pociągnął ją za sobą na dół, nie broniła się.

Gdy wreszcie przerwała pocałunek, leżeli spleceni ze sobą na podłodze. Starał się nie obciążać jej ciężarem swojego ciała, a mimo to czuła tępy ból w żebrach. Nie na tyle jednak, by mu zabronić wsunąć rękę pod sweter – gorącą i poczynającą sobie zuchwale na jej piersi.

– Nie wyjeżdżaj, Annie – szeptał, całując jej szyję.

– Jack – powiedziała, chwytając ciężko powietrze.
– Jack, nie tylko ja wyjadę. Ty także. Za parę tygodni będziesz daleko stąd, budując coś na drugim końcu świata.

– Więc jedź ze mną. – Uniósł głowę. Świeciły mu się oczy.
– Właściwie dlaczego nie? Pora jest wprost idealna. Jesteś teraz wolna. Chcesz się czuć bezpieczna, a ja chcę ci dać to bezpieczeństwo. Dlaczego nie miałabyś pojechać ze mną?

– Dlaczego nie? – Tylko przy chwilowej pustce w głowie mogła zadać równie idiotyczne pytanie. – Dlaczego nie? Oszalałaś? Sądzisz, że odbędę podróż dookoła świata bez obrączki na palcu, bez danych obietnic, tylko dla jakiegoś nieopatrznie wypowiedzianego „dlaczego nie„?

– W porządku. – Usiadł nagle. Uśmiechał się od ucha do ucha. – W porządku. Postąpimy, jak trzeba. Najpierw się pobierzemy.

Rozdział trzeci

Rozsypałam się na drobne kawałki, pomyślała Annie, bujając się na huśtawce. Jakkolwiek było to poniżające, jednocześnie była to prawda. Wystarczyło, że Jack zapragnął jej – wystarczył jeden długi i namiętny pocałunek – a cały jej rozsądek wziął w łeb. Jeszcze tego samego wieczoru zgodziła się polecieć z nim do Las Vegas.

Nagle otworzyły się frontowe drzwi domu, wpuszczając na moment trochę światła i rozjaśniając panującą na ganku ciemność. Po chwili drzwi, niemiłosiernie skrzypiąc, zamknęły się i znowu świat pogrzyżył się w mroku.

– Chowasz się tutaj czy urządzasz sobie babski wieczorek uzalania się nad sobą? – Głos Charliego był niski, ale nie tak basowy i chrypiący jak Bena. W ogóle Charlie był swobodniejszy i mniej zasadniczy niż ich starszy brat.

– Nic z tych rzeczy. Rozmyślałam nad swoimi grzechami.

– Ben chce wiedzieć, czy masz na sobie kurtkę. Znowu wieje silny wiatr.

Westchnęła. Ben, nawet gdy się do niej nie odzywa, nie przestaje się o nią troszczyć i robi to w ten swój nieznośny sposób.

– Tak, mam na sobie kurtkę. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Być może. – Ruszył w jej stronę. Zobaczyła szczupłą, zgrabną sylwetkę wyłaniającą się z ciemności. – Posuń się.

– Mokra tutaj – uprzedziła go, przesuwając się na bok.
– Jestem zahartowany. Nic mi nie będzie. – Od jego ciężaru zaskrzypiał łańcuch huśtawki. – Niezłą bombę podrzucił nam Jack.

Nie da się ukryć.

Jack zrezygnował z wątpliwej przyjemności uczestniczenia w następstwach ujawnienia ich tajemnicy. Ograniczył się do jeszcze jednego, szybkiego pocałunku i oznajmił, że wkrótce się zobaczą. Ben, którego spojrzenie mówiło „najpierw bij, a potem rozmawiaj”, dopadł Jacka. Na szczęście akurat pojawił się Charlie, który wkroczył między obu mężczyzn i ich rozdzielił.

Jack polecił Charliemu uważać na nią i odszedł.

– No, to powiedz mi, jakie to grzechy masz na sumieniu?

– Grzech przemilczenia.

– Ach tak. Prawdę mówiąc, nie dziwię się wcale, że nie powiedziałaś nam o ślubie z Jackiem. Powód jest głupi, możesz mi wierzyć, a ja nadal jestem wściekły. Ale potrafię cię zrozumieć.

– Naprawdę? – Zaśmiała się ironicznie. – Więc powiedz mi, dlaczego ja sama przestałam już siebie rozumieć.

– Bo nie znosisz popełniać błędów. Więc albo małżeństwo z Jackiem było pomyłką, o której nie chciałaś nikomu mówić, dopóki nie załatwisz rozwodu, albo też popełniłaś błąd, pozwalając mu odejść, po czym nie wiedziałaś, jak to skleić. – Odepchnął się stopami i delikatnie rozhuśtał ławeczkę. – Co ci pasuje?

– Wszystko... A może nic?

– A więc nadal nie wiesz, tak? Okej. To może najpierw opowiedz, jak doszło do tego ślubu. – Spojrzał na nią kątem oka. – Z twojej chaotycznej opowieści wynikało, że Jack zjawił się nieoczekiwanie w twoim mieszkaniu w Denver i że tego samego wieczoru polecieliście do Vegas i wzięliście ślub. Po czym on otrzymał pilne wezwanie od szefa i pole-

ciał gdzieś na koniec świata, a ty wróciłaś do Denver i następnie przyjechałaś do Highpoint.

– Tak by to można mniej więcej ująć.

– Mam wrażenie, że pominęłaś parę szczegółów – zauważył sucho. – Mogę sobie wyobrazić Jacka, decydującego się o piątej po południu na ślub i wiążącego krawat o północy, ale akurat ty nie należysz do impulsywnych osób.

– Możesz się śmiać, ale przyjmij do wiadomości, że w mniejszym lub większym stopniu to był mój pomysł.

Oderwał stopy od podłogi i przestał się huścić.

– Nie żartuj!

Wzruszyła ramionami.

– To ja wspomniałam o obrączkach. Nie spodziewałam się, że tak ochoczo to podejmie. – Annie zawsze łatwiej rozmawiało się z Charliem niż z Benem, niemniej jednak teraz nie miała pojęcia, jak mu wytłumaczyć fakt samego pojawienia się tematu małżeństwa. – Nie byłam sobą. Nadal byłam wstrząśnięta tą napaścią, dopiero co złożyłam wy-mówienie, a gdy zjawił się Jack, właśnie się pakowałam.

– Kolejna rzecz, której nie rozumiem. Dlaczego przestałaś uczyć?

Jak ma mu wytłumaczyć, że nie rozumie samej siebie?

– Uczenie w gminnej szkole wieczorowej zupełnie mnie zadawała.

– Więc... byłaś w złym stanie, gdy zjawił się Jack, i dlatego złożyłaś mu propozycję?

– Niezupełnie. Roztkliwiłam się nad swoim losem. Jack nie planował wracać do kraju w ciągu najbliższych dwóch czy trzech tygodni, a tu nagle, prawie w ostatnim dniu mojego pobytu w Denver, pojawia się. A ja właśnie zwolniłam się z pracy. – Potrząsnęła głową. – W niektórych przypadkach przeznaczenie bywa wystarczającym usprawiedliwieniem naszych poczynań, a my skłonni jesteśmy je uznać za racjonalne.

– Odnoszę wrażenie, że pomijas coś bardzo istotnego. Na przykład swoje uczucia oraz to, jak wpadłaś na pomysł, że twoim przeznaczeniem jest Jack Merriman.

– Zwyczajna, bezgraniczna głupota?

– Byłaś w nim zadurzona bez pamięci, kiedy miałaś piętnaście lat.

– Już nie mam piętnastu lat.

– Jesteś na tyle dorosła, że powinnaś umieć rozróżnić zadurzenie od miłości. Czy to właśnie czujesz do Jacka?

Nie chciała tego powiedzieć. Ani Charliemu, ani sobie. Więc odepchnęła się stopami od drewnianej podłogi ganku, ponownie wprawiając huśtawkę w ruch, i nie odpowiedziała wprost.

– Nie wspominałam ci, że ślubu udzielał nam sobowtór Elvisa?

Charlie parsknął śmiechem.

– I miał na sobie taki sam błyszczący kostium?

– A do tego pelerynę i lśniące czarne włosy z loczkami na czole. A także wystający brzuch.

– Co wam strzeliło do głowy, żeby brać taki ślub!?

– Oczywiście to był pomysł Jacka. Wylądowaliśmy w Vegas około dziewiętej wieczorem, a załatwienie formalności zajęło nam trochę czasu. – Dostatecznie dużo dla niej, żeby pójść po rozum do głowy i ocucić się z zaczadzenia spowodowanego pocałunkami Jacka, ale za każdym razem, gdy chciała zmienić zdanie, on ją znowu całował. Zaciągnął ją do ołtarza, czyli przed oblicze pseudo-Elvisa, z powodu buzujących w niej hormonów, romantycznej atmosfery i jakichś bliżej niesprecyzowanych obaw. – Przez długi czas kręciliśmy się w kółko po mieście i spierali, gdzie ma się odbyć ta uroczystość. Była prawie północ, kiedy trafiliśmy na kaplicę Elvisa, i Jack stwierdził, że to jest to, czyli idealne miejsce do związania się węzłem małżeńskim.

Wszystko tam było takie tandetne. I strasznie zabawne.

I choć była potwornie zdenerwowana, to jednak, gdy Król Rocka – jak żywy – celebrował uroczystość, z trudem hamowała śmiech.

– Najbardziej podobało mi się, gdy Elvis mówił śpiewnym tonem: „Czy ślubujesz kochać tego mężczyznę całym sercem, na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie...” – Uśmiechnęła się szeroko na to wspomnienie.

– I pewnie ta formuła odebrała ci ochotę do śmiechu.

Istotnie, tak się stało o północy, wkrótce po złożeniu przyrzeczeń. Annie odwróciła się, wystawiając twarz na wiatr. Nie chciała patrzeć w oczy Charliemu.

– Byliśmy w windzie hotelowej w drodze do apartamentu dla nowożeńców, kiedy zdobyłam się na odwagę i zapytałam o to, o co powinnam była zapytać w Denver.

– Co to było?

– Zapytałam go, czy mnie kocha. – Zamknęła oczy. Ujrzała wyraz jego twarzy tak wyraźnie, jak gdyby działo się to zaledwie przed paroma chwilami. – Spojrzał na mnie, jakbym przemówiła po marsjańsku. Po czym poczęstował mnie jednym z tych swoich krzywych uśmiechów i powiedział: „No pewnie, że tak”.

Właśnie wtedy Annie doszła do wniosku, że jest idiotką. Czułaby się mniej zraniona, gdyby był zakłopotany albo zły, wiedziałaby bowiem, że te słowa coś dla niego znaczą. A tak miała świadomość, iż powiedział to, co chciała usłyszeć.

– Jako mężczyzna nie wyobrażam sobie lepszego przyjaciela od Jacka. Ale dla kobiety... no cóż, nie jest chyba szczególnie twardy i obcesowy wobec kobiet, choć czasami mogłoby się wydawać, że... – Przerwał i zamyślił się. – Pamiętasz jego bal maturalny? Umówił się wtedy z trzema dziewczynami...

– A skończyło się na tym, że poszedł z Ellen Baxter.

– Najzabawniejsze jest to, że żadna nie przestała go po tym lubić.

Zabawne, ale nie dziwne. Urok Jacka polegał na jego delikatności. Potrafił być impulsywny, zawzięty, beztroski, co sprawiło, że umówił się na bal aż z trzema dziewczynami, ale nie lubił ranić kobiecych uczuć. Zabrał Ellen, bo wiedział, że dwie pozostałe łatwo znajdą sobie kogoś innego... i tak też było. A Ellen była nowa w mieście, i była nieśmiała. Jack martwił się, że Ellen zostanie sama w domu, jeżeli on jej nie weźmie na bal. I dlatego ją poprosił. Nie zrobił tego z litości. I zrobił wszystko, żeby poczuła się kimś wyjątkowym. Niestety, potem już nigdy jej nie zaprosił. I chyba nawet nie przyszło mu do głowy, że może się spodziewać, iż jeszcze się z nią kiedyś umówi. A ponieważ Annie znała Jacka, czyż nie miała prawa przypuszczać, że ożenił się z nią, bo odgadł, co do niego czuje? Bo zrobiło mu się jej żal? Zupełnie możliwe. Och, to jedyne wytłumaczenie. „Chcesz się czuć bezpieczna, więc zapewnię ci bezpieczeństwo”.

Charlie wstał. Huśtawka jęknęła.

– Narobiłaś sobie niezłego bigosu, szkrabie. Wolałbym, żebyś nie podejmowała żadnej decyzji, zanim nie będziesz wiedziała, czego naprawdę chcesz.

– Wiem, czego chcę. Nie sądzę tylko, żebyśmy mogła to dostać.

– Co to takiego?

– Chcę, żeby Jack do mnie wrócił – wyrzuciła z siebie.

– Chcę, żeby między nami ułożyło się i było jak dawniej. Chcę, żebyśmy znów byli przyjaciółmi.

– Do tego niepotrzebne jest małżeństwo. Gdyby ci naprawdę zależało na samej przyjaźni z nim, miałas dwa miesiące na wzięcie rozwodu. – Charlie podszedł do drzwi i nie czekając na jej odpowiedź, zniknął za nimi.

Dopiero trzecie głucho walenie w drzwi poskutkowało.

Zwykle Jack zasypiał byle gdzie i wszędzie. Sypiał w chatach, w szopach, w hotelach, pod namiotem i w pała-

cach; w puchowych łóżkach, w kojach, na barłogach, a także na stercie śmierdzących okryć rzuconych na ziemię w pasterskich szałasach. Ale tej nocy miał problem z zaśnięciem.

Po części z powodu Annie, po części z powodu domu ciotki, w którym się zatrzymał. Wspomnienia, które za dnia wydawały się nieszkodliwe, w nocy zastawiły na niego sidła. Zaczęło się w momencie, kiedy położył się do łóżka, w którym sypiał jako nastolatek. Rzucił się i wiercił, raz nawet wstał i kilkakrotnie przemierzył pokój, aż wreszcie opuścił swoją dawną sypialnię. Z poduszką i kocem pod pachą zszedł na dół. Nie pozwalano mu nigdy wylegiwać się w saloniku na sofie. Służyła do siedzenia, ciotka zawsze to powtarzała, i do spędzania czasu w towarzystwie. Pomyślał, że może taka odmiana pozwoli mu prędzej zasnąć.

A kiedy już go zmogło, spał jak zabity. Więc pierwsza seria walenia w drzwi nie poderwała go na nogi. Miał wrażenie, że to sen. Z trudem otworzył oczy i spojrzał na ścienny zegar. Dobry Boże! Dopiero szósta rano! Jaki to przekłety gorliwiec chce się z nim widzieć o tak wczesnej porze? Zareagował dopiero za trzecim razem, kiedy pojedyncze, choć głośne i natarczywe pukanie rozległo się u drzwi wejściowych.

Odrzucił koc, zwałókł się z sofy i pokuśtykał do holu.

Otworzył drzwi i skrzywił się na widok mężczyzny, który był jego przyjacielem od szóstej klasy.

– Podejrzałem, że to ty albo Ben. Mam nadzieję, że nie przyszedłeś się bić. Jeszcze się nie obudziłem.

– Jeszcze nie zdecydowałem, czy należy ci się bicie, czy nie. Masz. – Charlie wręczył mu plastikowy kubek.

Z pewnym opóźnieniem nos Jacka pochwycił zapach świeżo zaparzonej kawy. Wziął kubek, zdjął pokrywkę i cofnąwszy się parę kroków, wdychał aromat i uważnie obserwował wchodzącego do środka Charliego.

– Nie wyróżniesz mnie, kiedy zacznę pić?

– Mówisz jak facet, który ma nieczyste sumienie. – Charlie nie bywał w tym domu częściej niż Jack, gdy obaj byli w szkole, ale znał drogę. Skierował się do pokoju dziennego, zapalił światło i spojrzął na sofę.

– Biwakujesz tutaj?

– Coś w tym rodzaju. – Jack upił łyk kawy i spojrzął na przyjaciela.

W czasach licealnych Charlie był wysokim, chudym nastolatkiem, napastnikiem w szkolnej drużynie koszykówki. Z wiekiem przybyło mu mięśni, ale nadal był wysokim i szczupłym mężczyzną, przewyższającym o siedem i pół centymetra mierzącego sto osiemdziesiąt trzy centymetry Jacka. Rudawy, o kościstej budowie twarzy i imponującym nosie, z którego mógłby być dumny sam cesarz rzymski, był mało podobny do siostry.

– Chciałem cię o coś zapytać.

– Domyślam się. – Jack wypił kolejny łyk kawy. Była gorąca i gorzka, i na tyle mocna, że od razu oprzytomniał. – Nie sądzę, żebyś miał jeszcze do tego jakies pączki?

– Zjadłem je w drodze do ciebie.

Jack zrobił kwaśną minę.

– Tego też mogłem się domyślić. – Upił jeszcze trochę kawy. Musi być czujny na wypadek, gdyby Charlie zmienił zdanie w sprawie bijatyki. – Możesz zatem nie tracić czasu i od razu przejść do rzeczy.

– Czy ożeniłeś się z Annie, dlatego że jest w ciąży?

Jack zakrztusił się, zakaszłał, aż w końcu pozbył się kawy z tchawicy.

– Co to znowu za pytanie?

– Powiedziałbym, że jak najbardziej oczywiście. – Charlie odstawił swoją kawę na stolik i nerwowym krokiem podszedł do okna. – Ten ślub odbył się dziwnie szybko.

Jack nadal popijał kawę i obserwował przyjaciela, który

tym razem chodził w tę i z powrotem, stąpając po podłodze jak po rozżarzonych węglach. Najwyraźniej Charlie nie czuł się dobrze ze świadomością, że jego mała siostrzyczka może uprawiać seks.

– Więc obudziłeś mnie skoro świt, żeby mi zadać to idiotyczne pytanie? Masz chyba dość własnego rozumu, by wiedzieć, że Annie nie okłamałaby cię w takiej sprawie jak ta.

– Ja, hmm... nie pytałem jej o to.

– Nie pytałeś jej? Więc uważasz, że twoja siostra może być w ciąży i że po prostu zapomniała ci o tym powiedzieć, a ty nie pytasz jej o to, bo jesteś taki subtelny, delikatny braciszek, że... – Jack potrząsnął głową. – Chyba jednak jesteś rąbnięty! Czy muszę ci wbijać do tej zakutej głowy, że Annie ma dwadzieścia sześć lat? Nie sądzę, żeby wciąż była dziewicą...

Charlie wreszcie przestał krążyć.

– No nie, bo wyszła za męża. Za ciebie. A jeśli okaże się, że musiała wyjść za męża, bo...

– Uspokój się. Nie dotknąłem jej. To znaczy, dotykałem jej, ale nie na tyle, żeby zaszła w ciążę.

Charlie rzucił mu piorunujące spojrzenie.

– A mówiąc dokładniej... dotykałeś jej przed ślubem czy po?

– Czy poczujesz się lepiej, jeżeli ci powiem, że nie poszliśmy nigdy razem do łóżka?

– Nie. Bo to już by była kompletna bzdura. Jesteście przecież małżeństwem.

Jack wypił duży łyk kawy. Najwyraźniej potrzebował więcej kofeiny, w przeciwnym razie gotów jeszcze palnąć coś idiotycznego, coś, co popsuje tę przyjaźń. Nie oszukujmy się, przecież najpierw zaprzyjaźnił się z Charliem – z nikim innym. Dopiero później z Annie. U McClainów rodzina była na pierwszym miejscu. Zawsze. I choćby spędził jako młody chłopak w kuchni McClainów jeszcze

więcej godzin, to nigdy tak naprawdę nie należał do rodziny.

Chociaż teraz... przecież już naprawdę jest szwagrem Charliego! Zabawne. Wcześniej nigdy mu się nic takiego nie zdarzyło. Spodobał mu się ten pomysł.

– Okej, zachowuję się jak idiota. – Charlie odgarnął włosy z czoła. – Tak naprawdę, to nie myślę, żeby była z tobą w ciąży. Nie zostawiłbyś jej samej, gdyby nosiła twoje dziecko, nawet gdyby praca waliła ci się na głowę.

– Dziękuję za zaufanie.

– Mogła jednak zająć w ciążę z kimś innym. Z kimś, kto nie chce albo nie może się z nią ożenić. Pomyślałem, że może ci o tym powiedziała, a ty ożeniłeś się z nią, żeby dziecko miało ojca.

Jack nagle poczuł się dziwnie nieswojo na myśl, że Annie mogłaby być w ciąży z innym mężczyzną. To nie była zazdrość. Przynajmniej tak myślał, ponieważ to w niczym nie przypominało dzikiej wściekłości, od której o mało się nie skręcił, gdy usłyszał, że Annie może być zainteresowana Tobym Randallem. Nie, to było spokojne uczucie, ale nie beznamienne. Nie było łagodne. Raczej piekące, bliżej nieokreślone uczucie, coś... jak kwaśne opary.

– Czy przypadkiem nie naoglądałeś się zbyt wielu oper mydlanych? To chyba najbardziej pokręcony i popieprzony pomysł, jaki ci kiedykolwiek przyszedł do głowy.

– A który akurat mógłby pasować do ciebie, Jack. Chyba nie powiesz, że gdyby Annie była w ciąży, a nie była zamężna, nie zaproponowałbyś jej małżeństwa?

– No cóż... – Jack potarł twarz rękami. Charlie miał rację. Dla Annie zrobiłby niemal wszystko. A jednak było inaczej. Annie nie była... nie jest... w ciąży. – Powody, dla których ożeniłem się, były całkowicie egoistyczne.

– Tak? Więc po co ci był ten ślub?

Jack nie wiedział, co powiedzieć. Nie zamierzał okłamy-

wać Charliego. Okłamał już jego siostrę i czuł się z tego powodu parszywie.

Kiedy po raz pierwszy zaświtała mu myśl o małżeństwie, nie przypuszczał, że Annie może zechcieć przedłożyć niewiele znaczące zaloty i puste słowa nad naprawdę najczystszą przyjaźń, jaka ich łączyła, i nad namiętność, którą właśnie odkryli. Uważał, że jest zbyt wrażliwa, by dać się nabrać na te wszystkie miłe kłamszewka o miłości, przez które tak wiele kobiet zmarnowało sobie życie. W ich noc poślubną przekonał się, jak bardzo się mylił.

Byli sami w windzie, w drodze do apartamentu dla nowożeńców, i Jack muskał ją i pieścił ustami, ekscytując się smakiem czekającej ich uczy. I wtedy ona, zupełnie nieoczekiwanie, odepchnęła go i patrząc nań ze śmiertelną powagą i ze strachem w oczach, zapytała, czy ją kocha.

A jego jakby nagle piorun trafił. Musiał odczekać chwilę, parę sekund za długo, zanim jej odpowiedział. Och, zdobył się nawet na uśmiech i powiedział to, co chciała usłyszeć, ale ta jedna chwila wahania wystarczyła, żeby Annie poczuła się dotknięta. Czuł się tak podle, jak gdyby ją okłamał.

– No i co? – zapytał Charlie. – Czy tak trudno jest znaleźć jakiś powód?

– Chciałem to najpierw ubrać w odpowiednie słowa, po których byś mnie nie zdzielił. – Jack potarł dłonią kark. Poczul się dziwnie. Przyzwyczał się, że w tym miejscu zwykle miał włosy. Annie zarzuciła mu, że kazał się oskalpować fryzjerowi. Uśmiechnął się. Przynajmniej to jedno zauważyła.

Charlie przypatrywał mu się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

– Może wolalbym nie wiedzieć? Jeżeli to ma coś wspólnego z seksem...

– Nie ma.

Charlie popatrzył spode łba, po czym podszedł do swojej kawy. Upił łyk, skrzywił się i odstawił kubek.

– Wystygło, cholerstwo.

– To za karę, że zjadłeś wszystkie pączki. Poza tym, po jakie licho budziłeś mnie o tak wczesnej porze?

– Na jutro muszę dostarczyć dużą partię rur do Kalifornii. Wolałem porozmawiać z tobą, zanim ruszę w drogę. No właśnie... dlaczego powiedziałaś, żebym uważał na Annie, zanim obaj nie porozmawiamy?

– Parszywa sprawa. Wolałbym, żebyś nie wyjeżdżał teraz z miasta.

– Intrygujesz mnie coraz bardziej. Jeśli chcesz, żebym wystąpił w roli swatki...

– Nie, nic w tym rodzaju. – Jack przejechał dłonią po głowie. Doszedł do wniosku, że ma za mało czasu, by stopniowo wprowadzić Charliego w temat. – Wydaje mi się, że ktoś próbował mnie zabić. Niewykluczone, że i Annie jest w niebezpieczeństwie.

Słońce już wstało, a Annie jeszcze leżała w łóżku. Zwykle wstawała od razu po przebudzeniu, czyli wcześnie. Ale dzisiaj nie miała na to ochoty. Nie chciała śpiewać przy radiu ani rozmawiać z braćmi. Nie chciała stawić czoła decyzjom, które najprawdopodobniej dzisiaj miały zapaść. A przede wszystkim nie chciała stawać twarzą w twarz z Jackiem. Najchętniej schowałaby się pod kołdrę i przesiedziała tam najbliższe tygodnie. Ale jak długo można się ukrywać? Westchnęła, odrzuciła kołdrę i opuściła ciepłe łóżko.

Podeszła do okna i stwierdziła, że samochód Charliego odjechał, natomiast pikap Bena stoi jeszcze na podjeździe. A zatem czeka ją trudna i raczej mało przyjemna rozmowa.

Wzięła szybki prysznic, włożyła dzinsy i starą bluzę

dresową w beżowym kolorze. Dla dodania sobie animuszu wciągnęła żółte skarpetki. To był radosny kolor, który, miała nadzieję, doda jej optymizmu, ilekroć spojrzy na nogi. Po czym, zaciskając zęby, zeszła na dół.

Jej duży, najstarszy brat siedział przy kuchennym stole i ponurym wzrokiem wpatrywał się w swoją kawę.

Ben był najszerszy w ramionach i miał ze wszystkich braci najciemniejszą karnację. Był naprawdę upartym człowiekiem, uwielbiał otwartą przestrzeń i przyrodę, łatwo się złościł i miał wielkie serce. Onieśmiała niektórych. Wielu go nie doceniało, uważając, że człowiek jego postury i tak jak on gburowaty składa się wyłącznie z mięśni, na pewno nie z mózgu.

Annie wiedziała swoje. W bojowym nastroju przekroczyła próg kuchni. Udając beztroskę, rzuciła „dzień dobry” i podeszła do dzbanka z kawą.

– Dlaczego nie jesteś jeszcze w pracy i nie zadręczasz swojej sekretarki albo nie ciskasz gromów na robotników na budowie?

– Muszę z tobą porozmawiać.

– A nie lepiej, żebyś od razu na mnie nawrzeszczał? Zwykle dobrze ci to robi. – Sama niewiele sobie robiła z jego wybuchów złości. Nie lubiła natomiast, gdy siedział i dumał. Oznaczało to bowiem, że ma o coś pretensje do siebie, że wini się za coś.

– Nie jesz śniadania? – zapytał, kiedy usiadła naprzeciw.

– Nie mam ochoty. – Wzruszyła ramionami.

Spojrzał na nią uważnie.

– Robotnik z mojej ekipy na budowie u Bakera zadzwonił, że jest chory. Jeżeli nie masz nic konkretnego do roboty, mogłabyś go zastąpić. Chciałbym dzisiaj zakończyć prace sztukatorskie.

Czy to wszystko, o czym chciał z nią porozmawiać?

– Jasne – odpowiedziała z ulgą, choć akurat kładzenie

gipsu typu sheetrock nie należało do jej ulubionych zajęć, ale i tak wołała to od zakładania izolacji. Potem przez parę dni wszystko ją swędziało. Od pyłu sheetrocka dostawała kataru i nieustannie kichała.

– Cieszę się. – Odstawił filiżankę po kawie, napiął ramiona, jakby przygotowywał się do udźwignięcia ciężaru. – Annie, uważam, że powinnaś się wyprowadzić.

Nie spodziewała się tego. Dotknęta do żywego, szarpnęła ręką kubek i rozlała kawę.

– Ja... sądziłam, że dobrze nam się układa, ale skoro... – Zamilkła, żeby się opanować. – Skoro tego chcesz, to... oczywiście. Wyprowadzę się. Może nie tak od razu, bo przecież muszę sobie znaleźć jakieś miejsce... wiesz, jak z tym jest, zwłaszcza że zbliża się sezon narciarski, ale...

– Przystopuj. Mnie chodzi o coś innego. Dom jest w takim samym stopniu twój, jak mój. Do diabła, wiem, że postępuję niewłaściwie. – Skrzywił się. W ten sposób Ben dawał wyraz prawie wszystkim silniejszym emocjom. – Zachowuję się jak egoista. Lubię, kiedy jesteś w pobliżu, ale wiem, że to jest niesłuszne. Powinnaś mieć swoje własne życie...

– Ależ ja je mam! To, że próbujesz w nie ingerować od czasu do czasu, wcale mi nie przeszkadza. Przecież i tak się nie daję! Więc nie widzę problemu...

Potrząsnął głową.

– Jesteś mężatką, a mieszkasz z braćmi. Więc chyba jednak nie masz własnego życia.

Jak na człowieka upartego, Ben bywał na ogół całkiem rozsądny, ale w kilku sprawach pozostawał nieugięty, twardy jak kamień, oporny jak marmur. Jednym słowem nieustępliwy. Jedną z nich było małżeństwo.

– Zdaję sobie sprawę, że moja sytuacja jest niezwykajna, Ben, ale to małżeństwo nie jest... – Prawdziwie, chciała

powiedzieć, ale przypomniała sobie, jak wczoraj zareagował na to Jack. – Tak naprawdę to nie jest normalne małżeństwo. Nie żyliśmy ze sobą. Nie... – Nie, nie zamierza nikomu opowiadać, czego jeszcze nie robili z Jackiem. – To jest bardziej skomplikowane, niż myślisz.

– Albo jesteście małżeństwem, albo nie. Jeśli tak, to twoje miejsce jest przy mężu.

Tak z pewnością uważała ich matka. Podążyła za mężem na koniec świata, pozostawiając dzieci ze swoją matką – dopóki nie opuściła ich w nieodwracalny sposób. Annie zacisnęła wargi.

– Nie żyjemy w dziewiętnastym wieku, i nawet ty nie postrzegasz wszystkiego w kategoriach czarne – białe. Jest cała masa powodów, dla których kobieta może odsunąć się od męża... niewierność, okrucieństwo, porzucenie...

Spoczywająca na stole ręka Bena zacisnęła się w pięść.

– Jeżeli on cię bije...

– Nie, och, nie! Nie to chciałam powiedzieć. Na miłość boską, Ben, przecież znasz Jacka. Możesz go nie lubić, ale wiesz dobrze, że nigdy by mnie nie uderzył. Podobnie jak żadnej innej kobiety.

– Zdradził cię?

Otworzyła usta i... zamknęła je z powrotem. Nie знаła odpowiedzi. Akurat o tym starała się nie myśleć. Na zdrowy rozum, gdyby Jack sprzeniewierzył się ich wziętemu w pośpiechu, nie skonsumowanemu małżeństwu, nie mogłaby go za to winić. W końcu całowali się tylko, a potem stanęli przed obliczem sobowtóra Elvisa i pod wpływem impulsu wyrecytowali słowa ślubnej przysięgi. Ale myśl, że Jack może być z inną kobietą, doprowadzała ją do białej gorączki.

Zwilżyła wargi i odpowiedziała w miarę uczciwie.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Więc powinnaś być z nim. Nie tutaj. – Przechylił się do tyłu na krześle. – A jeśli chodzi o Jacka, to nie powiem, żebym go nie lubił. Może potrzebowałam trochę więcej czasu, żeby oswoić się z myślą, że jest moim szwagrem, ale nie powiem, żebym go nie lubił.

– Wczoraj, kiedy usłyszałaś, że jest w mieście, skoczyłaś jak oparzony.

– Bo poczułem się tak jak wtedy, gdy ty i Charlie ukrywaliście coś przede mną. No i okazało się, że mam rację.

Na szczęście dzwonek u drzwi przerwał rozmowę.

– Otworzę. – Poderwała się ochoczo.

– Zaczekaj chwilę. – Kleszczowym chwytem przytrzymał ją za nadgarstek. – Zamierzam zamieścić w dzisiejszej gazecie notatkę o waszym ślubie.

– Co zamierzasz?

– To, co powiedziałem.

– Nie do ciebie należy podejmowanie tego rodzaju decyzji!

– Skoro już wiem, że wzięliście ślub, byłoby kłamstwem, gdybym utrzymywał, że jest inaczej. Nie lubię kłamstwa. Notatka w gazecie to najprostszy sposób załatwienia takiej sprawy.

– Chyba musi być przyjemnie czuć się kimś tak doskonałym i nieomylnym – powiedziała z przekąsem. – Takim pewnym siebie i swoich racji.

– Rzadko kiedy czuję się mniej pewnie niż dzisiaj. Nie ulega wątpliwości, że popełniłem kilka zasadniczych błędów, kiedy byłaś młodsza, skoro nie uznałaś za słuszne powiedzieć mi, że wyszłaś za mąż.

Nie znosiła, gdy Ben winił siebie za jej błędy. Wołała, gdy ją pouczał, wściekał się na nią albo nawet krzyczał. To był jeden z powodów, dla których tak bardzo nie lubiła popełniać błędów.

Ponownie rozległ się dzwonek u drzwi. Wyrwała rękę, szybko minęła salon, otworzyła frontowe drzwi i... jęknęła.

W szerokim uśmiechu Jacka bez trudu można było dopatrzeć się grzesznych sugestii.

– Dzień dobry.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Rozdział czwarty

Za nią wyrósł Ben, który przekręcił gałkę i wyszedł na ganek.

– Jest wyprowadzona z równowagi – powiedział do Jacka.

– Odniosłem takie wrażenie.

– Powiedziałem jej, że zamieszczę w gazecie notatkę o waszym ślubie.

– Słusznie.

Popatrzwszy na Jacka, Ben zawahał się. Był od niego wyższy o głowę i dwadzieścia kilo cięższy.

– Jeżeli ją skrzywdziłeś, pogruhoczę ci kości. Jeszcze tylko nie podjąłem decyzji, które.

Jack pokiwał głową.

– Przynajmniej uczciwie stawiasz sprawę. Masz rację, że nad nią czuwasz. – Zerknął na Annie, po czym znów na Bena. – Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać.

Annie zastanawiała się, czy nie zamknąć ponownie drzwi i nie odgrodzić się od nich obu, ale Ben z pewnością miał przy sobie klucz, więc jej gest mógłby minąć się z celem.

– Jest coś, o czym muszę wiedzieć – powiedział Ben.

– A mianowicie?

– Czy dochowałeś wierności Annie?

Jacka poderwało, stanął prawie na baczność.

– Uważam, że ta sprawa dotyczy tylko Annie i mnie. Więc jak? Chcesz się siłować na rękę? Czy rozkwasić mi nos? A może najpierw wejść do środka i porozmawiam z Annie?

Dłonie Bena zacisnęły się w pięści.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Annie wysunęła się do przodu. Jeżeli ktokolwiek miałby przyłożyć Jackowi, to tylko ona. Stała obok Bena i położyła rękę na jego ramieniu.

Wiedziała, że Benowi nie będzie łatwo się wycofać. Cokolwiek zaczynał, musiał to doprowadzić do końca i postawić na swoim. Ją samą próbował prowadzić za rączkę, a już naprawdę doprowadzał ją do szału, kiedy chciał coś za nią załatwić. Wiedziała, że gotów jest teraz wytrząsnąć prawdę z Jacka.

Po raz pierwszy zastanowiła się, czy bracia nie zepsuli jej. Och, nie w sensie materialnym. Pozostałe po śmierci rodziców pieniądze wystarczyły zaledwie na bieżące potrzeby i okazjonalne przyjemności. Rzecz w tym, że Ben, Duncan i Charlie byli na każde jej zawołanie, gotowi spełnić każde jej życzenie. Ich miłość była stałym i niezmiennym elementem jej życia, czymś, na czym zawsze mogła polegać. Może przez to oczekuje za wiele? Może żaden mężczyzna nie pokocha jej w sposób, w jaki by pragnęła?

Po chwili poczuła, jak napięte ramię brata rozluźnia się.

– W porządku. Nie jestem tym zachwycony, ale zgadzam się. Możesz wejść. A teraz spieszę się do roboty. Annie, czekam na ciebie o ósmej. Po powrocie do domu porozmawiamy jeszcze o twojej wyprowadzce.

Jack uniósł brwi, ale nic nie powiedział, dopóki nie wszedł za Annie do domu i nie zamknął za sobą drzwi.

– Wyprowadzasz się?

– Ben po raz kolejny postanowił uporządkować świat – zachnęła się. – Napijesz się kawy?

– Uporządkować świat? Jak znam Bena, to pewnie uważa, że powinnaś zamieszkać ze mną. Mam rację?

Poczuła, że się czerwieni. Pospiesznie odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni.

– Mów, co chcesz, ale ja muszę napić się kawy.

Poszedł za nią. Wciąż nie mógł się nadziwić.

– Kto by pomyślał, że Ben McClain stanie po mojej stronie?

– Nie zapominaj, że groził ci też połamaniem kości – powiedziała, sięgając do kredensu po kubek.

– Tylko, jeżeli skrewię. A ja nie mam takiego zamiaru, Annie.

Sposób, w jaki wymówił jej imię, sprawił, że się odwróciła. Oparła się plecami o kredens.

Znowu stał za blisko. Podeszedł bliżej, zatrzymując się na wyciągnięcie dłoni, opierając ręce o kredens i unieruchamiając ją w ten sposób.

– Dlaczego Ben pytał, czy byłem ci wierny? Czyżbyś bała się sama o to zapytać? A może po prostu to cię nie obchodzi?

Wbrew jej woli serce dało o sobie znać szybkimi, zapierającymi dech uderzeniami.

– Odsuń się, Jack. Żeby rozmawiać, muszę mieć choć trochę wolnej przestrzeni.

– Trudno jest rozmawiać, gdy stoi się tak blisko siebie – przyznał i opuścił jedną rękę.

Nie przyniosło jej to żadnej ulgi, ponieważ natychmiast, tą samą ręką, zaczął bawić się jej włosami. Przesiewał je między palcami, wpatrując się w nie, jakby odkrył w nich coś fascynującego, gdy tymczasem były proste i równie pozbawione jakiegokolwiek tajemniczości, jak ona sama. Nie powinna z tego powodu czuć takiej słabości w kolanach. Ani też rozkosznego ucisku w dole brzucha.

– No to jak? Chcesz mnie zapytać? Chcesz wiedzieć?

Zadarła dumnie podbródek.

– Byłeś z inną kobietą?

– Nie byłem z żadną kobietą od naszego wyjazdu do Las Vegas, Annie. – Gdy wypowiadał te słowa, figlarny uśmiešek rozjaśnił jego twarz. – Nawet z tobą, niestety.

Nie spodziewała się, że poczuje tak wielką ulgę.

– Dlaczego się uśmiechasz? Jeszcze niedawno byłeś na mnie wściekły.

– Uwodzenie kobiety krzykiem na nic się nie zda.

– Ja... – Urwała, odchrząknęła. – Nie chcę, żebyś mnie uwodził.

– Jesteś tego pewna? Wydawało mi się, że nawet to polubiłaś.

Annie nie wiedziała, że podniecenie może przyprawić człowieka o gęsią skórkę, jakby mu było zimno. A nawet, że można od tego dostać dreszczy.

– To, co ja lubię, a co jest dla mnie dobre, to dwie różne sprawy.

– Pragniesz mnie, Annie. Nie próbuj przekonywać żadnego z nas, że jest inaczej.

– A czego ty pragniesz? Nocy poślubnej czy prawdziwego małżeństwa?

– Gdybym wziął ślub z jakąkolwiek inną kobietą, którą kiedykolwiek w życiu pragnąłem, znalazłbym się teraz w poważnym kłopotcie. Ale... ale na szczęście wziąłem ślub z tobą, Annie, i pragnę tylko ciebie, Annie.

Do licha! Co on sobie wyobraża? Czy sądzi, że jej serce, wystawione na takie wzruszenia i wstrząsy, zdobędzie się jednocześnie na radosny śpiew? Położyła ręce na jego piersi i odepchnęła go.

– Nie wmawiaj mi, że na mój widok nie możesz utrzymać przy sobie rąk! Przez całe lata nie miałeś z tym problemu.

– Aż dziw, jak wszystko się zmienia, nieprawda?

– Uśmiechnął się, przesunął na bok i oparł o blat. Był znów na luzie.

Wzięła jego kubek, żeby mu nalać kawy. Z tej odległości rozmowa z nim stawała się łatwiejsza.

– Posłuchaj, właśnie w taki sposób wpakowaliśmy się niedawno w tarapaty. Pofolgowaliśmy sobie, podnieciliśmy się i nawet nie porozmawialiśmy o tym, czego oczekujemy po małżeństwie. A także od siebie nawzajem. Potem, gdy nastąpiło czołowe zderzenie naszych oczekiwań, powiedzieliśmy sobie wiele przykrych słów, raniąc się nawzajem. Nie zamierzam tego powtarzać.

– Okej. Przeprowadź się do mnie, a będziemy mieli okazję porozmawiać o wszystkich naszych oczekiwaniach.

Zesztywniała z dzbankiem w pół drogi. Po chwili nalała mu kawy. Jej ręka trzymała się nad podziw pewnie.

– No, wreszcie jakieś rozsądne rozwiązanie. Wprowadzę się do ciebie na parę tygodni, będziemy uprawiać dziki seks, a kiedy znów opuścisz kraj, niezwłocznie będziesz musiał odzwyczaić się i uwolnić od emocjonalnych więzów ze mną. Wiesz przecież, jak szybko mija twój zapał, Jack. – Odwróciła się i podała mu kawę. – Dziękuję, ale nie skorzystam.

– Annie. – Jedną ręką odebrał kubek, drugą zaś dotknął jej policzka. – Nie powiem, żeby mi się nie spodobał ten fragment o dzikim seksie, ale ja nie chcę uwalniać się od emocjonalnych więzów z tobą. Muszę mieć pewność, że nic złego cię nie spotka.

– Chyba nie mówisz o tym idiotycznym anonimowym liście?

– Pośrednio. – Przejechał ręką po głowie. – Posłuchaj, jest coś, o czym ci nie powiedziałem.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Więc ty naprawdę masz zwariowaną eks-kochankę!

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale jest faktem, że ktoś

wysłał ten list. Ktoś, kto wiedział, że wzięliśmy ślub, a przecież ty nie mówiłaś o tym nikomu. Być może ma to jakiś związek z... czymś, co zdarzyło się w mojej ostatniej pracy. I dlatego zależy mi bardzo, żeby poznać treść tego listu.

– Nie zapamiętałam go dokładnie. – Próbując się skupić, podeszła do stołu i usiadła. Odgradzona od Jacka masywnym, szerokim dębowym stołem od razu poczuła się pewniej i spokojniej. – Było tam coś w rodzaju, że jeszcze pożałuję, że odebrałam jej ciebie, a także... że pożałuję, że ją tak bezlitośnie potraktowałam. Wszystko to było takie dziecinne, sposób formułowania zdań, wyrażania uczuć, nawet pisownia. Ktokolwiek to napisał, nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić pisownię.

– To znaczy, że napisano go albo na maszynie, albo na komputerze. A koperta? Była zaadresowana ręcznie?

– Nie, miała drukowaną białą naklejkę. Zwróciłam na nią uwagę, bo byłam wściekła... Z tego też powodu napisałam do ciebie tych parę słów. Pomyślałam, że to musi być ktoś, kogo nieźle znasz, na tyle dobrze, że poinformowałaś ją o naszym ślubie. Znała mój adres.

– Annie, nie kontaktowałam się z nikim, z kim się dotychczas umawiałem... ani osobiście, ani listownie, ani w żaden inny sposób.

– Hmm. – Odchrząknęła. – Na kopercie nie było zwrotnego adresu, więc usiłowałam rozszyfrować pieczętkę na znaczku, ale była zamazana. Jedno, co wiem, to... że list nadano w Stanach. Nie przyszedł z Borneo, Paragwaju czy skądkolwiek. – Odstawiła filiżankę. – Jack, o co tu chodzi?

– W przeciwieństwie do ciebie ja powiedziałem ludziom o naszym ślubie. Ale nie moim dawnym sympatiom. Przesłałem informację do biura agencji ubezpieczeniowej. Otdąd jesteś objęta moim ubezpieczeniem.

– Naprawdę? – Była zaskoczona. – Jack, bardzo mi przykro.

– Nie odpowiada ci to? – zapytał ze słabym uśmiechem.

– Przykro mi, ponieważ uporczywie twierdziłam, że nasze małżeństwo nie jest prawdziwe. – Zaczęła się bawić uszkiem swojego kubka, żeby uniknąć wzroku Jacka. – Nie przypuszczałam, że potraktujesz to tak poważnie.

– Masz o mnie dość osobliwą opinię.

– Miałam prawo podejrzewać cię o wszystko, co najgorsze. Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz, kłóciliśmy się okropnie, walczyliśmy ze sobą na całego. Nie zadzwoniłeś, nie odpowiedziałeś na mój list... więc... gdy pojawiłeś się tutaj, sądziłam, że zażadasz rozwodu. Nic nie zrozumiałam. – Ale już teraz zaczynała rozumieć.

– Wróćmy do listu, którego nie napisałem, dobrze? Nie jestem dobry w tego rodzaju sprawach. Sądziłem, że gdy dostaniesz bilet, zrozumiesz moją intencję. Że nadal pragnę, abyś do mnie dołączyła.

Nerwowo przebierała palcami po uszku kubka.

– Chyba zrozumiałam, ale liczyłam, że usłyszę od ciebie coś na temat twoich uczuć.

– Byłem wściekły jak diabli. Uznałem, że będzie lepiej, jeżeli nie przeleję tego na papier. – Westchnął. – Annie, dzieje się coś dziwnego, co ma związek z moją ostatnią pracą.

– Dlatego musiałeś wyjechać dzień po naszym ślubie?

Komórka Jacka zadzwoniła w chwili, kiedy weszli do hotelowego pokoju. Annie nie chciała, żeby odbierał. Tym bardziej zdenerwowała się, kiedy jej oznajmił, że następnego dnia musi wyjechać z kraju. Próbowwała mu to wyperswadować, sugerowała, żeby ktoś inny zajął się tą pilną sprawą. Była pewna, że jej nie kocha, ale w głębi duszy miała nadzieję... że jest ważniejsza od jego pracy. Ale do złości i żalu dołączyło wyrachowane, trzeźwe po-

czucie ulgi – liczyła bowiem, że po jego wyjeździe będą mogli udawać, że Las Vegas nigdy się nie wydarzyło.

– Ej! Jesteś jeszcze ze mną czy odplynęłaś myślami?

– Przepraszam. – Potrząsnęła głową, próbując oderwać się od swoich myśli. – Powiedziałaś, po tym telefonie, że facet, który kierował pracą, znalazł się w szpitalu. Jakies komplikacje po usunięciu wyrostka robaczkowego... Ale jaki to ma związek z anonimem, który dostałam?

– Komplikacje nie były wyłącznie natury medycznej. Metz, ten facet, którego zastąpiłem, miał zbudować i wyposażać wiejską klinikę. Budowa była prawie ukończona, natomiast powstał problem z wyposażeniem. A ściślej mówiąc, z brakiem zaopatrzenia. Lekarstwa, które znalazły się w klinice, nie były tymi, za które zapłaciła agencja MPRB. Były przeterminowane.

– Och, nie. Ukradł tamte?

– Wszystko wskazuje na to, że upłynął je na czarnym rynku. Niech to jasna cholera, Annie! W takich miejscach jak tamto ludzie umierają, bo brakuje antybiotyków. Zaś te, których on zamierzał użyć, były przeterminowane. A niepełnowartościowa tetracyklina może poważnie uszkodzić nerki.

– I co zrobiłeś w tej sytuacji?

– Powiadomiłem miejscowego inspektora, dla czystej formalności, bez względu na to, czy to coś da, czy nie. Uważałem bowiem, że jeżeli nie on, to jego szef musiał być w to zamieszany. Następnie odwiedziłem dwa ostatnie miejsca, za które był odpowiedzialny Metz. W obu wyciął ten sam numer. – Zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Oczywiście, powiadomiłem także Amosa Deerbauma.

Annie kiwnęła ze zrozumieniem głową. Deerbaum był siostrzeńcem założyciela agencji MPRB, dyrektorem i członkiem rady nadzorczej. Osobiście wprowadzał Jacka w arkana zawodu.

– A co on na to?

Jack skrzywił się.

– Dodał mi otuchy, zachęcił do działania, ale ostatnio najczęściej przebywa na polowaniach, na punkcie których oszalał. Był najpierw na Alasce, następnie na safari w Afryce. Powiedział, żebym zbadał sprawę i zebrał wszystkie możliwe informacje, ale kierownictwo biura powierzył Herbertowi...

– Herbertowi Bickhamowi? Czy to ten, którego nazwałeś chodzącym przykładem sławnej zasady Petera, według której każdy pracownik może być awansowany aż do osiągnięcia właściwego mu stopnia niekompetencji?

– Tak, to ten sam. Jak może, tak stara się wyciszyć sprawę. Głównie dba o to, żeby nie narażać reputacji agencji MPRB na szwank i ewentualne odcięcie jej od źródeł finansowania.

– To bardzo źle, ale z podobnym nastawieniem do przestępstw gospodarczych popełnianych przez wysokich urzędników można się spotkać w niejednej korporacji czy spółce. Wolą nie mieć kłopotów z opinią publiczną, a przede wszystkim z mediami.

– Oczywiście wywalił Metza – bez przekonania powiedział Jack. – Ale to wszystko, nawet nie chciał, żebym dalej badał sprawę. Ale ja i tak zrobiłem swoje.

To był cały Jack. Olewanie biurokracji i gaz do dechy.

– Więc to właśnie tym zajmowałeś się przez ostatnie dwa miesiące? Prowadziłeś dochodzenie?

– Kiedy tylko mogłem. Metz dopuścił się nieliczych machlojek przy budowie tej kliniki, musiałem więc to jakoś naprawić. Były też problemy z dwiema innymi klinikami, które budował. Ale wiele się dowiedziałem. Wszystkie wolne chwile spędzałem w Singapurze, bo tam znajduje się najbliższe biuro regionalne. Próbowałem prześledzić jego machinacje z podkładaniem substytutów i odkryć, co stało się z oryginalną dostawą. – Zawahał się. – Trzy tygodnie temu dowiedziałem się, że Metz popełnił samobójstwo.

– Och, nie. – Dotknęła jego ręki. – Chyba nie obwiniasz się za to?

– Do licha, nie. Drań oszukał niewinnych ludzi. Ludzi, którym miał pomagać. Tymczasem jego śmierć przekreśliła nadzieję na wyciągnięcie czegoś od niego i dowiedzenie się, kto jeszcze był w to zamieszany.

– Podejrzewasz, że nie działał sam?

– Nie wiem, nie mam pewności, ale istnieje taka możliwość. Następnie... w tydzień po tym, jak dowiedziałem się o jego śmierci, ktoś zepchnął mnie z szosy.

– Ktoś cię... o Boże! To ten wypadek, o którym wspominałeś?

Przytaknął skinięciem głowy.

– A zaraz potem zastałem w pokoju kartkę z ostrzeżeniem... Ktoś napisał: „Trzymaj się od tego z daleka”. Myślałem, że to od kogoś, kto działa na czarnym rynku. Następnie, po dwóch tygodniach, dotarła do mnie twoja kartka. Grożono nam w tym samym czasie.

Ktoś zagraża Jackowi. Ktoś próbował go zabić. Nie mogła tego pojąć.

– Nie widzę związku. List, który dostałam, był idiotyczną próbą skłócenia nas, niczym więcej.

– Być może. Ale ta zbieżność w czasie... – Potrząsnął głową. – W każdym razie, gdy dostałem list od ciebie, wsiałem w pierwszy samolot i przyleciałem do kraju. Musisz się do mnie przeprowadzić, żebym mógł cię chronić.

Czyżby Jack nagle stwierdził, że nie może bez niej mieszkać? Ależ skąd! On chciał ją chronić. Przebył tysiące mil, nie po to jednak, żeby coś między nimi zmienić i naprawić, ale żeby ją chronić przed zagrożeniem, w którego istnienie nie mogła uwierzyć.

Odsunęła się z krzesłem do tyłu.

– Jack, musisz to zgłosić na policji. Niech zrobią, co do nich należy, a nikt nie będzie miał do ciebie o nic pretensji.

– Porozmawiam z nimi, ale policja niewiele tu zdołała – zasępił się. – Jestem przekonany, że w sprawę zamieszany jest jeszcze ktoś z MPRB, i kimkolwiek on jest, trzeba go odnaleźć i zatrzymać.

Z braku lepszego zajęcia Annie chwyciła swój kubek i podeszła do zlewozmywaka.

– Musisz być szczególnie ostrożny.

– Zawsze jestem ostrożny. – Usłyszała szuranie krzesła o podłogę. – Wprowadź się do mnie, a przekonasz się.

– Nie mogę działać pochopnie w takiej sprawie. – Wstała wyplukany kubek do zmywarki. – Nawet jeżeli coś mi grozi, w co zresztą nie wierzę, mieszkam już z dwoma mężczyznami, którzy mają bzika na punkcie mojego bezpieczeństwa, czy mi się to podoba, czy nie.

Podniósł się i stanął obok niej.

– Charlie wyjechał na dłużej niż zwykle, a Ben jest w pracy przez cały dzień. Ja mam urlop. Mogę być z tobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Ja też mam pracę. O rany! – Rzuciła okiem na kuchenny zegar. – Właśnie w tej chwili miałam kłaść tynki.

– Lepiej, żebyś się nie spóźniła. Ben zastanawia się nad tym, co mu powiedziałem. Ale myśli też i o tym. – Przytknął rękę do jej policzka, uśmiechnął się jej prosto w oczy, a jego zamiary malowały się tak wyraźnie na jego twarzy, jakby je wypowiadał na głos.

Załomotało jej serce.

– Trzymaj ręce przy sobie.

– Okej. – Posłuchał jej i uśmiechnął się ponownie. – Żadnych rąk. – Po czym pochylił się i pocałował ją.

Tym razem w jego pocałunku nie było irytacji. Jego usta spoczęły na jej wargach tak naturalnie, jak świt wyłaniający się o poranku. Wydała cichy, gardłowy dźwięk. Pomyślała, że to forma protestu, ale nie miała mu za złe, że nie

potraktował tego w ten sposób. Zwłaszcza, że nawet w jej uszach zabrzmiało to bardziej jak ponaglenie niż złość.

A Jack nie nalegał. Nie, nie spieszył się, całował ją, jakby miał przed sobą cały dzień i nic pilnego do załatwienia, poza poznawaniem jej ust. Pachniał mydłem i kawą. Pragnienie, pożądanie, które się pojawiły, były takie spokojne i proste, że Annie miałyby ochotę przeciągnąć się jak kot w słońcu, a jednocześnie trwać nieruchomo, powstrzymując się w tej właśnie chwili od jakiegokolwiek ruchu.

Nie potrafi powiedzieć, jak długo, po tym, jak odjął usta od jej warg, stała z zamkniętymi oczami. Powoli, z pewnym wysiłkiem, otworzyła je. Jego oczy były promienne, ocięzające powieki świadczyły o podnieceniu, ale te oczy...

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Uniosła rękę w geście zapytania, nie znajdowała słów.

– Jack?

I jakby za przekręceniem kontaktu czy opadnięciem kurtyny, promienny wyraz jego oczu zniknął za dobrze jej znanym, szelmowskim uśmiechem.

– Do zobaczenia koło południa, Annie. – Pociągnął ją lekko za włosy, odwrócił się i zniknął.

Annie stała w kuchni przez długi, absurdalnie długi czas, nie mogąc się ruszyć, próbując cokolwiek zrozumieć. W jego pocałunku nie było pogróżki ani żądań. Więc dlaczego jej serce bije teraz jak na alarm?

Dzień był chłodny i prawie bezwietrzny, słońce ostre – dobry dzień na wszelkie roboty budowlane. Dotychczas Annie pracowała tylko z jednym mężczyzną z tej załogi, i była jedyną kobietą w tym miejscu. Ale przywykła do tego. Nie upłynęło wiele czasu, a już wszyscy pozostali czuli się przy niej na tyle swobodnie, że spluwali i przeklinali, gdy tylko przyszła im ochota. Sposępniała nawet na chwilę, gdy

doszła do wniosku, iż jedyne, w czym jest naprawdę dobra, to w kumaniu się i takich właśnie kumpłowskich relacjach.

Pierwszą część dnia spędziła na przycinaniu i wykrawaniu sheetrocka oraz na próbie odzyskania zdrowego rozsądku, ale walące serce nadal wysyłało nie dość sprecyzowany komunikat, przypominający o podnieceniu, nadziei i strachu. Nie mogła zapomnieć oczu Jacka po tym, jak ją pocałował. Czaił się w nich jakiś zamiar, jakaś intencja ze szczyptą wyrachowania. Podczas gdy ona w pełni poddała się chwili, on nie odkrył się przed nią na tyle, żeby nie obudzić w niej podejrzeń, iż zaplanował ten pocałunek i efekt, jaki wywoła.

Poczuła się dotknięta.

Obrała ją sobie za cel. Stała się kimś, kogo musi ratować, ochraniać. A gdy Jack brał się za coś – mogło to być wygranie konkurencji biegowych podczas szkolnego meetingu albo wybudowanie szkoły w Tunezji – nikt i nic nie mogło stanąć mu na drodze. A gdy osiągał swój cel, odchodził.

A jednak był jej wierny. Przynajmniej tak powiedział. Swoją drogą zachowuje się dziwnie, odkąd przyjechał – jest trudny i drażliwy, a nawet zły, i to w najmniej oczekiwanych momentach, a już po chwili wraca mu dobry nastrój i czaruje ją tym swoim specyficznym poczuciem humoru.

Ale czy Jack był kiedykolwiek przewidywalny? – zapytała siebie, odmierzając sztukaterię. Do pewnego stopnia mógł się zmienić, pomyślała, chowając do kieszeni miarkę. Ale nie na tyle, żeby miała przestać ufać temu, co mówi. Skoro powiedział, że nie miał innej kobiety, to nie miał.

Powiedział też, że ktoś próbował go zabić.

Poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Ani przez chwilę nie wierzyła zapewnieniu Jacka, że będzie ostrożny. Facet nie rozumie nawet znaczenia tego słowa. A jego pomysł, żeby przeprowadziła się do niego po to, by mógł ją chronić? Parsknęła śmiechem. Nie nabierze jej na szytą tak

grubymi niemi próbę manipulacji! Z drugiej strony, skoro rwie się do zapewnienia jej bezpieczeństwa, musi być świadomy zagrożenia. A dla niej jest gotów nadstawić własną głowę.

Do licha. Może powinna zrewidować swoje nastawienie? Może już czas wydorosnąć? Może powinna odłożyć na bok marzenia o tym, jak powinna wyglądać miłość? Może zbyt wiele oczekiwała od Jacka, a szczerze mówiąc, w ogóle... od życia? Może powinna zacząć myśleć w kategoriach kompromisu? W dzisiejszych czasach małżeństwa funkcjonują na odległość. Gdyby Jack na to poszedł, mogłaby z nim być tutaj, w kraju, a gdyby wyjeżdżał... Gdyby wyjeżdżał, czułaby się nieszczęśliwa... Chyba będzie lepiej, jeżeli w ogóle przestanie myśleć...

Dom Merrimanów został wzniesiony około 1940 roku przez człowieka, którego Jack nigdy nie widział – przez jego dziadka. Pasował do opowieści, jakie dotarły do jego uszu o tym mężczyźnie. Dom, zbudowany w wiktoriańskim stylu, który w owym czasie już dawno wyszedł z mody, miał tyle szczytów i szczyków, ile trzeba, wiele dwuspadowych daszków i ozdóbek jak z piernika, a także wieżę zwieńczoną czymś na kształt czapy krasnala. Waldo Merriman był piekielnym starcem, ogarniętym pasją wspomnienia wyłącznie przeszłości, ale cieszącym się dobrą opinią sąsiadów. Niestety, swoich dwóch córek nie darzył zbyt wielką miłością.

Jedna z nich, mając siedemnaście lat, uciekła z domu z pewnym muzykiem. Druga została w domu i z wiekiem nie ustępowała ojcu pod względem uporu i surowości.

W domu było dwanaście pomieszczeń, włącznie z pięcioma sypialniami i pokojem służbowym przy kuchni, gdzie Ida oglądała właśnie serial telewizyjny. Jack rozważał możliwość zaanektowania którejś z sypialni, ponieważ nie mógł

spać w tej, która kiedyś należała do jego ciotki. W końcu postanowił wprowadzić się do saloniku. Laptop spoczął na marmurowym blacie stołu ustawionego na środku pokoju, a poduszka i koce wylądowały na sofie z oparciami w kształcie gryfów.

Nie był to jego jakiś szczególnie ulubiony pokój, ale jeden z tych, w którym spędził bardzo mało czasu. Łączyły go z nim tylko nieliczne wspomnienia, które, jak sądził, nie spędzą mu snu z powiek.

Zaskoczyło go walenie do drzwi. Natychmiast zdjął nogi z sofy i wstał. Może to Annie? Pewnie postanowiła przeprowadzić się do niego i nie może się doczekać, żeby mu to powiedzieć.

Dochodząc do wyłożonego ceramicznymi płytkami holu, uśmiechnął się dość sceptycznie na tę myśl. To pewnie Ben. Nie porozmawiali sobie zbyt długo, gdy nieco wcześniej Jack zajrzał do jego biura.

Jack lubił starszego brata Annie. Benjamin McClain był na swój sposób surowym, a także trochę nieokrzesanym facetem, ale był też jak opoka, dzięki której rodzina przetrwała niejednen trudny okres, i Jack podziwiał go za to. W pewnym sensie zawdzięczał Benowi wybór swojej własnej drogi życiowej. Był także świadkiem satysfakcji i zadowolenia Bena z wykonywanej przez niego pracy. Zawsze podobało mu się, że budowane przez Bena domy i kościoły są trwałe, długowieczne.

Oczywiście czuł, że Ben nie traktuje go zbyt poważnie. I aż do dzisiaj nie zdawał sobie sprawy, że mu na tym zależy. Ale kiedy dowiedział się, że Ben oświadczył Annie, iż powinna mieszkać z mężem, nie z braćmi, poczuł się mile zdziwiony. Najwidoczniej Ben w jakimś momencie zmienił o nim zdanie. Uznał pewnie, że Jack jest okej.

Ktokolwiek pukał, robił to coraz głośniej. Przekręcając

zamek, Jack wykrzywił usta w grymasie. Ben wbiłby go w ziemię, gdyby tylko chciał.

Otworzył drzwi.

– Annie! – Grymas zmienił się w miły uśmiech.

Annie nie była tak uszczęśliwiona jego widokiem, jak on. Położyła obie dłonie na jego klatce piersiowej i zaczęła go popychać. Cofnął się o krok, ona zaś, minąwszy go jak burza, wpadła do saloniku

Zamknął drzwi i poszedł za nią.

– Kiedy usłyszałem, że ktoś próbuje rozwalić mi drzwi, pomyślałem, że to Ben... bo Charlie już wcześniej próbował to zrobić.

Annie miała na sobie džinsy i lekką kurtkę. Pod nią zaś za duży top, który całkowicie ukrywał jej niewielki, dziewczęcy biust. Było jej bardzo ładnie w tym kolorze – delikatny odcień karmelu, który pasował do zaróżowionych ze złości policzków.

Wzięła się pod boki.

– Napuściłeś na mnie mojego brata.

– Niezupelnie. – Zauważył, że włosy miała zaplecione w warkocz. Pewnie ze względów praktycznych, jak myślał, ponieważ przez cały dzień kładła sztukaterie. Pilno mu było, żeby zobaczyć je rozpuszczone, okalające jej twarz. – Od przyjazdu nie widziałem cię ani razu z luźno opadającymi włosami. Lubię, kiedy są ściągnięte do tyłu, ale może rozpuścisz je na dzisiejszy wieczór?

– Odczep się od moich włosów! Widziałeś się z Benem? Tak czy nie?

Oczywiście, że tak. Prosto od Annie udał się na budowę i powiedział Benowi, jak się mają sprawy. Jej wielki brat nie miał powodów do radości, słysząc, że Annie może być w niebezpieczeństwie.

– Co mnie zdradziło?

– Wiesz, ile razy zaglądał dzisiaj na budowę? Początkowo

byłam na niego wściekła, ponieważ sądziłam, że nie ma zaufania do moich umiejętności i sprawdza, jak sobie radzę z kładzeniem sztukaterii. Potem domyśliłam się, że to raczej na ciebie powinnam być wściekła. Powiedziałeś mu, że coś mi grozi? Przyznaj się!

– Powiedziałem mu, że coś takiego jest możliwe. Zagładanie na budowę to już jego własny pomysł. – A który Jack popiera całym sercem. Dopóki nie przekona Annie, żeby z nim zamieszkała, zmuszony jest szukać pomocy i wsparcia u jej braci.

– To będzie nie do zniesienia. Już na co dzień Ben jest zbyt opiekuńczy, a teraz to już... – Z emocji zabrakło jej słów.

– Jeżeli będzie aż tak źle, zawsze możesz wprowadzić się do mnie.

Nowa fala wściekłości sprawiła, że poczerwieniały jej policzki.

– Powiedziałeś mi to tylko po to, żebym się na niego wściekła, może nie? W ten sposób chcesz mnie zmusić do przeprowadzenia się tutaj!

– Nie. – Przeszła mu ochota do żartów. – Powiedziałem to, ponieważ możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie, o czym on powinien wiedzieć. A niezależnie od chronienia cię... wiem, że zapatrujesz się na to inaczej niż ja i Ben... to gdyby moje obawy okazały się słuszne, jego również mogłoby to dotyczyć. W końcu mieszkacie razem.

Zrobiła wielkie oczy.

– Nigdy o tym nie pomyślałam.

Uczciwość bywa czasem bolesna, pomyślał z odrobiną wyrzutu sumienia.

– Mam nadzieję, że chyba jednak nic mu nie grozi. Ale gdyby tak było, i to przeze mnie... – Po chwili potrząsnęła głową. – Ja w to po prostu nie wierzę. Jack, tu nie chodzi o moje bezpieczeństwo ani Bena. Chodzi o twoje.

Nie miała racji, ale jej troska i przejęcie sprawiły, że się uśmiechnął.

– Dobra z ciebie przyjaciółka, Annie.

Opuściła głowę.

– Posłuchaj. – Podeszedł do niej i wziął ją za rękę. – Ja wiem, że dla ciebie przyjaźń nie jest dobrą podstawą małżeństwa. Ale uważam, że nie masz racji. Chciałbym ci to udowodnić. Chodź. – Puścił ją i odwrócił się, żeby wziąć kurtkę.

– Co ty? Niby gdzie mielibyśmy iść o tej porze?

– Nie pytaj, gdzie mielibyśmy iść, wiesz przecież, dokąd chodziliśmy.

Jedną ręką złapał kurtkę i prawie siłą wyprowadził ją z saloniku. Protestowała i na przemian śmiała się, aż odkryła jego zamiar.

– Och, nie. – Zaparła się nogami, starając się go zatrzymać przy wejściu na schody. – Nie pójdę z tobą na górę.

– Nie ciągnę cię do swojego pokoju na seks.

– Wiem. Gdybyś chciał mnie znowu uwieść, raczej zdejmowałbyś ubranie, a nie wkładał kurtkę. Ale nie wdrapię się z tobą na dach. Na miłość boską, Jack, podobno jesteśmy już dorośli.

– Ale nadal lubisz się wspinać.

– Po górach. Nie po dachach.

– Nie chcesz zobaczyć piegów Pana Boga?

Włosy Annie były bardziej brązowe niż rude, ale miała cerę osoby rudowłosej i gdy była młodsza, zanim nie zaczęła regularnie używać preparatów przeciwsłonecznych, ubolewała nad swoimi piegami. Powiedziała Jackowi, że gdy była mała, jej matka, próbując pojednać ją z piegowatą buzią, mówiła jej, że rozrzucone na nocnym niebie gwiazdy to piegi Pana Boga.

– Równie dobrze widzę je z ziemi. Jack, na dworzu jest zimno, zaledwie parę stopni...

Nie przejął się tym. Mieli kurtki.

– No chodź, Annie. Wygląda na to, że tej nocy niebo będzie bezchmurne. Wkrótce pojawią się gwiazdy i zaczną swoją zabawę. Czyba im nie odmówisz?

Nagły, zachwycony uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Nie, bo i tak postawisz na swoim.

Rozdział piąty

Wschodnie okno dawnej sypialni Jacka wychodziło na wąską, bardzo spadzistą część dachu. To nie była najłatwiejsza droga, ale często z niej korzystał, gdy mieszkał tutaj przed laty. I tego wieczoru chciał powędrować razem z Annie właśnie tą drogą. Zaś Annie była jedyną osobą, którą zabierał ze sobą w to szczególne miejsce. Nikogo więcej, nawet Charliego.

Pamiętał, że już za pierwszym razem namówił ją na tę eskapadę, ponieważ dowiedział się, że Annie wcale nie miała lęku wysokości, o co podejrzewali ją bracia. A kiedy to się potwierdziło, postanowił nauczyć ją górskiej wspinaczki. Wszyscy jej bracia wspinali się, wiedział, jak fascynuje ich ten sport, a mimo to Annie nie chciała przyłączyć się do nich. Wspinanie kojarzyło się jej z brawurą szaleńca, dlatego nie chciała w tym uczestniczyć. Bracia nie naciskali, żeby zmieniła zdanie, ale Jack się uparł.

I w końcu Annie polubiła wspinaczkę, była do tego stworzona. Jack wspinał się dla czysto fizycznej radości, jaką dawał ten sport, a także z wrodzonego umiłowania otwartej, wolnej przestrzeni. Annie podzielała to zamiłowanie, ale, jak podejrzewał, szukała też w tym wyzwania, którego on nie potrzebował. Wspinaczka była dla niej dobrze zaplanowanym ryzykiem, które mogła kontrolować.

Annie, choć obwarowana różnymi mechanizmami obronnymi, była z natury odważna i żądna przygód. Nawet jeżeli o tym nie wiedziała, Jack nie miał co do tego wątpliwości.

Wdrapali się po największej stromiźnie dachu na swoje dawne miejsce. Była to przytulna, kryta łupkiem wklęsłość między dwoma szczytami, które niczym miniaturowe góry wznosiły się po bokach, zasłaniając ich przed wiatrem i czyimkolwiek wzrokiem.

To jest to, pomyślał Jack, siadając i opierając się plecami o najbardziej urwisty kawałek dachowej niszy. Tego wieczoru gwiazdy dawały popis – błyszczące confetti rozrzucone po ciemnym jak atrament niebie. Jack przechylił głowę do tyłu, szykując się na widowisko. Annie usadowiła się obok niego. Chciał ją wziąć za rękę, ale zamiast tego splótł palce i oparł dłonie na brzuchu. Skup się na jednym, nakazał sobie z dość kwaśną miną. Był ciekaw, czy Annie pamięta tamte czasy, kiedy się tutaj wspinali, czy czuje się z nim bezpiecznie i swobodnie, jak niegdyś. Albo może czuje się podobnie jak on?

Sądził, że zabierając Annie na dach, przypomną sobie oboje o przyjaźni, którą budowali całymi latami, o związku, na którym oboje mogli polegać. A jednak tego wieczoru wszystko wyglądało inaczej.

Jack lubił wpatrywać się w gwiazdy z tego samego powodu, dla którego lubił wspinaczkę czy wędrówkę. Przyroda, ta na wielką skalę, przywracała człowiekowi właściwe proporcje. Kiedy wędrował po lesie czy spuszczał się z pionowych klifów albo wpatrywał się w niebo, oczyszczał się z pychy, buty i zarozumiałstwa.

Dzisiaj jednak nie potrafił zatracić się w bezkresie nieba. Nie pozwalała mu na to obecność kobiety u jego boku. Kiedy się poruszała, słyszał szelest jej ubrań. Kiedy wzdychała, zastanawiał się, dlaczego. Cały czas czuł jej zapach

– ledwo uchwytny zapach świeżych jabłek. Annie zawsze tak pachniała. I czuł subtelne ciepło, które biło od jej rozgrzanego ciała.

Seks. Legł pomiędzy nimi, zwodził możliwościami, rozpraszał go.

– Używasz jakichś perfum?

– Przecież wiesz, że kicham od perfum.

Podobnie jak od sheetrocka. Uśmiechnął się, zastanawiając się, jak często dzisiaj kichała.

– Więc pewnie mam halucynacje, bo mógłbym przysiąc, że pachniesz jabłkami.

– Och. To mój szampon.

Podciągnął się trochę, zgiął jedno kolano i oparł na nim ramię. Chciał ją pocałować. Do licha, chciał czegoś znacznie więcej, ale pocałunek byłby dobrym początkiem. Sięgnął do jej włosów i pociągnął wystające z warkocza pasemko. Miała takie jedwabiste włosy. Jaką frajdą było się nimi bawić. Chciał je owinąć wokół ręki i przyciągnąć jej twarz ku sobie, więc po prostu zaczął to robić.

Usłyszał jej świszczący oddech.

– Jack, czy mógłbyś przestać próbować zaciągnąć mnie do łóżka, ilekroć znajdujemy się razem?

– Dlaczego?

Na moment zabił jej klina. Po chwili powiedziała niskim głosem:

– Ponieważ sam seks to za mało. W każdym razie dla mnie.

Ogarnęła go złość. Puścił jej włosy.

– Czy naprawdę uważasz, że tylko o to mi chodzi? Gdyby chodziło tylko o seks, Annie, już bym cię miał. A właściwie, skoro tak uważasz, dlaczego nie miałbym tego zrobić tutaj? Teraz...

– Tutaj? – parsknęła z niesmakiem. – Uważasz, że mogłabym się kochać na szczycie dachu?

Przekręcił się szybko i zręcznie. W mgnieniu oka znalazł się na niej, przygniatając ją swoim ciężarem i, siłą rzeczy, zmuszając do poddania się, aż – na tyle, na ile pozwalała przestrzeń – znaleźli się prawie w pozycji horyzontalnej. Och, tak, była gorąca, taka rozkoszna, z wypiętymi, przyciśniętymi do jego torsu piersiami.

– Zejdź ze mnie, i to natychmiast! – Słowa były stanowcze, ale nie głos. – Nie przyszedłam tutaj, żeby się pieprzyć na dachu jak jakaś dzika kotka.

Wsunął nogę między jej nogi.

– Chwileczkę, kochanie.

Wyprężyła się i szarpnęła pod nim całą mocą swojego ciała. Annie była silna; naprawdę niewiele brakowało, żeby zsunął się po łupkowatej stromiźnie dachu. Ale był od niej silniejszy i cięższy o jakieś dwadzieścia pięć kilo.

To, pomyślał nie bez pewnego rozbawienia, na pewno ją rozwścieczy. Ale czasami złość leży tak blisko innych emocji, że można jednym celnym posunięciem wprowadzić osobę w inny stan, zanim zorientuje się, co się stało.

Ponieważ z góry znał jej odpowiedź, bez pytania dobrał się do jej ust. Ale zrobił to delikatnie, lekko i pieszczotliwie. Nie chciał wywierać presji. Chciał dowieść, że to ona go pragnie, że jest dla niej dostatecznie dobry nawet bez tych słów, do których Annie przywiązuje taką wagę. I kiedy jej to perswadował ustami, kiedy trzymał pod sobą jej schwyte w pułapkę ciało, wsunął rękę między jej nogi.

Jeszcze tylko przez chwilę Annie miotła się między złością i pragnieniem.

Szybciej, niżby mógł przypuszczać, przestała z nim walczyć, a jej żywa reakcja na niego sprawiła, że go poniosło. I choć jeszcze próbował zapanować nad sobą, oddychał nierówno, dotykał jej coraz pewniej i mocniej. Drżała pod nim.

I zatracił się.

Chciał jej zademonstrować swoje umiejętności, chciał, żeby zachłysnęła się własnym pożądaniem, dowieść jej... czegoś. Czego? Nie pamiętał. Nie przy Annie, która ożyła pod nim, której ręce zaczęły ze zdwojoną prędkością poruszać się nagle po jego ramionach, po plecach, przebiegając po całym jego ciele, jakby naraz chciały dotknąć wszystkiego. A jej usta stały się takie obiecujące, że serce waliło mu tak, jakby za chwilę miało rozsadzić klatkę. Ścisnęło go w dole brzucha, zawładnęło nim nagle tak silne pożądanie, jakiego wcześniej nigdy nie doświadczył.

Jack pragnął jej wcześniej. Tak bardzo pragnął Annie, że się z nią ożenił. Jego pożądanie nie miało zresztą wyłącznie fizycznej natury, choć seks stanowił jeden z ważniejszych elementów. Chciał, żeby z nim była. Na zawsze. A gdy już raz coś postanowił, nie odstępował od tego pomysłu.

Ale nawet wtedy nie chciał, żeby to tak wyglądało.

Jeszcze teraz, gdy zadarł jej bluzę, żeby poczuć jej piersi, próbował się powstrzymać. Nie chciał, żeby jego pragnienie przybrało nieokrzesaną formę. Ale miała tak słodkie i spragnione usta, piersi tak ciepłe i doskonałe, że musiał jej najpierw posmakować. Tylko raz. Jeden raz, i na tym poprzestanie.

Schylił się i przez cienki materiał stanika zaczął ssać jej pierś, a ona krzyknęła. Jego ręka nie ustawała w pieszczotach, ale tak już go wzięło, że dotykał jej coraz mocniej.

Na przeszkodzie stały jej dżinsy.

Najchętniej zdarłby je z niej. Ale łupki dachowe pod nimi były zbyt szorstkie. Mogłyby zranić jej skórę. To był tylko przebłysk myśli, który wystarczył, żeby przeszedł do czynu, podkładając pod nią ramiona i przekręcając się, z zamiarem zamiany pozycji i znalezienia się pod nią.

I nagle zaczęli szybko zjeżdżać z dachu, ześliznęli się ponad metr, zanim udało im się zatrzymać.

Kiedy wreszcie Jack odzyskał trzeźwość myślenia, nie

było mu do śmiechu. Oddychał szybko i czuł strach. Przez niego o mało nie spadli z dachu. Zapomniał przy niej o Bożym świecie, zatracił się cały, a przecież miało być inaczej, nie mówiąc o tym, że naraził ją na niebezpieczeństwo.

Oddech Annie przeszedł w długie, roznamiętione pojękiwanie. Po chwili wsunęła twarz w jego ramię i powiedziała cichym, niezadowolonym głosem:

– Właśnie miałam cię przystopować.

Czy można zdobyć się na śmiech, gdy niezaspokojony głód wciąż szarpie wnętrzności? Pochylił się i przywarł do niej czołem.

– Jasne. Skoro tak mówisz. – A on chciał dowieść, że to ona go pragnie? Co za naiwność!

– To, że się przy tobie napalam, nie oznacza jeszcze, że bym cię nie przystopowała.

– Okej. – Podniósł głowę. W ciemnościach jej owalna twarz wydała się blada. – Ale ja naprawdę przyszedłem tu w określonym celu, dopóki testosteron nie wzięł góry i omal nie doprowadził mnie do szaleństwa. Chciałem ci pokazać, że seks jest czymś prostym. – Przynajmniej zawsze taki był. Nie miał pojęcia, co go dzisiaj napadło.

– Nie, to mężczyźni są prości. Naiwni i dziecinni. – Choć wypowiadała ostre słowa, nadal oddychała nierówno.

– Być może. Ale naprawdę seks nie jest wcale taki skomplikowany. Nawet gdy tak ci uderza do głowy, że nie wiesz, co się dookoła dzieje, to jest to naturalna reakcja. Ale przyjaźń... przyjaźń wymaga czasu, kompromisu, uwagi. Nie zawsze jest łatwa, ale wiele znaczy. Taka przyjaźń jak nasza jest dużo cenniejsza od ładnie brzmiących, choć pustych obietnic składanych w ciemności przez ludzi, którzy już następnego ranka czują niechęć do partnera.

– Twój opis przyjaźni brzmi prawie jak... opis miłości – powiedziała stłumionym głosem.

– Przywiązuję do przyjaźni dużą wagę i dbam o nią. Wiesz o tym dobrze. A jeśli zależy ci na słowach...

– Nie, przestań. Nie mów, że mnie kochasz, jeśli tak nie jest. To tylko pogarsza sprawę.

Przez chwilę milczał, rozpamiętując inne słowa, słowa, które cisnęła mu w noc poślubną: „Nie masz ochoty powiedzieć, że mnie kochasz, bo słowa dla ciebie nic nie znaczą! Ile razy mówiłeś je innym kobietom? Ile razy nadużywałeś ich, żeby dostać to, czego chciałeś?”

– Nie mówię takich słów, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka, a już na pewno nie powiem ich tobie.

– Nie. Ale powiesz je, gdy uznasz, że poczuję się od tego lepiej. – Jej słowa zabrzmiały strasznie smutno. – Jack...

– Tak?

– Czy naprawdę uważasz, że miłość jest nierealna, czy też po prostu bronisz się przed nią?

Puścił ją, przekręcił się na plecy. Nie znosił tego typu rozmów. Ale skoro cała ta „miłosna oprawa” była aż tak ważna dla Annie, nie mógł nie odpowiedzieć.

– Uważam, że jest całkiem realna, póki trwa, tylko że nigdy nie trwa długo. Kiedy wygasa płomień, niewiele po niej zostaje. – Odwrócił głowę, by móc na nią patrzeć.

– Wiem, że szukasz w małżeństwie czegoś więcej niż przyjaźni, Annie. Ale przyjaźń jest znacznie lepszą podstawą małżeństwa niż miłość. – I zamierzał jej tego dowieść.

– Czy czujesz tak z powodu swojej mamy?

– Na miłość boską, nie wciskaj mi tu jakiegoś freudyizmu!

Usiadła, podciągnęła kolana do brody.

– Nie w tym rzecz. Wiem, że ją kochałeś, i że ona ciebie również kochała. Ale nie była doskonała. Nikt nie jest. I bardzo często przenosiła się z miejsca na miejsce, prawda?

– Tak, ale to wcale nie było takie złe. Niewiele dzieciaków miało okazję zobaczyć taki szmat kraju jak ja.

– Dopóki nie umarła matka. Wtedy wylądował u ciotki, która wzięła go do siebie z obowiązku, przez co ugrzązł w Highpoint na całe siedem lat, bez nadziei na odroczenie wyroku czy warunkowe zwolnienie. A gdy po skończeniu liceum otworzyła się przed nim wolność, skorzystał z niej niezwłocznie.

– I nigdy nie miałeś dość tych wszystkich przeprowadzek? Czy brak pewności, gdzie będzie się mieszkać za tydzień, sprzyja dojrzewaniu?

– Jestem inny niż ty – zachnął się. – Nie czuję potrzeby zaszywania się w jednym miejscu, jakby już nic innego nie istniało na świecie.

Annie zamilkła.

– Do licha, Annie, wiesz, że to drażliwy dla mnie temat.

Ciotka, bardziej niż Jacka, nie aprobowała tylko jednej osoby – jego matki. I przez wiele lat dawała temu wyraz na rozmaite sposoby.

– Wiem.

– Lepiej być marzycielką, jak moja mama, niż mieć zatwardziałe serce, jak ciotka.

Na własny użytek Jack przyznawał, że marzenia matki prowadziły często do nieobliczalnych zachowań, na przykład zrezygnowanie z dobrej pracy i podążanie za kowbojem z rodeo przez cały kraj, czy pakowanie rzeczy bez chwili wahania, gdy tylko uznała, że jej prawdziwa miłość czeka na nią gdzieś na trasie. Co nie oznacza, że nie powinna była marzyć. Po prostu stawiała na niewłaściwe marzenia.

– Zastanawiam się czasami, czy przypadkiem twoja ciotka nie była zazdrosna o siostrę i czy z tego powodu nie osądzała jej zbyt surowo. Nie znałam twojej mamy, ale podobno zjednywała sobie sympatię wszystkich.

To prawda.

Teresa Merriman była śmiejącą się, spontaniczną kobietą, ciepłą, otwartą i kochającą. Zbyt pochopnie i naiwnie

wierzącą w szczęście, takie „na zawsze”, które na pewno ją spotka, gdy tylko znajdzie swojego księcia.

Czy Jack nie był żywym przykładem tego, że przykładanie zbyt wielkiej wagi do miłości jest zwykłą głupotą? Matka aż nazbyt często powtarzała mu, że został poczęty z miłości – jakby to mogło w jakiś sposób wynagrodzić mu fakt, że nigdy nie zobaczył mężczyzny, który był jego ojcem, mężczyzny, w którym matka była zakochana podobno bardzo mocno, tyle że tymczasowo. Mężczyzny, który był żonaty z inną kobietą.

Gdy Teresa Merriman popełniła błąd i zaszła w ciążę, ojciec Jacka chciał tylko jednego – żeby jego kochanka i nieślubne dziecko zniknęli i nie burzyli jego ustabilizowanej egzystencji. Teresa postąpiła zgodnie z jego wolą. Oto czym, według niej, była miłość – poświęceniem własnych pragnień i potrzeb dla dobra tego jedyne, którego się kocha. I chyba nigdy nie przyszło jej na myśl, że może przy okazji poświęca potrzeby i pragnienia Jacka.

Gwiazdy nad głową świeciły nadal, ale Jack stracił ochotę na dalsze wpatrywanie się w nie. Zrobiło się chłodniej, podniósł się wiatr. W jakimś momencie Annie wzięła go za rękę i trzymała w swojej.

Pogłaskał jej dłoń, po czym podniósł się i stał tak przez chwilę, uważając, żeby nie zsunąć się z dachu.

– Chodź, musimy zejść, zanim Ben zacznie cię szukać. Robi się późno.

– Na Boga, Ben mnie nie szuka. Jestem już całkiem dorosła.

Jack wcale nie był pewny, czy również Ben ma tę świadomość, ale ponieważ spierali się z Annie wystarczająco dużo tego wieczoru, postanowił zachować tę uwagę dla siebie.

Nie wrócili przez jego okno, zeszli łatwiejszą drogą, której jednym z trudniejszych momentów był skok na dach

werandy. Stamtąd wystarczyło już tylko opuścić się na szeroką, opasującą ją balustradę.

– Odprowadzę cię do samochodu – powiedział Jack.

Ubawił ją tym.

– Jack, moje bronco stoi na twoim podjeździe, widoczne z każdej strony.

– Pójdę z tobą. – Zdarzyło się przecież, że Annie została zaatakowana w miejscu, gdzie nic nie powinno jej grozić. Nie wiedział, czy, tak jak on, miewa jeszcze z tego powodu nocne koszmary. Tak czy owak, nie zostawi jej samej, nie będzie ryzykować. Była dla niego zbyt ważna.

Nie spierała się. Nie zaprotestowała nawet, kiedy ją objął ramieniem. Przyjemnie było tak iść, mając go u swojego boku.

– Muszę rano pojechać do Denver.

– Myślisz, że dowiesz się czegoś nowego na temat kradzieży leków?

– Chcę sprawdzić dokumenty w głównej siedzibie biura. Może coś znajdę. Ale będę musiał zrobić to na wół legalnie, ponieważ jestem na nieformalnym zwolnieniu.

– Co to znaczy?

– Jeszcze nie złożyłem podania o urlop. Zadzwoniłem do szefa i powiedziałem, że biorę wolne, ale nie dopełniłem papierkowych formalności. – Prawdę mówiąc, Herbert nie zgodził się na to. Wyłożył swój punkt widzenia, rzucając parę pogroźek o „wymówieniu”. Wylanie byłoby zbyt bezpośrednią formułą dla tego pedantycznego człowieczka, ale Jack nie zamierzał się tym przejmować. – Muszę złożyć oficjalne podanie. Herbie ma bzika na tym punkcie. Muszę też pogadać z policją w Denver.

– To dobrze. – Pokiwała z aprobatą głową. – Cieszę się, że przekazujesz im tę sprawę.

Niezupełnie, pomyślał Jack. Nie zamierzał niczego przekazywać, uważał jednak, że ktoś, jakaś osoba urzędowa,

powinna wiedzieć, co, zgodnie z jego wiedzą, dzieje się w tej sprawie.

– Chcę, żebyś ze mną pojechała.

– Ja... nie wiem. Jutro maluję...

– Postaraj się to przełożyć. Chcę, żebyś powiedziała policji o liście. Może to nie ma związku, ale powinni zapoznać się ze wszystkimi faktami.

– A nie możesz im sam o tym powiedzieć? A poza tym, czy to nie wykracza poza ich terytorialne kompetencje? Przecież nie mieszkam w Denver.

– Nie zamierzamy ich prosić o wszczęcie dochodzenia w sprawie, kto napisał ten list, ale uważam, że powinni o nim wiedzieć, i że powinni to usłyszeć od ciebie. Mają doświadczenie, Annie. Ja jestem tylko amatorem. Może potrafią wyciągnąć z ciebie coś, co ja przeoczyłem.

– Masz rację. Uważam, że trzeba im pomóc, nawet gdyby szansa dopadnięcia tego, kto ci grozi, była minimalna.

– Świetnie. – Poczul ulgę. Złapał ją za rękę. Musi ją mieć przy sobie, dbać o jej bezpieczeństwo, ale także ustrzec się przed popełnieniem tego samego błędu, jaki popełnił wcześniej. Zmarnował dużo czasu, pozwalając, by gniew i poczucie krzywdy oddaliły go od niej nazajutrz po ich ślubie.

– Czy wracamy tego samego dnia? – zapytała.

– Lepiej byłoby przenocować. I tak muszę zabrać trochę rzeczy z mieszkania.

– Więc zatrzymam się w motelu.

– No nie, nie bądź niemądra. Wiem, że krucho u ciebie z pieniędzmi. Po co więc płacić za pokój, skoro możesz zatrzymać się u mnie za darmo?

– Ponieważ masz tylko jedno łóżko.

– No cóż, oczywiście wolałbym, żebyś spała ze mną. Skoro jednak nalegasz na osobne łóżka, jest jeszcze sofa. – Prawdę mówiąc, widok Annie na jego sofie, rozebranej i zaróżowionej, przemówił do niego.

– Jack, przecież twoje mieszkanie to studio! Sofa stoi w tym samym pokoju, co łóżko. Wolałabym trochę więcej prywatności.

Skrzywił się.

– Okej, okej. Obiecuję, że cię nie dotknę, dopóki będziesz u mnie. To nie będzie łatwe, ale jakoś sobie poradzę przez tę jedną noc.

– Obiecuj lepiej, że będziesz trzymał ręce przy sobie przez cały czas.

– Przez cały czas? – westchnął ciężko. – No dobrze. Obiecuję. Chyba wierzysz w moje słowo?

Najwyraźniej tak, skoro jej ostatni argument był tak słaby, że trudno go było potraktować poważnie.

– Twoja sofa jest za krótka. Nie będzie ci na niej wygodnie.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się szeroko. – Chętnie ci ją odstąpię. Przy twoim wzroście będzie w sam raz dla ciebie. Odstąpię ci nawet ulubioną poduszkę.

Nastroszyła się i zaraz się roześmiała.

– Dobrze, już dobrze. Przekonałeś mnie. Tylko zachowuj się jak należy.

Przyrzekł jej, choć wiedział, że to nie będzie łatwe. W końcu ważniejsze było mieć ją przy sobie, niż zaciągnąć do łóżka.

– Będziesz gotowa na ósmą rano?

– Pewnie – powiedziała. – Znasz mnie. Zawsze wcześniej wstaję.

Annie zasnęła. Emocje poprzedniego wieczoru, a także wizje groźącego Jackowi niebezpieczeństwa nie odstępowały jej w snach. Drzemała i budziła się na zmianę przez jakiś czas, aż w końcu zrezygnowała ze snu i sadowiąc się na poduszkach, zabrała się do czytania. Skutek był taki, że zasnęła przy zapalonym świetle, a obudziła się dopiero, gdy Jack zadzwonił do drzwi.

W rezultacie przespała prawie całą drogę do Denver. Kiedy otworzyła oczy, krajobraz zmienił się na płaski, a ruch na szosie zgęstniał. Zbliźali się do miasta.

Denver przytłaczało swoimi drapaczami chmur.

Kiedy się przeciągnęła i wyprostowała, Jack zerknął na nią.

– Będiesz pierwszy raz w Denver, odkąd rzuciłaś pracę?

– Tak. Dziwne uczucie. Zwłaszcza, że nie jadę do mojego dawnego mieszkania.

– Nie. Zostajesz ze mną.

Jak na kogoś, czyje życie znajduje się w niebezpieczeństwie, wyglądał zdecydowanie zbyt radośnie. Świeża niebieska koszula i spłowiałe džinsy, to była jego wersja służbowego ubrania.

– Nie martw się. – Przesłał jej szeroki uśmiech, który w jego mniemaniu był rękojmią jego czystych intencji. – Pamiętam, co ci obiecałem.

Ale ona nie obiecywała, że nie będzie jego dotykać. A miała na to wielką ochotę. Czy przypadkiem nie zwariowała, dając się namówić na tę wyprawę? Zabawiała się obrączką, błyszczącym złotym kółkiem, które odruchowo wsunęła na palec, udając się do łóżka poprzedniego wieczoru. Kiedy się wreszcie nauczy, że w jej przypadku działanie pod wpływem impulsu nie zdaje egzaminu? Jack nawet nie zauważył obrączki. Annie poczuła się głupio. Spodziewała się jakiejś reakcji z jego strony. Kiedy ją wkładała – po raz pierwszy od tamtego ranka, w dzień po ich ślubie – miała wrażenie, że robi coś naprawdę niesłychanie ważnego.

Nie umiała mu jeszcze wybaczyć. Zrozumieć – tak. Wiedziała, że część winy za fiasco ich poślubnej nocy leży też po jej stronie. Ale zrozumieć i wybaczyć to nie to samo. Trwające między nimi milczenie zaczęło jej ciążyć i była to nowość w ich dotychczasowych relacjach. Zbyt wiele poważnych i nie domówionych spraw legło między nimi.

Kiedy zjechał z drogi I-40 na ulicę Szóstą, kierując się na północ, uchwyciła się tego, jako pretekstu do nawiązania rozmowy.

– Jedziesz do LoDo*?

– Tam pracuję, gdy jestem w Stanach.

– Wiem, gdzie jest twoje biuro, ale sądziłam, że najpierw pojedziemy na policję.

– Zrobimy to po południu. Przedtem muszę sprawdzić parę rzeczy. Pomyślałem, że możemy zjeść lunch z paroma osobami z biura.

– To znaczy, że oni o mnie wiedzą? Wiedzą, że jesteśmy małżeństwem?

– Jestem tego pewny. Becky, jedyna, z którą skontaktowałem się w sprawie twojego ubezpieczenia, jest strasznie kochana, i chyba lubię ją najbardziej ze wszystkich, ale jest też największą plotkarą. Nie wytrzyma, żeby nie wypaplać.

Annie pokręciła obręczką, zastanawiając się, co współpracownicy Jacka pomyśleli o jego nagłym ślubie. Zastanawiała się także nad „kochaną Becky”.

– To dokąd teraz? – zapytała, gdy opuścili mroczny podziemny parking i znaleźli się na tonącym w słońcu i zatłoczonym chodniku.

Dzień był wietrzny, wiatr podrywał spódnice i włosy, przemykał się między budynkami i zaskakiwał pieszych gwałtownymi podmuchami. Annie przytrzymała ręką włosy, które smagały jej twarz. Rozpuściła je – mówiła sobie – nie dlatego, że Jack tak chciał. Po prostu zasnęła i nie miała czasu, żeby coś z nimi zrobić.

– W lewo. Zaczekaj, zobacz. Stąd widać budynek. To ten czterokondygnacyjny, z czerwonej cegły, z ozdobnymi gzymsami.

*Lower Downtown – modna i sławna dzielnica w Denver, ważne centrum kulturalno-artystyczne (przyp. tłum.).

Jakie to dziwne, że nigdy nie była u Jacka w biurze, chociaż wiedziała, gdzie się mieści. Ruszyła w tamtą stronę.

Nagle Jack zatrzymał się, chwytając ją za lewą rękę. Podniósł jej dłoń i przyglądał się złotej obrączce, na którą właśnie padł promień słońca.

– Cieszę się, że włożyłaś dzisiaj obrączkę, Annie. Ale gdyby to miało być tylko na dzisiaj...

– Nie – zniżyła głos. – Wczorajszy wieczór wydał mi się odpowiednią chwilą, żeby ją znowu włożyć.

Podniósł jej dłoń, muskając wargami palce tuż powyżej obrączki.

– Cieszę się, Annie. Przysięgaliśmy sobie tamtego wieczoru w Las Vegas, że będziemy trwać i wspierać się w zdrowiu i w chorobie, dopóki śmierć nas...

– Właśnie się zastanawiam... – Splotła z nim palce. – Jednak ktoś stale próbuje nas rozłączyć. Twój wypadek i ostrzeżenie, które otrzymałaś... obie te sprawy miały miejsce po drugiej stronie kuli ziemskiej. Jeżeli ludzie z tamtejszego czarnego rynku próbowali cię zastraszyć, może czują się usatysfakcjonowani i dadzą już temu spokój, co?

– Niewykluczone, że masz rację. – Wzruszył ramionami.

– Jediną wskazówką, że coś może ci grozić tutaj jest ten anonim, który otrzymałam. Najważniejsze byłoby więc dojść do tego, kto go wysłał. Gdyby, tak jak przypuszczam, pochodził od jakiejś twojej byłej kochanki, nie byłoby czym się przejmować.

Popatrzył na nią zagadkowo i dziwnie. Jakby słuchał jej słów, a usłyszał coś, czego nie powiedziała. W końcu pogłaskał ją po rękę.

– Na razie dajmy sobie z tym spokój. Cieszymy się dniem i fantastyczną pogodą.

Właśnie tę chwilę wybrał wiatr, żeby trzepnąć włosami po twarzy Annie. Zaśmiała się.

– Jest cudownie, masz rację. Pod warunkiem, że nie pofruniemy.

Uśmiechnął się rozradowany.

– Przy twoim wzroście i wadze wszystko jest możliwe. Będzie lepiej, jeżeli cię przytrzymam.

Resztę drogi odbyli, trzymając się za ręce.

Annie ubrana była dość ciepło i elegancko, włożyła proste w kroju ciemnobrązowe spodnie i kremowe sweterki – bliźniaki. Kardigan zapinał się na małe miedziane guziczki. Czowała się dobrze w tym zestawie, ale tylko do chwili, gdy jakaś znajoma Jacka zatrzymała ich tuż przy wejściu do budynku MPRB.

Znajoma o bardzo jasnych blond włosach i w bardzo krótkiej spódniczce.

– Jack! – zawołała, a jej twarz rozpromieniła się. – Nie widziałam cię całe wieki! Pobędziesz trochę w mieście? Czy tylko wpadłeś, żeby zajrzeć wieczorem do Wynkoopa? Wszyscy tam będą! – Chwyciła drobną ręką ramię Jacka.

– Tym razem nie dam rady – odparł Jack. – Millie, pozwól, to jest Annie, moja...

– Annie? – Millie odwróciła się od Jacka i skierowała swój wzrok na Annie. – Mam kuzynkę o imieniu Anna, która nie cierpi, kiedy nazywa się ją Annie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego, przecież to takie wdzięczne imię. Więc jeśli mi się wymknie i nazwę cię Annie, musisz mi wybaczyć. – Promieniała. – Tak się cieszę, że cię poznałam. Namów koniecznie Jacka, żeby cię zabrał wieczorem do piwiarni Wynkoopa. Będzie tam cała banda, a z Jackiem będzie milion razy fajniej. Wszystko jest zawsze fajniejsze, kiedy Jack jest w pobliżu.

Annie nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Dziewczyna najwyraźniej uwielbiała Jacka, i była bardzo młoda.

– Wątpię, czy to będzie wykonalne, ale dzięki za zaproszenie.

Ledwo udało im się uwolnić od tej rozszczebiotanej dziewczyny, kiedy ponownie zostali zatrzymani. Tym razem przed kawiarenką wewnątrz budynku. Przed Jackiem pojawiła się ciemnowłosa kobieta w eleganckim kostiumiku w różowe paseczki i z irytującym uśmiechem na ustach, czyniącym aluzję bądź do ich dawnej zażyłości, bądź też dającym nadzieję na przyszłość.

Jack przedstawił je sobie.

– Laura, cieszę się, że cię widzę. Chciałbym, żebyś poznała moją żonę. Annie Merriman. Annie, to jest Laura Caprello.

Młoda kobieta uniosła wysoko brwi, które zginęły pod starannie przyciętą grzywką, ale Annie zbyt była zajęta swoją własną reakcją, żeby się martwić szokiem, jakiego doznała tamta kobieta. Po raz pierwszy została przedstawiona jako Annie Merriman, żona Jacka.

Kobieta w mig oprzytomniała i pogratulowała im obojgu, po czym szybko pożegnała się i zniknęła, zaś Jack i Annie, tym razem już bez przeszkód, weszli do windy. Było to małe pomieszczenie, całe w boazeriach, nadających windzie staroświecki wygląd. Byli w niej sami.

Annie od razu powiedziała, co myśli:

– Sądziłam, że wszyscy wiedzą o naszym ślubie.

– Jestem pewny, że w MPRB wiedzą wszyscy, ale Millie i Laura pracują dla innych firm, choć w tym samym budynku. Mogły nie słyszeć.

Annie spoglądała na strzałkę tarczy, która wolno przesuwiała się z drugiego na trzecie piętro.

– Nieśmiała i niezbyt pewna siebie kobieta może mieć problem z mężem zaczepianym bez przerwy przez inne kobiety.

Jack skrzywił się.

– To tylko znajomości. Przyjacielskie znajomości, ściślelej mówiąc. No cóż, rzeczywiście umawiałem się z Laurą

parę razy, ale, och... – urwał i przejechał ręką po czubku głowy. – Czyżby zaczynały się kłopoty?

Annie nie mogła dłużej zachować powagi. Roześmiała się serdecznie.

– Zrelaksuj się, Jack. Odkąd cię znam, zawsze działałeś na kobiety jak magnes. Jeszcze nie zwariowałam, żeby rozpaczać z powodu każdej kobiety, którą oczarowałeś.

– Działałem jak magnes? – powtórzył, uśmiechając się nagle od ucha do ucha. Winda zaskrzypiała i stanęła, a on ujął jej ramię. – To mi się podoba.

Drzwi windy otworzyły się i weszli... prosto na przyjęcie.

A może to była stypa? Na niewielkiej przestrzeni recepcyjnego pomieszczenia tłoczyły się kobiety w różnym wieku, różnego wzrostu i różnych kształtów. I gdy tylko Jack i Annie wysiedli z windy, zawołały zgodnym żeńskim chórem „niespodzianka!”. Wszystkie były ubrane na czarno. Z sufitu zwisała czarna krepina, której cienkie macki wiły się między stolikami i krzesłami. Na transparencie za biurkiem recepcjonistki wypisano wielkimi czarnymi literami: „Nie spełniły się nasze nadzieje”. Plakat na ścianie głosił: „Nasza strata to wygrana jednej kobiety”.

Jack zamarł. Także Annie stała jak zamurowana. Zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Po czym, z głębi pokoju, rozległ się czysty, donośny głos:

– Ja to chrzanię.

Annie spojrzała na Jacka. Wydawał się przerażony.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała lekkim tonem:

– Miałeś rację. Nie da się ukryć, że wszyscy w MPRB wiedzą o naszym ślubie.

Rozdział szósty

– Cieszę się bardzo, że masz poczucie humoru – powiedziała Rebecca Reeves, kierowniczką biura, znana także jako Becky.

„Kochana Becky” była kobietą około sześćdziesiątki, o niezbyt bujnych siwych włosach i dość puszystej figurze. Miała na sobie dobrze uszytą bawełnianą suknię z kreponu. Oczywiście czarną.

– Już nawet nie wiem, kto wpadł na ten pomysł – mówiła Rebecca – ale kiedy pan Bickham napomknął, że Jack zjawi się dzisiaj w biurze, uznałyśmy, że powinnyśmy dać mu w kość... – odchrząknęła. – Postanowiłyśmy go zaskoczyć.

– I chyba się udało – odparła Annie z poważną miną.

– Giselle Brown, ta, która prowadzi kawiarenkę na parterze, miała nas powiadomić natychmiast, gdy Jack zjawi się w budynku, tak, żebyśmy mogły się zebrać i powitać go w komplecie, kiedy wysiądzie z windy. – Potrząsnęła głową. – No i wywiązała się z zadania, tyle tylko, że zapomniała wspomnieć o tym, że jesteś razem z nim.

– Proszę się nie przejmować. Znam Jacka od lat. Aż się prosiło, żeby mu zrobić kawał za to nagłe i nieoczekiwane małżeństwo.

– Muszę powiedzieć, że nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

Annie uśmiechnęła się szeroko.

– Wyglądał tak, jakby pragnął, żeby podłoga pod nim otworzyła się i pochłonęła go, prawda?

– Nic dodać, nic ująć. – Pani Reeves poklepała Annie po ramieniu. – Jesteś kochana, że tak dobrze odebrałaś nasz wygłup z tą żałobą... bo to naprawdę jest tylko wygłup, pani Merriman. Jack nigdy nie umawiał się z nikim z MPRB.

Pani Merriman. Słyszac to, Annie znów dziwnie się poczuła. Przez całe życie była Annie McClain. To tak, jakby nagle przestała być tą osobą, którą dotychczas była.

– Proszę mówić mi po imieniu. Dla pani jestem Annie.

– Pod warunkiem, że będziesz mnie nazywać Becky.
– Zdusiła śmiech. – Tylko Jack tak mnie nazywa. Zasada Jacka, żeby nie umawiać się z nikim z biura, to tutaj temat nieustannych żartów. Dla nikogo nie była tajemnicą. A on, sama rozumiesz, czuł się dzięki temu bezkarny i bezpieczny.

– Chcesz powiedzieć, że flirtował jak szalony i że nikt nie brał tego na serio?

– Niewątpliwie. Jack uwielbia flirtować, a ponieważ jest cholernie przystojny, więc uciecha była duża. Miały tu trudne życie, gdyby którąś wyróżnił, ale nigdy tego nie zrobił. Kiedy pojawiał się w biurze, droczył się z każdą i namawiał, żeby stąd odeszła i wyjechała z nim. Mnie też proponował. – Zaróżowiła się lekko. – Zadziwiające, naprawdę zadziwiające, do jakiego stopnia taki mężczyzna może rozjaśnić i umilić człowiekowi życie.

Idealny mężczyzna do snucia fantazji – czarujący i seksowny, którego nigdy nie można traktować serio. Tak, pomyślała Annie, dzięki temu Jack naprawdę mógł się czuć bezpieczny wśród tych wszystkich kobiet. Żadna nie zagrażała jego wolności.

– Lubi, gdy ludzie czują się przy nim dobrze.

Zerknęła w jego stronę. Był oblegany. Śliczna, ciemnowłosa kobieta śmiała się z czegoś, co właśnie powiedział.

Podobnie chudy starszy mężczyzna. Bowiem na „stypie” znalazło się kilku mężczyzn, tylko że w pierwszej chwili, przy przytłaczającej obecności kobiet, Annie ich nie dostrzegła.

– My wszystkie... och, nie. – Po twarzy Becky przemknęło niezadowolenie. – W każdym biurze znajdzie się taka jedna, nie uważasz?

– Jaka jedna?

– Intrygantka. Taka, która wnosi ferment. Właśnie przyszła. Chodź, kochanie. Musimy ratować twojego męża.

Annie podążyła za Rebeccą, która szybko ruszyła w kierunku grupki ludzi otaczających Jacka. Od razu zauważyła kolejną kobietę, która dołączyła do tej grupy. Była niższa niż Annie, miała włosy czarne i tak długie, że końcami dotykały jej talii. Miała ostre, pełne ekspresji rysy i ziemistą cerę. Trzymała ramię Jacka obiema rękami.

– Taka jestem ciekawa tej twojej nowej ptaszyny, Jack – mówiła w momencie, gdy Annie podeszła do nich. – Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

– Możesz od razu zaspokoić swoją ciekawość – weszła jej w słowa Rebecca. – Annie, to jest Leah Pasternak. Pracuje w księgowości.

– Bardzo mi miło. – Annie wyciągnęła rękę.

Leah nie wypuściła ramienia Jacka. Zmierzyła Annie od stóp do głów, w sposób, który można by uznać za obraźliwy.

– To ty jesteś Annie? – zapytała jakby z niedowierzaniem.

– Dla przyjaciół, tak. – Annie uśmiechnęła się słodko. – Ale ty możesz nazywać mnie panią Merriman.

Ktoś obok wydał dźwięk podobny do tłumionego śmiechu, który szybko przeszedł w nienaturalny kaszel. Mikroskopijna piękność spiorunowała wzrokiem Annie, po czym odwróciła się i odeszła bez słowa.

– Dobry Boże – mruknęła Annie. – Ona mnie chyba nie lubi.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedziała Rebecca. – Obawiam się, że traktuje głoszoną przez Jacka zasadę „ręce przy sobie” jako wyzwanie. Potrafi zatruć życie sobie i innym.

Jack skrzywił się.

– Lubi mącić.

Annie odwróciła się ku niemu, otwierając szeroko oczy.

– Może to ona napisała ten...

– Później, Annie – przerwał jej.

Bystre, przenikliwe spojrzenie pani Reeves powędrowało od jednego do drugiego.

– Co i kto napisał?

– Becky, kochanie, przecież wiesz, że jesteś największą plotkarą w tym biurze. Nie powiem ci ani słowa. – Jack uśmiechnął się i obejmując ją w miejscu, gdzie teoretycznie powinna mieć talię, uściskał ją serdecznie.

– Wstydzilibyś się. Jak możesz mówić, że masz w zanadru coś godnego przekazania dalej, a potem nie powiedzieć ani słowa więcej! – oburzyła się Rebecca.

– Wielkie nieba! – rozległ się zrzędlawy, męski głos. – Co tu się dzieje? Co to wszystko znaczy?

Prawie natychmiast ucichły wszystkie rozmowy, a ludzie wyglądali na zakłopotanych. Annie odwróciła się, żeby zobaczyć, kto to się odezwał. Człowieczek w grubych szklach, z sumiastym wąsem, wysiadł właśnie z windy i stał w odległości paru kroków. Miał groźną minę.

Podobnie jak Rebecca.

– Urządźmy małe przyjęcie, panie Bickham.

– Przyjęcie? W czarnych dekoracjach i w godzinach pracy? To niestosowne i w złym guście. Niech wszyscy wracają do pracy.

– Daj spokój, Herbie, chyba nie masz nic przeciwko temu, by ludzie świętowali z okazji mojego ślubu, co?

– Świętowali? W czarnych dekoracjach? To niestosowne. Bardzo niestosowne.

– Sądzę, że można na to różnie spojrzeć, w zależności od tego, czy ma się poczucie humoru, czy nie. Pozwól, że dopełnię formalności – powiedział Jack i przyciągnął do siebie Annie. – To moja żona, Annie Merriman. Annie, to jest Herbert Bickham, główny inżynier MPRB.

Kiedy Bickham podszedł do nich i Annie znalazła się z nim oko w oko, doznała czegoś niezwykłego w swoich dotychczasowych kontaktach z mężczyznami. Wszyscy zawsze byli od niej wyżsi, a ten był dokładnie jej wzrostu. Przez chwilę mu współczuła. Dawniej niski wzrost dokuczał jej i nawet krępował, czuła więc, że mężczyźni mógł wręcz szkodzić.

– Miło mi.

– Mnie również. Dzień dobry, pani Merriman. A teraz proszę wybaczyć, ale naprawdę muszę zagonić ludzi z powrotem do biurek. W końcu to są godziny pracy. – Ale zamiast zaganiać, popatrzył na Jacka. – Przyszedłeś, jak sądzę, złożyć podanie o urlop. Masz prawo do kilku dni tak zwanego miodowego miesiąca. Postanowiłem ci go przyznać, ale pod warunkiem, że poprawnie wypełnisz formularz. – Usta Bickhama wykrzywiły się w sztucznym uśmiechu.

Jack uniósł brwi.

– Czy dobrze się czujesz, Herbie?

– Chyba nie powiedziałem nic niedorzecznego – rozgniewał się. – Chyba zamierzasz spędzić jakiś czas tylko z małżonką? To zupełnie zrozumiałe. Nie widzę też przeszkód, żebyś nie mógł zacząć pracować nad projektem dla Nairobi, kiedy jesteś, hmm, poza biurem. Po to masz laptopa. Za tydzień chciałbym zobaczyć dokumentację do tego nowego projektu.

Jack potrząsnął zdecydowanie głową.

– O nie, żadnych nowych projektów. Mam jeden stary, który nie jest zakończony.

– Domyślam się, że nawiązujesz do nieporozumień na Borneo. Nie ma sensu tego kontynuować. Główny winowajca nie żyje, a miejscowi inspektorzy, którzy byli w to wmieszani, nie podlegają nam. Nie możemy szkodzić reputacji MPRB. Wystarczy, że Metz się zabił. Ten człowiek nie pofatygował się, żeby zostawić notatkę o zamiarze popełnienia samobójstwa.

– Rzeczywiście cholerny brak odpowiedzialności!

– Jestem pewny, że zrobił to, żeby przysporzyć nam kłopotu. Policja była zmuszona prowadzić dochodzenie. Przychodzili wiele razy, przeszkadzali w pracy. – Żachnął się. – Na szczęście, udało nam się ukryć to przed prasą.

– Zgadzam się, że śmierć Metza przysporzyła kłopotu. Utrudniła wykrycie, kto jeszcze był zaplątany w kradzież.

– Twoja teoria jest mi znana. Ale nie przedstawiłeś żadnego wiarygodnego dowodu na jej potwierdzenie. Sprawa jest zamknięta.

– Nie. Nie jest.

– Jack! O tym ja decyduję!

– Przekonamy się, czy Amos Deerbaum podzieli twoje zdanie. Wysłałem mu faks z kopią sprawozdania.

Oczy Herbiego, powiększone przez grube soczewki, błysnęły niebezpiecznie.

– Porozmawiamy o tym później. Teraz muszę zająć się pracą.

– Uaa! – jęknęła Annie, gdy mały człowieczek oddalił się. – Zdaje się, że on lubi cię mniej więcej tak samo jak ta twoja lilipucia kochanka mnie.

– Leah nie jest i nigdy nie była moją kochanką – rzucił ze złością Jack.

– Jack, ja wiem, że Bickham potrafi być trudny – wtrąciła zakłopotana Rebecca. – Nieraz sama się z nim ścierałam.

Ale czy jesteś pewien, że chcesz go pominąć w tej sprawie? On tego tak łatwo nie przełknie.

– Herbie może sobie robić, co chce. Nawet może się wypchać... Tak, niech się wypcha trocinami!

Na tym skończyło się party. Jack poszedł, aby porozmawiać z kimś w księgowości na temat faktur na skradzione lekarstwa, Annie zaś czekała w jego gabinecie, uważnie się rozglądając. Wygląd gabinetu Jacka zaskoczył ją.

Była kilka razy w mieszkaniu Jacka. Wygoda granicząca z bałaganem pasowała do jej wyobrażenia i wiedzy o nim. Ale w biurze nie znalazła żadnych porozwalanych stosów dokumentów, żadnych pomiętych kartek czy walających się obok kosza na śmieci kulek papieru. Gabinet był urządzony raczej spartańsko, może z wyjątkiem jednej ściany, pokrytej dużą ilością oprawionych w ramki fotografii.

Oczywiście, od miesięcy nie było go w kraju, przypomniała sobie, przesuając się wzdłuż ściany i oglądając fotografie. Nawet Jack może chcieć zostawić swoje rzeczy w porządku, kiedy wyjeżdża na długi czas.

Zatrzymała się dłużej przy jednej fotografii. Przypomniała jej zdjęcie z „National Geographic”... a także egzotyczne miejsca, o których często pisywała jej matka. Jack stał przed niedużym budynkiem w afrykańskiej wiosce, otoczony tłumem uśmiechających się od ucha do ucha tubylców. Jeden z nich podniósł do góry bajecznie kolorowego węża.

– Oglądasz to świetne zdjęcie z Kenii? – usłyszała za sobą.

Annie odwróciła się z uśmiechem na ustach, ponieważ rozpoznała głos.

Rebecca Reeves stała w drzwiach.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam. Pomyślałam, że korzystając z tego, że Jack jest zajęty, mogłybyśmy

poznać się lepiej. Mogę ci zadać parę wścibskich pytań, a ty możesz odpowiedzieć, żebym pilnowała własnego nosa.

Annie roześmiała się.

– Zgoda, dopóki i ty będziesz odpowiadać na moje wścibskie pytania. Kim jest mężczyzna stojący za Jackiem?

– Pokazała na fotografię.

– Och, to pan Deerbaum. Poleciał tam na otwarcie. Jest bardzo dumny z Jacka. Robota w Kenii była, jak wiesz, jego pierwszą dużą samodzielną pracą.

Rebecca zaczęła opowiadać o rozmaitych projektach Jacka, które ilustrowały kolejne fotografie wiszące na tej ścianie. Słuchając jej, Annie przemknęła irytująca myśl, że tak naprawdę niewiele wie o pracy Jacka. Och, opowiadał jej o ludziach, z którymi się stykał, o obyczajach panujących w innych krajach. Opowiadał jej całą masę zabawnych historii. Ale nie mówił o najważniejszym – o frustracjach i sukcesach w swojej pracy, ani o tym, czym ta praca dla niego jest... poza tym, że jest sposobem na ciągłe podróże, na przemieszczanie się z miejsca na miejsce. Opisywanego przez Rebeccę mężczyzny prawie nie znała – zorganizowanego, oddanego swojej pracy, który poważnie traktuje swoje zobowiązania.

– Dziękuję za wycieczkę – powiedziała, gdy stanęły przed ostatnią fotografią. – Może się zdziwisz... Znam Jacka tak długo, a tak mało wiem o jego pracy.

Rebecca uśmiechnęła się do niej.

– Czasami tak bywa z ludźmi, o których, jak nam się wydaje, wiemy już wszystko, nieprawda? Przyzwyczajamy się postrzegać ich w pewien określony, utarty sposób, a tak naprawdę, to w ogóle przestajemy ich widzieć. Z kolei Jack lubi wyznaczać ludziom konkretne role w swoim życiu, nie zauważyłaś? Jego zasada nieumawiania się z nikim z biura jest tego dobrym przykładem, ale to sięga znacznie dalej. Nie ma zwyczaju rozmawiać z tymi, z którymi pracuje,

o innych ludziach – o kobietach, z którymi się spotyka, o rodzinie, o przyjaciółach spoza pracy. Na przykład o tobie.

Ona ma rację, pomyślała Annie, zaskoczona tym odkryciem. Rzeczywiście związki Jacka z innymi polegają na precyzyjnym wyznaczaniu każdemu jakiejś roli – ona na przykład grała rolę przyjaciela. Tylko że teraz nie jest przyjacielem Jacka. Jest jego żoną.

– Czy w ten subtelny sposób chcesz zadać mi jedno z tych kłopotliwych pytań, które nazwałeś wścibskimi? – zapytała możliwie jak najbardziej swobodnym tonem.

Rebecca roześmiała się.

– Rozszyfrowałeś mnie. Opowiedz więc, jak poznaliście się z Jackiem.

– Mój brat przyprowadził go pewnego dnia do domu po tym, jak ich obu wsadzili do kozy za wdanie się w bójkę na terenie szkoły.

Rebecca była dobrą partnerką do rozmowy. To prawda, że lubiła wścibiać nos i plotkować, ale jej ciekawość płynęła ze szczerego zainteresowania ludźmi, którzy ją otaczali. Annie miło się z nią rozmawiało... choć myślami krążyła wokół czegoś innego. Skąd ten narastający w niej od jakiegoś czasu ni to smutek, ni ból?

– Naprawdę nie musisz przejmować się Leah – powiedziała ni stąd, ni zowąd Rebecca. – Wydajesz się stroskana, więc pomyślałam... ale pewnie się myślę...

Annie uśmiechnęła się.

– Obudziłaś moją ciekawość. Co mi chciałaś powiedzieć na pocieszenie, gdybym rzeczywiście była stroskana, a raczej zazdrosna?

– Nie sądzę, żeby Leah została tu długo.

– Naprawdę? Czyżbyś zamierzała ją zwolnić?

– Och, nie. To prawda, że jest trudna, ale dobrze pracuje. Nie, nie o to chodzi. Leah zadaje się z kimś dość ważnym w naszym biurze. – Z miną osoby doświadczonej

życiowo Rebecca pokiwała głową. – Taka kobieta nie będzie spędzać dni na wstukiwaniu danych w komputer, jeżeli spędza noce z bogatym podtatusiałym lowelasek.

Annie uśmiechnęła się, słysząc staroświecki język Becky.

– Więc uważasz, że wkrótce odejdziesz?

– Nawet gdyby została, nie masz powodu do niepokoju – zapewniła Rebecca. – Po prostu doszłam do wniosku, że może chciałabyś o tym wiedzieć.

– Doceniam twoją troskę i zapewniam cię, że nie jestem zazdrosna. Zachciało mi się pić, pokażesz mi drogę do automatu z colą?

– Nie żartuj. Zaraz ci przyniosę. – I nie słuchając protestów Annie, szybko wyszła z gabinetu.

Kiedy Annie została sama, powróciła do oglądania fotografii Jacka. Przedstawiały egzotyczne miejsca, ale nie o to chodziło. Te, które najwięcej znaczyły dla Jacka, a które oprawił i zachował, przedstawiały ludzi. Ludzi, którym pomagał. Ludzi, których dobro leżało mu na sercu.

Naraz rozpoznała, jakie to uczucia tak nią szarpią i tak ją niepokoją.

Duma. Była dumna z Jacka, a jednocześnie było jej wstyd za siebie. Że też nigdy się nie zorientowała! Nie miała o tym pojęcia. Przez całe lata traktowała pracę Jacka jako pretekst do podróżowania po świecie... jak coś, co go od niej oddala. A było to coś więcej. O wiele więcej. Annie poczuła się mała i nic nie znacząca, a także bliska łez.

Stała w obliczu jeszcze jednej prawdy, przed którą się broniła. To, czego chciała – czego prawdziwie i egoistycznie chciała – to, żeby Jack kochał ją na tyle, by przestał się włóczyć i został w Hihgpoint. Ale on nie zamierzał tego zrobić. Kochał swoją pracę. Jak mogła żądać, żeby zrezygnował z tego, co kocha?

Nie, nigdy nie była zazdrosna o kobiety. Natomiast,

z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę, była zazdrosna jak diabli o jego pracę.

– Nie uwierzę, że wzięłeś pizzę z anchois. Dlaczego mi to zrobiłeś? – Annie skrzywiła się nad swoim kawałkiem pizzy. Była siódma wieczorem i właśnie zapłaciła dostawcy za pizzę, którą zamówił Jack. – Wiesz, że nie znoszę anchois.

– Skoro ty mogłaś wypożyczyć dla nas na wieczór jakiś okropny melodramat, to ja mogłem zamówić pizzę z anchois. Wystarczy, że je wyskubiesz, tak jak to robisz z cebulą. – Jack zsunął ogromny kawałek pizzy na papierowy talerz, rozsiadł się wygodnie i położył nogi na niskiej ławie.

Zacząła wyjmować kawałki cebuli.

– Nie wygląda mi na to, żeby ten policjant zamierzał coś zrobić w tej sprawie.

Tak jak obiecał Jack, udali się po południu na policję.

– Hmm? Och, tak, liczyłem na trochę więcej entuzjazmu z ich strony, ale dla nich głównym winowajcą jest Metz, a on nie żyje. Sądzę, że niewiele mogą. Chyba że przedstawię im dowód, że jeszcze ktoś jest w to zamieszany. Dobrze chociaż, że zainteresowała ich treść tego anonimu.

– Jeśli to cokolwiek da...

– Porozmawiają z Leah. Jeżeli to ona napisała ten list, napędzą jej trochę strachu.

– Być może. – A być może Leah będzie zachwycona, kiedy się dowie, że na tyle są zaniepokojeni, że aż zwrócili się z tym do policji. Annie westchnęła i zaczęła wydłubywać z pizzy kawałki anchois.

Mieszkanie Jacka było typową kawalerką. Zawalona różnymi rzeczami ława przy sofie pełniła jednocześnie rolę stołu jadalnego, a podwójne łóżko w rogu nie było posłane.

Był za to telewizor z wielkim ekranem i z większą ilością przycisków i lampek kontrolnych niż na pokładzie małego samolotu.

Ale było też coś typowego wyłącznie dla Jacka, jak na przykład cała masa książek albo wielki mosiężny słoń koło drzwi, albo kultowa miseczka z Tybetu. Czy też pomocnik przy sofie, a na nim bałagan, w którym tylko Jack potrafił się rozeznąć. Był też olbrzymi bęben z Kenii, który nakrył masywnym szklanym blatem.

– Do licha. – Jack wyprostował się i odłożył papierowy talerz na ławę. – Gdzie to jest?

– Co? – Właśnie skończyła wyjmować anchois i ugryzła kawałek pizzy.

– Pilot.

Przeżuła, połknęła i odpowiedziała:

– Och, to. Schowałam go.

– Co zrobiłaś? – Teraz usiadł już całkiem prosto. – Annie, mądra kobieta nawet nie próbuje rozdzielić mężczyzny od jego pilota.

– Dobre sobie! Nie dotkniesz go palcem! Od razu byś zaczął przelatywać co lepsze kawałki. – Rozsiadła się z zadowoloną miną. Niech ma za swoje za te kretyńskie rybki, które musiała pracowicie wydłubywać z pizzy.

Ruszył w stronę regału i zaczął zaglądać za książki.

– Nie znajdziesz go. Słuchaj, skoro już stoisz, przejdź jeszcze krok dalej i puść film.

Pokiwał ze smutkiem głową.

– Posługiwanie się przyciskami w aparacie wideo zamiast pilotem jest sprzeczne z wrodzonymi instynktami mężczyzny. – Przemógł się jednak i dokonał tego niezgodnego z naturą czynu, następnie wrócił i usiadł obok niej, nie zapominając o pozostawieniu wolnej przestrzeni między nimi. Przez cały dzień uważał, żeby jej nie dotknąć.

Wspólne jedzenie pizzy i oglądanie filmu, sprzeczenie

się o to, co będą oglądać, siedzenie razem na sofie, podczas gdy Annie udawała, że jej serce nie bije mocniej, że jej skóra nie mrowieje z powodu bliskości jego ciała... no, tak, zasępiła się. Prawie jak za dawnych czasów. Jednak parę rzeczy zmieniło się. Miała na palcu obrączkę, a Jack wiedział, że go pragnie. Zerknęła na niego. Ta świadomość nie przyprawiła go o dziką żądzę. Rozwalił się koło niej, nogi trzymał na ławie, pochłonięty swoją pizzą.

– Jakiego rodzaju dowodów szukałeś dzisiaj w biurze?

– Dokumentów przewozowych. Może chcesz, żebym cię od razu w to wprowadził? Nigdy wcześniej nie chciałeś poznać istoty sprawy.

Może nie, pomyślała. Ale Jack także unikał rozmów o swojej pracy.

– Bo też nikt wcześniej nie próbował cię zabić.

– Masz rację. – Odkroił kawałek pizzy. – Interesuje mnie głównie sposób, w jaki Metz dokonywał zamiany. Na przewóz lekarstw i sprzętu medycznego zwraca się szczególną uwagę, więc nie bardzo rozumiem, jak, bez pomocy kogoś z MPRB, to robił. Niestety, w kartotece jego komputera panuje bałagan. Sprawdziłem też biuro w Singapurze, jako że większość sprzętu i lekarstw dla tego regionu przechodzi przez nich. Ale nie mieli żadnej notatki na temat tych przesyłek.

– A dzisiaj?

– Przejrzałem główne dokumenty.

– I czego się dowiedziałeś?

– Wszystko jest w porządku. Kartoteki wypełnione, miejsca przeznaczenia zalogowane. Tylko że z kartotek wynika, iż przesyłki zostały skierowane na Singapur, ale tak się nie stało.

– Myślisz, że problem tkwi w Singapurze? Że jakiś tamtejszy urzędnik zrzęcznie pozbył się tych dokumentów?

– Możliwe. Do diabła, tu wszystko jest możliwe. Nie

jestem detektywem, a papierkowa robota nigdy nie była moją mocną stroną. Ale przecież uważnie przejrzałem dokumentację w Singapurze. Zainstalowali tam zupełnie niezły system, prawdopodobnie dzieło Herbiego. Zwykły urzędnik miałby trudności ze zrobieniem jakiegoś przekrętu. – Potrząsnął głową. – Chciałbym przekonać do sprawy Herbiego. Jedynie on potrafiłby przedrzeć się przez tę dżunglę i odkryć, co jest nie tak.

– Wydawało mi się, że uważasz go za osobę niekompetentną.

– Jest małym tyranem, upierdliwym jak cholera, ale systemy komputerowe ma w małym palcu. Do licha, ten człowiek czepia się i sprawdza, czy litera „t” jest prawidłowo przekreślona, i to na wszystkich trzech kopiach! Jest urodzonym biurokratą.

– Może to on? – Usiadła, podekscytowana. – Może to on pomógł Metzowi?

– Herbie? – zdziwił się Jack.

– Z tego, co mówisz, wynika, że był to ktoś, kto wiedział, jak obejść system.

– To brzmi logicznie, ale... – Potrząsnął głową. – Sam nie wiem. Coś mi tu nie gra. Jediną pasją Herbiego są formularze i procedura. Nie widzę go w roli przestępcy.

– Ale gdyby rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, mógłby to zrobić. Może w tajemnicy uprawia hazard albo może ktoś ma na niego haka i go szantażuje?

– Ten człowiek nie ma żadnych wad. To mnie tak strasznie w nim irytuje, ale... muszę wziąć pod uwagę to, co mi sugerujesz, chociaż nie chce mi się w to wierzyć.

– Myślałam, że go nie lubisz – powiedziała zaintrygowana.

– To prawda, ale zawsze uważałem, że jest oddany firmie, tyle że na swój własny pokręcony sposób. – Rzucił okiem na ekran, gdzie trzy kobiety ścisnęły się i zaśmiały,

a potem na swój talerz. – Zagadałem się. Nie wiem, co dzieje się na ekranie, a moja pizza jest zimna. Proszę. – Podał jej talerz z czarującym uśmiechem. – Nie mogłabyś mi jej odgrzać? Przez ciebie kręcę się i nie znajduję sobie miejsca, więc przynajmniej to mogłabyś dla mnie zrobić.

Roześmiała się.

– Chyba nie myślisz poważnie, że ze mną ci się to uda?

– Nie zaszkodzi spróbować. – Wstał i poszedł z talerzem do maleńkiej kuchni, oddzielonej od pokoju długim, drewnianym blatem.

Annie patrzyła na ekran telewizora, ale myślami była gdzie indziej. Ma wiele do przemyślenia. Jack zachowywał się nienagannie przez cały dzień. Wszystko bardzo przypominało dawne czasy, a przecież tego właśnie pragnęła. Powinna więc być szczęśliwa. A nie była. Przechytrzyła samą siebie. Pragnęła więcej, a teraz przyszedł czas, by przestać udawać, że jest inaczej. W głębi duszy miała nadzieję, że Jack zapragnie od niej tego samego, czego ona pragnie od niego: namiętności, zaangażowania, miłości.

Właściwie, jeśli chodzi o namiętność, to może na nią liczyć. A w każdym razie na przyprawiający o zawrót głowy seks. Jeśli rzeczywiście pójdą do łóżka, z jej strony będzie to prawdziwa namiętność. Zaangażowanie? Właściwie sposób, w jaki mówił poprzedniego wieczoru o ich przyjaźni, wskazywał na najwyższe zaangażowanie. Ale miłość... Jack odżegnywał się od niej.

Czy powinna poprzestać na tych dwóch uczuciach – na namiętności i zaangażowaniu – nie domagając się trzeciego – miłości? Czy potrafi?

Spojrzała na obrączkę i pomyślała o przyrzeczeniach składanych Jackowi, gdy nakładał ją na jej palec. Miał rację. Nie dotrzymała tych obietnic. Spanikowała, przerażona zarówno własnymi uczuciami, jak i perspektywą porzucenia bezpiecznego świata, który znała.

Nadal się bała. Kochanie Jacka było ryzykiem, którego nie chciała, a jednocześnie wydawało się, że nie ma takiej siły, która by ją powstrzymała.

Zerknęła na Jacka, który uważnie obserwował zmieniające się numerki na cyfrowym zegarze mikrofalówki. Chciał ją zatrzymać w roli, jaką jej dawno wyznaczył – w roli przyjaciela, dodając do tego nową rolę – rolę kochanki. Annie nie chciała być kochanką, szczególnie w układzie, gdy miłość była jednostronna, ale też nalegając wciąż na więcej, niż on chciał dać, może zaprzepaścić wszystko – ich małżeństwo i przyjaźń.

Przeraziła się.

Jeszcze nie, pomyślała. Jeszcze nie jest gotowa, żeby mu oddać wszystko. Ale też nie zamierza zrezygnować z tego, co jest dla niej takie ważne. Musi coś zrobić, żeby kochając Jacka, czuć się bezpiecznie. Musi znaleźć sposób, żeby ją pokochał.

Jack tępo wpatrywał się w zegar mikrofalówki. Między Bogiem a prawdą ta cała zabawa w „ręce przy sobie” dobijała go. Annie miała rację, mówiąc, że nie są prawdziwym małżeństwem. Z jego winy. Popełnił wielki błąd w ich noc poślubną, kiedy, unosząc się gniewem, poszedł do kasyna, zamiast zrobić to, co powinien. I co cholernie chciał zrobić. Annie podchodziła do seksu poważnie. Gdyby poszła z nim do łóżka, czułaby się z nim całkowicie związana. W każdym razie nie mogłaby teraz utrzymywać, że są tylko kumplami.

Zatopiony w myślach, nie usłyszał dzwoneczka mikrofalówki.

On i Annie zawsze będą przyjaciółmi i gotów był zrobić wszystko, żeby tak zostało. Ale nie są kumplami. Już nie. Nie teraz, odkąd poznał jej smak, zapach jej skóry w zagłębieniu szyi, gdzie puls bił jak szalony,

odkąd poznał kształt jej bioder. Wiedział, że nie lubiła, gdy coś wymykało się spod jej kontroli. A przecież czuł, że gdy jej dotykał, przestawała się kontrolować. Tylko idiota mógł chcieć za wszelką cenę dowieść jej tego, i to na dachu!

– Hej! – zawołała Annie z sofy. – Mógłbyś mi podać szklankę wody, skoro tam jesteś?

– Jasne. – Przypomniiał sobie, po co tu przyszedł, i wyjął pizzę z mikrofalówki.

Może Annie ma rację, że czeka, pomyślał, nalewając do szklanki wody. Zerknął na wielkie łóżce w kącie pokoju. Do licha, on jest gotów. Ale Annie nie – albo nie wie, że jest. Gdyby napierał i zaciągnął ją do łóżka, kiedy nie jest gotowa, mógłby ją zniechęcić i odstraszyć.

Jack podał jej wodę, usiadł na sofie i udawał, że śledzi akcję filmu. Musi zachować cierpliwość. A kiedy już pójdą do łóżka – oby jak najszybciej! – powinna czuć, że jest to jej własna decyzja. Będzie miała wrażenie, że panuje nad sytuacją.

– No i co – powiedział niby od niechcenia, gdy skończył jeść pizzę – myślałaś trochę o przeprowadzeniu się do mnie?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego właśnie teraz wracasz do tego?

– Chciałbym, żebyś się przeniosła. Wiesz o tym. Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna. – Prawdę mówiąc, Jack zaczynał przychylić się do opinii Annie, że list, który otrzymała, najprawdopodobniej nie był związany z ostrzeżeniem, jakie on dostał. Przecież nie miała nic wspólnego z oszustwem, które próbował odkryć, a skrzywdzenie jej i tak nie uchroniłoby winnego, kimkolwiek jest. Może również ma rację, że z chwilą powrotu do Stanów nie grozi mu już niebezpieczeństwo, niemniej jednak nie zamierzał całkowicie usypiać czujności.

– Pomyślę o tym – odpowiedziała z rezerwą.

– Już raz to mówiłaś. – Westchnął i sięgnął po asa atutowego. – Posłuchaj, czy nie poczułabyś się lepiej, gdybym ci obiecał to, co obiecałem na czas tej podróży? Że potem też będę trzymał rękę przy sobie?

Nie wydawała się uspokojona. W ogóle nie wydawała się zachwycona tym pomysłem.

– Pomyślę o tym – powiedziała znowu.

Jack uśmiechnął się i ponownie zaczął udawać, że ogląda film. Postęp był wyraźny.

W małej kawiarni panował tłok. Zgiełk, tumany kurzu i zapachy z pobliskiego bazaru konkurowały z cierpkością mocnej kawy, pikantnym dymiącym gulaszem, który podawano tego dnia, i z mniej przyjemnymi zapachami paru klientów kawiarni. Woda była na wagę złota w tej niedużej oazie miejskiej.

Przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików siedziało dwóch mężczyzn. Jeden był niski, śniady, jak mężczyźni przy innych stolikach. W przeciwieństwie do nich nosił się na sposób zachodni – spodnie khaki, kraciasta koszula i ciemne szkła chroniące przed niemiłosiernym pustynnym słońcem. Drugi mężczyzna również był w khaki, ale jego spodnie wyglądały jak szyte na miarę, a koszula na pewno pochodziła z eleganckiego markowego sklepu. Był wielkim jak niedźwiedź, ale już starszym, bo ponad sześćdziesięcioletnim panem, choć trzymał się nad podziw dobrze. Jego gęste włosy w kolorze stali miały taki sam kolor jak oprawki jego przeciwsłonecznych okularów. Na pierwszy rzut oka wyglądał na Amerykanina.

Kelner podał im kawę – ciemny napar w malutkich filiżankach.

– Moi ludzie nie są zadowoleni – powiedział ten niższy. Mówił po angielsku z lekkim obcym akcentem.

– Nie rozumiem, do licha, o co im chodzi. – Głos

Amerykanina był głębszy. – Czy nie odprawiłem Merrimana do Stanów, żeby nie bruździł?

Niższy zmarszczył czoło.

– Proszę mówić ciszej.

– Żaden z tych pacanów nie zna angielskiego. Widzisz jakiś inny powód, dla którego wybrałbym tę budę? – Potężny mężczyzna wypił łyk kawy i skrzywił się. – Co za paskudztwo. Wolałbym spotkać się z tobą w hotelu, gdzie bym dostał szklaneczkę przyzwoitej whisky.

Niższy mówił szybko, nie podnosząc głosu:

– Zwłoka w biznesie nie jest dobra. Jeżeli nie jesteś w stanie zapewnić regularnych przesyłek, twoi partnerzy będą musieli znaleźć kogoś innego na twoje miejsce.

Potężny mężczyzna był może głośny i arogancki, ale nie był głupi. Ludzie, z którymi załatwiał interesy, mieli swoje sposoby na pozbywanie się niechcianych partnerów. Poczuł lekki żal na myśl o tym, co będzie musiał zrobić, ale przecież to jest interes i ma swoje wymagania.

– Załatwię to w ciągu najbliższego tygodnia.

– Nie wiem, czy zechcą czekać kolejny tydzień.

Potężny mężczyzna podniósł się z miejsca.

– Bzdura. Wznowienie przesyłek beze mnie zajmie im o wiele więcej czasu. Wiedzą o tym równie dobrze jak ja. Ale jestem ugodowym człowiekiem. Wiem, że zwłoka ich kosztuje, i dlatego pierwszą partię dostaną gratis.

– A... przeszkoda?

– Czy nie zająłem się Metzem? Chytry, naiwny drań. Zajmę się też Merrimanem. – Choć jego było mu szkoda. Zawsze lubił Jacka. Próbował go zresztą ostrzec, prowokując tamten wypadek. Ale uparty dureń nie popuścił.

– Dlaczego trzeba na to aż tygodnia? – zapytał niższy, przechylając głowę do tyłu.

– Bo będzie cholernie trudno wciągnąć w to policję. Drugi raz nikt nie da się nabrać na samobójstwo, a glin

w Stanach nie da się tak łatwo przekupić, jakby ci się zdawało. To musi wyglądać na wypadek. – Miał człowieka do takiej roboty. Kogoś, kogo, oczywiście, nie znał. Nie zadawał się z tego rodzaju szumowiną. Ale jego łącznik w Denver znalazł kogoś i dogadał się.

W zanadru, gdyby coś nie wypaliło, miał alternatywny plan. Ale ten plan wymagałby jego osobistego udziału. Lepiej, żeby takimi sprawami zajmowali się zawodowcy.

Poza tym był jeszcze na wakacjach.

– Jeden tydzień. – Niższy wreszcie wstał. – Ani godziny więcej.

Olbrzymi mężczyzna czuł obrzydzenie do tego typu zadufanych w sobie, żałosnych palantów, ale interes to interes.

– Przecież powiedziałem tydzień! Psiakrew! Dotrzymuję słowa. – Kiwnął głową i opuścił kawiarnię, przeciskając się przez zatłoczony bazar.

Postanowił, że po powrocie do hotelu skontaktuje się ze swoim łącznikiem.

No cóż, Jack, mam nadzieję, że twoja świeżo poślubiona żona jest wściekle napalona na ciebie. Baw się dobrze, bo może to będą ostatnie dni życia, jakie spędzisz z nią w łóżku, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Ale nie było mu wesoło.

Rozdział siódmy

To niesamowite, ile potrafi namieszać jeden poczciwy bałwan.

Następnego dnia po powrocie z Jackiem do Highpoint Annie odebrała masę telefonów od ludzi rzekomo potrzebujących różnych usług, czyli jej „złotej rączki”... Teraz, wieczorem, dojeżdżając na podjazd przed domem, Annie postanowiła odbić sobie frustracje dzisiejszego dnia na owym „poczciwym bałwanie”.

Bena nie było jeszcze w domu, ale Charlie już wrócił. Świetnie. Wyżali mu się, zanim przypuści atak na Bena.

Brat siedział w dużym pokoju i oglądał wiadomości.

– Twoja kolej na gotowanie – powiedział, nie odrywając oczu od ekranu telewizora.

– Doskonale – warknęła. – Ale jeżeli zadzwoni telefon, powiedz, ktokolwiek to będzie, że jestem w ciąży z kosmitą i spodziewam się trojaczków.

– Z kosmitą? – odwrócił się w jej stronę. – Może powinienem zadzwonić do gazety?

– Dobry pomysł. – Ściągnęła kurtkę. – Bo oczywiście nikogo nie obchodzi, czy historia jest prawdziwa, czy nie.

– Rozumiem, że notatka o twoim ślubie ukazała się w dzisiejszej gazecie...

– Przeczuwałam, że kiedy ludzie dowiedzą się o tym,

będą się głowić przez trzy dni, dlatego wysłałam za męża. Można by pomyśleć, że w Highpoint nikt nie brał ślubu!

– Ale nie w taki sposób, w jaki ty to zrobiłaś.

Rzuciła w niego kurtkę i ruszyła do kuchni.

– Żebyś wiedział, jaki miałam dzisiaj dzień, nie mówiłbyś takich rzeczy.

Poszedł za nią.

– Według mojego rozeznania telefon urywał się, a ty byłaś zajęta uganianiem się od jednego lipnego zgłoszenia do drugiego, a ludzie usiłowali wyciągnąć z ciebie szczegóły o twoim tajemniczym małżeństwie.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Odsłuchiłaś moją sekretarkę.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dwie osoby proszą, żebyś zadzwoniła, gdy tylko wrócisz do domu, a parę innych chce, żebyś przy okazji wpadła i coś zreperowała. A Phoebe Peyton chce ci zapłacić dziesięć dolarów za ściągnięcie jej kota z drzewa.

– Za ściągnięcie jej... – burknęła i odwróciła się na pięcie. – Phoebe Peyton nie ma kota.

– Może to był kot jej sąsiadki.

– Może chce się dowiedzieć, czy jestem w ciąży. – Szarpnęła drzwi lodówki i jęknęła na widok zawartości. – Nie uwierzyłbyś, ile osób uważa, że musiałam wyjść za męża. Rozumiesz? Musiałam! Każda napotkana dzisiaj osoba gapiła się na mój brzuch.

– No cóż... nie można im się dziwić. Biorąc pod uwagę okoliczności...

W szufladzie z jarzynami Annie znalazła główkę kapusty. Postanowiła ją poszatковать i przyrządzić surówkę z marchewką.

– Czy ludzie mają mnie za idiotkę? Gdybym wyszła za męża, dlatego że jestem w ciąży, czy miałyby sens utrzymać małżeństwo w tajemnicy?

Spojrzała na niego, niosąc kapustę do zlewozmywaka. Odkręciła kran i zaczęła ją płukać. Po chwili sięgnęła po ostry nóż i na desce do krojenia położyła umytą główkę kapusty. Zaczęła ją kroić szybkimi, zdecydowanymi ruchami. Ciach, ciach, ciach!

– Posłuchaj no. – Stanął za nią i położył rękę na jej ramieniu. Głos miał miły, w przeciwieństwie do słów. – Czego się spodziewałaś? Zrobiłaś ze swojego ślubu wielką tajemnicę. A tajemnice mają to do siebie, że budzą podejrzenie. Dodaj do tego fakt, że nie mieszkacie razem... – Wzruszył ramionami. – Nie dziw się więc, że ludzie umierają z ciekawości.

– Kilka osób rozgadało się. Aż trudno uwierzyć... czy wiesz, co mi powiedziała Suzy Watkins? – Ciach, ciach, ciach! – Nie może się zdecydować, czy ma mi współczuć, czy zazdrościć, ponieważ Jack jest takim przystojniakiem – ciach, ciach, ciach – i wszyscy wiedzą, że nie potrafi dochować wierności żadnej kobiecie.

– Nie rozszarpałaś jej? – zapytał z zainteresowaniem.

– Nie. – Chociaż bardzo ją kusiło. – Jest jeszcze durniejsza niż inni, ale każdemu chodzi o to samo. Tylko że jedni ukrywają to lepiej, a inni gorzej. Po pierwsze, Jack nigdy by się ze mną nie ożenił, ani z żadną inną, gdyby nie musiał. Po drugie, musiałam być zdesperowana i szalona, ponieważ każdy wie, że Jack jest nieokrzesany i nieodpowiedzialny. Takie jest ich myślenie!

– Nieźle go sobie zapamiętali.

– No właśnie. – Po raz pierwszy Annie zobaczyła, dlaczego Jack nie znosi Highpoint. Dlaczego dotąd nie dostrzegła, jak mylne wyobrażenie mają o nim tutejsi ludzie? – Ale Jack taki nie jest! Oczywiście, ja też uważam, że nie jest, jak ty to nazywasz, bezdyskusyjnym materiałem na męża, skoro nie potrafi albo nie chce tkwić w jednym miejscu. – I nie chciał się zakochać, jednak tego Annie nie

zamierzała mówić bratu. – Ale, na miłość boską, nie jest już nieokrzesanym chłopakiem! Bardzo poważnie traktuje swoją pracę. – Góra szatkowanej kapusty ciągle rosła. – Jest odpowiedzialny i pomaga wielu ludziom na całym świecie. – Spojrzała na deskę do krojenia. Leżała na niej ogromna góra poszatkowanej kapusty. Otworzyła kredens i sięgnęła po salaterkę. – Skoro tu jesteś, mógłbyś coś zrobić. Wyjmij z zamrażalnika kotlety, dobrze? I podaj mi kilka marchewek.

– Wiesz co, Annie – powiedział, idąc w stronę lodówki – mówisz tak, jakbyś zmieniła zdanie o Jacku.

– Dlaczego tak myślisz? – Przerzuciła kapustę do dużej salaterki.

– Opowiadasz, jaki jest odpowiedzialny. Nie wydaje mi się, żebyś wcześniej dostrzegała w nim tę cechę. – Podał jej marchewki, zatrzymując opakowanie mięsa. – Ty utrzysz, ja usmażę. To bardziej męskie zadanie.

– Uważacie z Benem, że wszystko, co jest tłuste, musi być męskie. – Skrzywiła się i zaczęła trzeć marchew. – Czy rzeczywiście sprawiałam wrażenie, jakbym uważała Jacka za kogoś nieodpowiedzialnego?

– Niezupełnie. Ale chyba postrzegałaś go bardzo podobnie jak wszyscy tutaj. – Wyjął patelnię. – Może jednak się mylę.

Annie nie mogła otrząsnąć się z tego, co powiedział jej brat. Dzisiaj zobaczyła, po raz pierwszy tak jasno i wyraźnie, jak ludzie w mieście postrzegają Jacka.

– Jack? Jack Merriman? Naprawdę wyszłaś za niego?

– Lubię Jacka. Każdy go lubi. Jest niewiarygodnym materiałem do fantazjowania, i musi być doskonały w namiętnych i burzliwych romansach.

– Taka jestem zazdrosna. Nie znam nikogo bardziej seksownego.

Zabawowy. Lubiany. Świetny materiał do fantazjowania. Napalony.

To wszystko brzmiało tak znajomo. Czy sama, na własny użytek, nie określała Jacka w ten sposób? A jednak, kiedy słyszała to z ust innych, była wściekła.

Więc co się zmieniło? I kiedy?

– Jack uważa, że tkwię w Highpoint, bo czuję się tutaj bezpieczna – powiedziała nagle. – Uważa też, że powinnam powrócić do dawnych marzeń i zobaczyć świat, tak jak on.

– Hmm. – Gdy ona była pogrążona w myślach, Charlie zaczął smażyć kotlety i wyjął piwo z lodówki. Teraz siedział przy stole, popijając je i obserwując ją.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? Nie uważasz, że on ma rację?

– Nie zapominaj, kochanie, że był taki czas, gdy strasznie chciałaś zobaczyć świat. Jeszcze przed śmiercią mamy i taty – powiedział łagodnym tonem.

– Kiedy to było! – Dodała startą marchew do kapusty. – Ludzie się zmieniają.

– Hmm.

Podchodząc do lodówki, rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Przestań z tym hmm, jeśli masz coś do powiedzenia, wywal to z siebie od razu!

– Okej. Sądzę, że gdyby mama i tata nie umarli w taki sposób, byłybyś już dawno na Borneo. Z Jackiem.

Annie wlała sos do sałatki.

– A ja mam wrażenie, jakbym z ich śmiercią straciła całe zamiłowanie do włóczęgi i podróży.

– Uważasz, że bezpowrotnie? Było, zniknęło, kaput, nigdy więcej?

Zadzwoił telefon. Annie poczuła dziwną ulgę.

– Odbierz, dobrze? I nie zapomnij powiedzieć, ktokolwiek to jest, o trojaczkach z kosmitą.

Charlie uśmiechnął się i wstał. Podeszedł do wiszącego na ścianie telefonu i zdjął słuchawkę.

– Tu UFO – powiedział wesoło. – Napotkałeś go? Bo

my... – urwał. Kiedy odezwał się po chwili, miał zmieniony głos. – Tak. Kiedy? – Kolejna pauza. – Zajmę się tym. Będziemy za parę chwil.

Annie odwróciła się w momencie, gdy głos Charliego stał się opanowany i uważny. Patrzyła teraz na niego, gdy odwieszał słuchawkę, a niepokój podchodził jej do gardła.

- Co się stało?
- Nic złego. Tylko się nie denerwuj od razu.
- Do licha, nie uspokajaj mnie, tylko mi powiedz!
- Był wypadek.

Wychodzili właśnie z domu, kiedy przyjechał Ben. Nie zdążył jeszcze wysiąść, jak Charlie otworzył drzwi od strony pasażera i wepchnął do środka Annie, po czym wdrapał się za nią. Powiedział Benowi, że zaraz mu wyjaśni, dokąd jadą i po co.

Annie i obaj bracia weszli do izby przyjęć małego okręgowego szpitala. Bywała tu wcześniej wiele razy. Więc widok nie powinien być jej obcy. A jednak był. Przerazał. Podeszła do recepcji, którą obsługiwała kobieta w niebieskim mundurku.

– Muszę znaleźć Jacka – powiedziała do kobiety.
– Jacka Merrimana. Podobno miał wypadek i jest nieprzytomny.

Prawdopodobnie wstrząs, powiedział Charlie. Uczepiła się tego. Sama to miała. Bolało jak cholera przez cały dzień, ale nie było poważne. Gorsze byłoby pęknięcie podstawy czaszki, zator, wylew do mózgu...

– Merriman – powiedziała kobieta. – Ach, tak. Czy jest pani z rodziny?

– Jestem... jego żoną.

– Dobrze. Potrzebna mi jest historia jego choroby i nazwa ubezpieczającej go firmy. Kiedy go przywieźli, był nieprzytomny, więc...

– Wiem o tym! Gdzie on jest?

– Teraz jest u niego lekarz – powiedziała uspokajająco kobieta. – Gdyby zechciała pani usiąść, mogłybyśmy załatwić niezbędne formalności...

Śmiertelnie poważny głos Bena przerwał rozmowę.

– Zajmę się tym. A ty idź, Annie.

– Który to pokój? – zapytała.

– 4A. A teraz, proszę pana, może zechce pan powiedzieć, gdzie pacjent jest ubezpieczony...

Annie nie dosłyszała reszty. Była już w połowie korytarza.

Jack siedział na jednym z tych wąskich łóżek na kółkach i spoglądał spode łba na krępego mężczyznę w białym fartuchu, stojącego tyłem do Annie.

– Annie! – krzyknął na jej widok.

Wpatrywała się w niego jak głupia. Od aparatu koło łóżka do jego dłoni wiła się wężykowato przezroczysta rurka. Był blady, ale poza tym nic nie wskazywało na to, że odniósł obrażenia.

– Powiedzieli, że jesteś nieprzytomny.

– Nic mi nie jest. Znasz mnie przecież. Mam twardą głowę. Gdyby tylko pan doktor zechciał przestał mówić o konieczności zatrzymania mnie tutaj na noc...

– Musi pan zostać na całodobowej obserwacji – powiedział stanowczo lekarz. – Bez dyskusji.

– Nie ma mowy. – Jack zaczął wstawać, ale nagle stał się biały jak ściana.

Lekarz delikatnie popchnął go z powrotem na łóżko.

– Panie Merriman, wszystko wskazuje na to, że to jest wstrząs. Nie ma żadnych objawów, które by wskazywały na pęknięcie podstawy czaszki czy na krwiak, ale był pan nieprzytomny przez dwadzieścia minut. Chcę panu zrobić badanie komputerowe i zostawić pana na dwudziestoczterogodzinnej obserwacji. Nie może pan wracać do domu.

– Nie zamierzam prowadzić. Jestem pewny, że Fred nie odmówi mi podwiezienia. – Popatrzył gdzieś nad głowę Annie. – Co ty na to, Fred?

– To zależy od lekarza.

Annie obejrzała się przez ramię i zobaczyła stojącego w kącie pokoju wysokiego mężczyznę o znajomej twarzy, w mundurze policjanta drogowego. Rozpoznała w nim kolegę z liceum, był w klasie Jacka.

– Fred – powiedziała. – Fred Bergstrom. – Co ty tu... och, to pewnie ty odebrałeś informację o wypadku.

– Tak, proszę pani. – Wyciągnął mały notatnik. – Pani jest Annie Merriman?

Jack przewrócił oczami.

– Przecież wiesz, kim ona jest, Fred.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie pani przebywała między godziną piątą a teraz? – pytał dalej, jakby nie dotarła do niego uwaga Jacka.

Czuła się dziwnie, że Fred Bergstrom zwraca się do niej per pani. Pomyślała, że może taki zwyczaj panuje wśród glin.

– Dlaczego pytasz? Czyżbyś próbował kontaktować się ze mną przez komórkę? Zawsze ją wyłączam, kiedy kończę pracę.

– Mógłbyś przestać bawić się w dochodzenie? – zezłościł się Jack.

– Taka jest procedura – odparł sucho Fred. – Muszę zadać pytania.

– Nie jesteś detektywem, jesteś gliną z drogówki. A do tego idiotą, jeżeli uważasz, że Annie może mieć z tym cokolwiek wspólnego!

Cokolwiek z tym wspólnego? Z czym...? Zrobiło jej się słabo.

– Co się stało?

– Dwie minuty po szóstej dozorca z Peaceful Gardens

znalazł pani męża u podnóża klifu na zachodnim krańcu cmentarza. Był nieprzytomny, prawdopodobnie uderzył głową o skałę, gdy spadał – rzeczowo poinformował ją Fred.

– Do cholery, ja nie spadłem! – wrzasnął Jack.

Annie oniemiała. Czuła pustkę w głowie. Dalsza rozmowa między Jackiem i Fredem toczyła się jakby bez jej udziału.

– Nie możesz pamiętać, co się stało.

– Czy nie wystarczy trochę pomyśleć? Przecież nie miałem ze sobą żadnego sprzętu do wspinaczki! Nie muszę pamiętać, co się stało, by wiedzieć, że nie jestem aż tak głupi, żeby samotnie i w ciemności wspinąć się po klifie.

– Czyżbym się przesłyszał, jak kiedyś mówiłeś, że jedynym sprzętem potrzebnym do nocnej wspinaczki jest dobra latarka?

– W liceum mówiłem i robiłem wiele głupich rzeczy, których dzisiaj bym nie zrobił.

Fred wsunął notatnik do kieszeni.

– No dobrze, sprawdzę to jeszcze. Szkoda, że nie możesz sobie przypomnieć, co się naprawdę stało. Pomogłoby to zidentyfikować napastnika. O ile ktoś taki jest.

– Jestem pewny, że sam sobie nie rozbiłem łba.

Annie napotkała wzrok Jacka. Znalazła w nim potwierdzenie swoich najgorszych podejrzeń. „Wypadek” był zamierzony. Ktoś próbował zabić Jacka.

– Może byśmy poszli na kompromis, doktorze? – zapytał Jack najbardziej rzeczowo, jak potrafił. – Zrobi mi pan to badanie komputerowe, a ja tu zostanę i pozwolę się obserwować przez parę godzin. Potem, jeżeli głowa nie spuchnie mi jak balon czy coś w tym rodzaju, wypuści mnie pan do domu.

– Jeżeli ma pan jakieś obiekcje co do ubezpieczenia

i zwrotu kosztów za hospitalizację, proszę się nie obawiać. To jest standardowa procedura.

– Do diabła, nie martwię się o rachunek. Po prostu nie lubię szpitala!

Annie wiedziała, do jakiego stopnia to jest prawda i dlaczego. Kiedy Jack miał jedenaście lat, jego matka zasłabła wskutek alergicznej reakcji na jakieś lekarstwo. Kiedy zaczęła majaczyć, wezwał karetkę pogotowia, ale nie pozwolono mu pojechać razem z nią do szpitala. Nie znał nikogo, do kogo mógłby się udać, ponieważ byli nowi w tym mieście. Wylądował więc w domu dziecka, gdzie czekał na powrót matki. Niestety, umarła w szpitalu.

Lekarz pokręcił głową.

– To niemożliwe w sytuacji, kiedy mieszka pan sam i nie ma nikogo, kto nie będzie spuszczać pana z oka przez cały czas.

– Ależ ma – powiedziała Annie. – Ja tam będę.

Życie, pomyślał Jack, potrafi czasem płatać niezłe figle. Od pierwszej chwili po przyjeździe próbował namówić Annie, żeby przeniosła się do niego. Teraz z kolei musi zrobić wszystko, żeby ją trzymać z daleka.

– Nie.

– Co za „nie”? – Podeszła bliżej. – Oczekiwałeś tego ode mnie. No, więc wygrałeś, wprowadzam się do ciebie.

– Sytuacja uległa zmianie. Teraz nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa.

– To ciebie ktoś palnął w głowę, nie mnie.

– No właśnie. Będzie lepiej, jeżeli zostaniesz z braćmi.

– Więc i ty też.

– Co? Nie rozumiem...

– Będzie lepiej, jeżeli i ty zostaniesz z moimi braćmi.

Przynajmniej na razie.

– Ja nie mogę...

Za plecami Annie nagle zagrzmiał basem Ben.

– A dlaczego nie?

Za nim wpadła pielęgniarka. Była wzburzona.

– Przepraszam, panie doktorze. Próbowałam ich zatrzymać, ale nawet nie słuchali, co się do nich mówi.

– Nasza siostra jest tutaj – powiedział rzeczowo Charlie, wchodząc do pokoju tuż za pielęgniarką.

Ben położył rękę na ramieniu Annie, ale mówił do Jacka:

– Wyglądasz jak upiór.

– Dzięki. – Jack obserwował z rozbawieniem, jak pielęgniarka usiłuje zmusić do wyjścia McClainów. Charlie pozdrowił Freda, który pod naporem obu braci jeszcze bardziej cofnął się w kąt, natomiast Annie właśnie próbowała przekonać Bena, że ktoś próbował zabić Jacka...

W końcu lekarz stracił cierpliwość.

– Proszę, aby wszyscy natychmiast opuścili ten pokój! I to już! Zanim wezwę straż.

Ben popatrzył wilkiem.

– W porządku. Charlie, ty i Fred wychodzicie. Annie...

– Ja zostaję.

– W porządku – powiedział, jakby to on, a nie lekarz, rządził tu. – Jack, uregulujesz rachunek później. Nie wiem, gdzie jesteś ubezpieczony, więc kazałem wypisać rachunek na siebie. Panie doktorze, gdy będzie pan gotów go wypuścić, proszę dać mi znać. Jack, pojedziesz z nami do domu.

– Nie, nie pojedę, troskliwy braciszku. Nie rozumiesz? Annie nie powinna...

– Cholerny kretyn – burknął Ben. – Dopilnujemy Annie i ciebie także, dopóki nie sprawdzimy, co się dzieje. – Potoczył wokół wzrokiem. – No i co? Czy nie kazałem wam wszystkim wynosić się stąd? Człowiek jest ranny. Potrzebuje spokoju.

Ben potrafił działać skutecznie. Wszyscy wyszli bez słowa, a za nimi jako ostatni wyszedł z pokoju Ben, zamykając za sobą drzwi.

– No, no, nieżłą ma pan rodzinę, panie Merriman – odezwał się lekarz, unosząc brwi. – Skoro wiem, że zaopiekują się panem, może będę mógł wypuścić pana wcześniej. Zobaczymy. A teraz chcę, żeby się pan położył. – Lekarz podszedł do drzwi. – Wkrótce ktoś tu przyjdzie i zabierze pana na badanie. Proszę mu nie pozwolić wstać, pani Merriman.

– Dopilnuję go.

Jack bez słowa protestu położył głowę na poduszce. Czuł, że zamykają mu się oczy. W ciszy, jaka nastąpiła po wyjściu wszystkich z pokoju, ból, który wcześniej stawał się coraz bardziej nieznośny przy każdym oddechu, teraz się nasilił.

Jack był pewny, że gdyby bracia Annie wiedzieli, że ktoś naprawdę próbował go zabić, nie życzyliby sobie widzieć jej obok niego. Zwłaszcza Ben.

– Nie zgadzam się wrócić z tobą do domu – szepnęła, nie otwierając oczu.

– Nie masz wyboru. Ben jest bardziej uparty od ciebie. – Annie wzięła go za rękę.

– Nawet go o to nie prosiłaś. Dziwne, że sam się na to zdecydował.

– Jack. – Pogłaskała go po rękę. – Masz teraz rodzinę. Moją. Mogą być piekielnie irytujący, ale nie zostawią cię samego.

Ben i Charlie nie zgodziliby się z nią, pomyślał Jack. Swagier to żadna rodzina. Albo tylko w pewnym sensie. Bracia Annie robią to dla niej, doszedł do wniosku. Żeby się o niego nie martwiła.

– Fred mówił, że to miało miejsce na cmentarzu – powiedziała.

– Tak.

– Zaniósłeś mamie kwiaty?

– Tak. – Zawsze to robił i Annie o tym wiedziała. Za

każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Highpoint, zanosił mamie kwiaty. Żonkile, gdy była wiosna, poinsecje w zimie, róże w lecie, chryzantemy jesienią... Ale nie miał kwiatów dla ciotki. – Widziałem ją na Boże Narodzenie.

– Kogo? – zatrwożyła się.

– Moją ciotkę. Jej grób znajduje się obok grobu mamy, jak wiesz. – Otworzył oczy, ale tak naprawdę nie widział niedużego, jaskrawo oświetlonego pokoju. – Nie miałem dla niej kwiatów. – I to nie dawało mu spokoju. Patrząc na dwa groby, jeden stary, ale ozdobiony chryzantemami i astrami, które przyniósł, drugi nowy i goły, poczuł się dziwnie. Smutno. Nie zdarzyło się, żeby przyniósł ciotce kwiaty.

A dlaczego miałby przynosić, zapytywał siebie. Ciotka Sybil nie doceniała kwiatów. Raz jej ofiarował. Niewiele ponad rok po tym, jak u niej zamieszkał, dał jej bukiet kwiatów na urodziny. Podziękowała mu, wstawiła je do wazonu, po czym zrobiła mu wykład na temat wartości pieniędzy i głupoty, jaką jest wydawanie ich na coś tak ulotnego i nietrwałego jak kwiaty. Ale nie myślał o tym, gdy stał tam i patrzył na te dwa groby. Chciało mu się płakać. Choć to głupie, miał teraz takie wrażenie, że zaraz się rozplacze, ponieważ nie ma kwiatów dla ciotki.

– Starła się – powiedział nieoczekiwanie. – Nie wiedziała, jak ze mną postępować, ale starła się.

– Twoja ciotka?

Chciał kiwnąć głową, żeby jej przytaknąć, ale niewielki ruch sprawił, że ból rozszedł się po całym mózgu, więc szybko zamknął oczy i szepnął:

– Nie rozumiem, dlaczego zmuszasz mnie do mówienia. Od tego boli mnie głowa.

– Przepraszam.

Znowu odpłynął myślami. Annie mówi, że jej rodzina jest obecnie jego rodziną, ale myli się. On nie ma żadnej rodziny, poza tymi dwiema kobietami, które spoczywają

obok siebie na miejscowym cmentarzyku. Ale miło, że o nim pomyśleli i zaproponowali, by traktował ich jak rodzinę...

– Czy powiedziałem ci coś przykrego?

– Owszem. I nie wątpię, że zrobisz to znowu, kiedy tylko z twoją głową będzie lepiej.

Pewnie tak będzie, skoro ma się przenieść do domu Annie i jej braci. Ale tylko na czas rekonwalescencji. Potem zabierze ją do siebie... do ogromnego, pustego domu swojej ciotki? A może namówi ją, żeby opuściła Highpoint na dobre? A może lepiej, żeby trzymała się jak najdalej od niego teraz, kiedy niebezpieczeństwo stało się takie realne?

Próbował o tym myśleć, ustalić, gdzie Annie będzie najbezpieczniej, ale jego umysł wciąż stawiał opór. Uparcie wracał ku obrazom na cmentarzu i dwóm mogiłom, które odwiedził.

Sybil i Teresa Merriman były siostrami, ale trudno się było tego domyślić. Tak bardzo się różniły. Nagle Jack odniósł dziwne wrażenie, że może tak naprawdę nigdy nie poznał swojej ciotki, może spoza frazesów i banałów nie dostrzegł prawdziwej Sybil?

Jak to jest możliwe, przemknęła mu niewyraźna myśl, żeby miłość i zdolność robienia tego co słuszne nigdy nie szły w parze? Jedna z siostr nigdy nie kochała i nigdy nie wyszła za mąż. Druga kochała zbyt łatwo, ale i ona nigdy nie wyszła za mąż. Jakie to dziwne. Przynajmniej to jedno miały ze sobą wspólnego. Przez całe życie obie były niezamężne.

Jack nie jest kawalerem, już nie. Jest żonaty. Z Annie. Jego żona siedzi teraz przy nim i trzyma go za rękę. Jakie to miłe uczucie. Jakie... ważne. Miał wrażenie, że to jest jakiś brakujący element, jakaś myśl, którą chciałby połączyć z inną, ale bardzo boli go głowa

i nie może pozbierać wszystkich myśli, bo rozbiegają się, a zamiast nich pojawiają się obrazy innych miejsc, innych chwil.

Znowu przypomniała mu się scena, gdy przyniósł ciotce kwiaty, i ta jej reprimenda, jaką od niej otrzymał. Kwiaty wędną, powiedziała, i dlatego nie warto wydawać na nie pieniędzy. Nie chcę, żebyś kupował mi kwiaty, powiedziała... ale potem już nigdy go nie zbesztła, prawda? Postanowił zanieść jej kwiaty na grób. Przed wyjazdem z Highpoint zanieś ciotce nieduży bukiet. Tym razem nie będzie mogła się sprzeciwić.

Jak to bywa we wszystkich starych domach, tutaj także panowała cisza, którą od czasu do czasu przerywało pojękiwanie drewna, gdy belki i deski sadowiły się wygodnie na powitanie wczesnych godzin porannych. Annie siedziała na podłodze przy sofie, na której spał Jack. Z przedpokoju sączyło się przyćmione światło, na tyle tylko, że mogła widzieć jego zamknięte oczy, słabo podnoszącą się i opadającą klatkę piersiową, krótko mówiąc, mieć pewność, że śpi i wciąż jest z nią.

Lekarz wypisał go ze szpitala tuż po północy. Przywieźli go tutaj – bladego, nie mogącego ustać na nogach. Wszystkie sypialnie znajdowały się na piętrze. W takim stanie Jack nie mógł zmierzyć się ze schodami, ale Ben mógł bez większego trudu zanieść go na górę. Tego z kolei Jack nie mógł zaakceptować. Wnoszenie na rękach? Za żadne skarby! Skończyło się na tym, że wylądował na sofie w pokoju na parterze.

Mężczyźni, pomyślała, głupio zapatrzeni w siebie i drażliwi, czasami zachowują się jak małe dzieci. Małe dzieci z przerośniętym ego.

Powinna go wkrótce obudzić. Pamiętała, jak pielęgniarki budziły ją raz po raz, kiedy sama miała wstrząs, i jak bardzo

ją to irytowało. Ale lekarz kazał go budzić co dwie godziny i sprawdzać, jak reaguje, więc zastosuje się do zaleceń.

Nie musiała, oczywiście, siedzieć na podłodze przez te dwie godziny, czuwając nad jego snem. Ale chciała. Annie nie przestawała myśleć o tym, jak Jack był zaskoczony, że Ben i Charlie chcą go wziąć do domu.

Czy ktoś kiedyś był z nim tak naprawdę? Tak na sto procent, bez względu na wszystko, na dobre i na złe?

Z pewnością nie ciotka. Och, może Sybil Merriman starała się, jak powiedział Jack, i robiła to, co w jej mniemaniu było słuszne. Kupowała mu ubrania, karmiła i kształciła. Ale nigdy nie pojawiła się na żadnych zawodach, w których brał udział, ani też nie kupiła mu nic, tylko dlatego, że tego chciał. Nie chwaliła go. Nie brała w ramiona. Może nie wiedziała, jak to się robi. Może wyrazem jej troski, jedynym, na jaki umiała się zdobyć, były niekończące się kazania i wymówki, a całą resztę trzymała w sobie, na zewnątrz okazując jedynie dezaprobatę.

Również jego matka niewiele dawała mu z siebie. Kochała go, tak – Annie wierzyła w to, ponieważ Jack w to wierzył. Ale Teresa Merriman sama zbyt cierpiała na deficyt uczuć, żeby na pierwszym planie stawiać dziecko. Choć Jack nigdy tego nie powiedział, Annie wiedziała, że lata, które spędził z matką, były pełne niepewności, a czasami nawet strachu. A potem umarła. Annie dobrze wiedziała, jak niewielka jest dla dziecka różnica między śmiercią i porzuceniem.

Nic dziwnego, że Jack nie ma zaufania do uczucia, które ludzie nazywają miłością. Ci, których kochał, i ci nieliczni, którzy jego kochali – albo powinni go kochać – zawiedli go. Włącznie z nią.

Teraz, w ciemności, Annie przyznawała się do tego. Nie była lojalna wobec Jacka. Nie stała po jego stronie. Była za

bardzo zaabsorbowana ochronieniem siebie, kochała go, ale zachowywała dystans, szukając sposobów, by czuć się bezpiecznie, nie ryzykować... Wyszła za niego, a następnie odmówiła wyjazdu z nim, ponieważ wystąpił z tym tak nagle... bez uprzedzenia. Bała się o swoje bezpieczne życie. Nie chciała go stracić dla Jacka.

Głupota, oczywiście. Żadna prawdziwa miłość nie uznaje grzecznych i bezpiecznych granic.

Jack poruszył się niespokojnie. Lekko musnęła palcami jego podbródek. Skóra była szorstka z powodu zarostu, a mięśnie napięte, jakby nawet we śnie nie mógł uciec przed bólem. Powoli przesunęła palcami wzdłuż jego policzka, znajdując radość w dotykaniu go. Potem leciutko dotknęła jego włosów. Były miękkie, proste i gęste, prawdziwe futro.

Kocham cię. Chciała wyszeptać te słowa, kiedy spał. Tym razem nie powstrzymał jej strach. Rozumiała teraz o wiele więcej niż przed dwoma miesiącami, kiedy uciekła z Las Vegas, oszołomiona namiętnością, miłością i strachem. Jack nie czeka na miłosne słowa. On musi uwierzyć w miłość, a więc potrzebuje kogoś, w kogo będzie mógł wierzyć i polegać na nim.

– Więcej cię nie zawiodę – obiecała mu szeptem.

Było tu ciemno i cicho, poza jego nadal pękającą z bólu głową. Ale była też jakaś łagodność. Delikatne muskanie palcami wzdłuż policzka obudziło Jacka.

To Annie. Poznał jej dotyk. Nawet tam, gdzie prawie nie dociera świadomość, a dokąd odpłynął, poznał jej dotyk. Nie otworzył oczu, byłby to zbyt wielki wysiłek, ale nie musiał jej widzieć. Wystarczyło wiedzieć, że jest tutaj.

Nagle wszystko sobie przypomniał. Wszystko? Przecież nic nie pamiętał. Tyle tylko, że gdy odszedł od grobów,

znów ktoś próbował go zabić. Znów... Jakie to ma teraz znaczenie? Teraz przede wszystkim musi zadbać o bezpieczeństwo Annie. To nie podlega dyskusji. A wokół niego zrobiło się niebezpiecznie. Jednak musiał ją zatrzymać. Chciał ją mieć przy sobie przez cały czas. Do końca życia.

Rozdział ósmy

– Cześć. Mamy problemy, skarbie.

– Co? – Przytknął słuchawkę bliżej ucha, żeby lepiej słyszeć kobiecy głos, i gwałtownie usiadł na łóżku. Kobieta leżąca u jego boku przeciągnęła się leniwie. – Skaranie boskie! Leah, czy wiesz, która jest godzina?

– Jeszcze orientuję się w różnicach czasu na świecie. Ale to nie mogło czekać. Dlatego dzwonię w środku nocy. Słuchaj...

– Zaczekaj chwilę. – Odłożył słuchawkę i klepnął w pośladek kobietę, którą wynajął na dzisiejszą noc. – Zmykaj! Już cię tu nie ma! Słyszysz!

Kobieta ze złością warknęła coś przez sen mieszaniną francuskiego i jakiegoś cholernie niezrozumiałego języka tubylców, ale widok kilku dodatkowych banknotów uciszył jej protesty. Pomyślał, że wszystkie dziwki zawsze są chciwe. Już zapłacił jej za całą noc, a teraz płaci, żeby wyniosła się w środku nocy.

Od razu, kiedy za kobietą zamknęły się drzwi, chwycił słuchawkę.

– Słuchaj, Leah, lepiej, żebyś miała coś ważnego do powiedzenia, bo...

– Wiem, że dla ciebie najważniejsze jest pieprzenie się, ale tu chodzi o biznes.

– Coś nie tak? – zapytał. – Nie udało się? Policja coś podejrzewa?

– Nie, wszyscy są przekonani, że to był wypadek...
– Zrobiła krótką przerwę. – Włącznie z Jackiem...

– Do cholery, co takiego? To Merriman żyje?

– Podobno jest trochę ogłuszony, ale zdecydowanie żywy.

– Cholera, pewnie wzięłaś do tej roboty jakiegoś tępego punka prosto z ulicy? Jeżeli się okaże, że zadołowałaś pieniądze, za które miałaś wynająć prawdziwego zawodowca, ciężko pożalujesz!

– Zaoszczędziłam ci kupę forsy! Myślałam...

– Nie płacę ci za myślenie. – Oddychał ciężko. – Mów, co się stało.

– Johnny, czyli ten facet, którego wynajęłam, zadzwonił do mnie pół godziny temu. Powiedział, że wczoraj wieczorem szedł za Jackiem od samego cmentarza. Okolica była bezludna, słońce właśnie zachodziło... Trudno o lepszą okazję. Pod jakimś absurdalnym pretekstem... podobno mówił mu coś o zgubionym psie... skłonił Jacka, żeby mu towarzyszył do podnóża klifu, uspił jego czujność i walnął go w głowę stalowym prętem, który miał ze sobą... Zgadnij, skarbie, gdzie go schował? Wyobraź sobie, że ten pręt był tej samej długości, co interes Johnny'ego.

– Zostaw na później historyjki ze swojego pieprzonego życia seksualnego – warknął. – Dlaczego Merriman żyje?

– Gdy Johnny zamierzył się, Jack akurat odwrócił się i nagle ukucnął, ale to wystarczyło, żeby pręt lekko obsunął się i zamiast uderzyć w tył czaszki, walnął w skroń. Johnny pochylił się nad nim, żeby sprawdzić, czy żyje, kiedy nagle zobaczył reflektory jadącego auta, no i, sam rozumiesz, natychmiast się zmył. Zgodnie z twoją instrukcją miało to wyglądać na wypadek. Poślizgnął się i spadł. Gdyby znaleziono tam Johnny'go z tą rurą w ręku, nikt by nie przyjął do wiadomości, że Jack wspinał się i spadł.

– Zgoda – warknął. – Zgoda! – powtórzył wściekłym

tonem. – Ale czy to znaczy, że twój człowiek nie podrzucił mu sprzętu do wspinaczki?

– Na szczęście Jack nie pamięta, że został zaatakowany. Podobno to się zdarza przy urazie czaszki. Gliny uważają, że udał się na wspinaczkę bez sprzętu.

Uspokoił się trochę. W końcu był realistą. Wynajęci ludzie potrafią schrzanić wszystko. Sprytny i bystry businessman musi się z tym liczyć.

– Jeżeli to działo się wczoraj wieczorem, to dlaczego czekałaś tak długo i nie zadzwoniłaś wcześniej?

– Zadzwoniłam, gdy tylko dostałam wiadomość od Johnny'ego. Kręcił się jeszcze w okolicy Highpoint, póki się nie upewnił, że Jack nie pamięta, co się stało.

– Wiesz, co masz teraz zrobić?

– Chcesz, żebym znowu nasłała Johnny'ego na Jacka? Myślę, że będzie mógł załatwić jakąś pukawkę...

– Do cholery, nie! Gdzie ty masz rozum? Nie uda się już ukartować kolejnego wypadku, nie brudząc sobie przy tym palców. Plan B, kobieto, plan B!

Milczała przez chwilę.

– A zatem chcesz rozegrać numer ze zdrażaną żoną. To będzie kosztowało dodatkowe pieniądze, skarbie.

Kobiety! Wszystkie są dziwkami. Za wszystko każą sobie płacić – za uśmiech, za randki, za pieprzenie.

– Nie musisz go zabijać sama.

– Wiem, co mam zrobić. – Zdawała się poirytowana. – Sprawię, iż nikt nie będzie miał wątpliwości, że zdradza na prawo i na lewo swoją słodką żoneczkę. Kochanie, to mogę nawet zrobić za darmo, zwłaszcza jeżeli uda mi się zmienić pozory w rzeczywistość. Ty zapłacisz za resztę.

Za jej milczenie, innymi słowy. Ta kurewka gotowa go jeszcze szantażować. Uśmiechnął się ponuro.

– Spodziewałem się tego, Leah. Tylko spisz się dobrze, a dostaniesz wszystko, tak jak uzgodniliśmy.

Dwa dni później Jack nadal leżał na sofie w rodzinnym domu McClainów pod czujnym okiem Annie.

– Lekarz zalecił, żebyś jeszcze nie wstawał przez dwie doby – rzekła poprzedniego wieczoru, kiedy próbował chodzić. – Nie zmuszaj się do przedwczesnego wysiłku – powiedziała, gdy ją poprosił o pożyczenie hantli.

Teraz Annie tu nie było. Miała podkrążone oczy i ziewała przez całe popołudnie, więc namówił ją na drzemkę.

Wstał z łóżka i stanął. Wyprostował się. Od leżenia nie przybędzie mu sił, a im pręcej je odzyska, tym lepiej. Wczoraj zatelegrafował do Amosa Deerbauma, przekazując mu ostatnie wiadomości, włącznie z tą o ataku na siebie. Przy odrobinie szczęścia, za dzień lub dwa szef MPRB powinien się z nim skontaktować. Bez poparcia Deerbauma nie nakłoni Herbiego do współpracy w wyśledzeniu współnika Metza, zwłaszcza gdyby tym współnikiem okazał się Herbie!

Dzisiaj, gdy Annie nie było w pokoju, wykonał już trzy telefony – jeden do sierżanta Parksa z policji w Highpoint, jeden do Becky do biura w Denver i jeden do Freda Bergstroma.

Od sierżanta Parksa nie może oczekiwać pomocy. Takie odniósł wrażenie po wczorajszej rozmowie, a dzisiejszy telefon tylko to potwierdził. Parks nie zamierza tracić czasu na poszukiwanie napastnika, w którego istnienie nie wierzy. Miał, jak wielu innych mieszkańców Highpoint, swoją raz na zawsze ustaloną opinię o Jacku. Zbyt wiele słyszał o jego szaleństwach z wczesnej młodości, włącznie z opowieściami o popisach Jacka, który samotnie używał sobie na kłifie, na który tylko dureń – albo nastoletni smarkacz – mógł się wspinać bez haków i bez liny. Ale nie zdarzyło się, żebym spadł, nawet wtedy, pomyślał Jack z odrobiną urażonej dumy.

Powoli przemierzał pokój. Chwała Bogu, młodości mi-

nęły, ale nadal, przy zbyt szybkim ruchu, miał wrażenie, że wszystko wokół niego wiruje. Z głową nie było jeszcze w porządku, ale ból stępsiał. Będzie więc w stanie zrobić to, co zamierzył. Oczywiście w zwolnionym tempie.

Oparł dłonie o ścianę i zaczął od prostych, rozgrzewających mięśnie ćwiczeń.

Na szczęście, poza sierżantem Parksem, byli jeszcze inni. Na przykład Fred Bergstrom. Dawny kolega, nie tylko z klasy, ale i z bieżni, już na pogotowiu usiłował zabawić się w detektywa. Jack przedstawił mu swój plan, na który Fred przystał. Na swój posępny, powściągliwy sposób wydawał się nawet podekscytowany czekającą ich zabawą. Wprawdzie Jack wołałby mieć trochę silniejsze wsparcie. Nie był w najlepszej kondycji, a Fred, choć można było na niego liczyć, nie należał do orłów. Idealnym współnikiem byłby Charlie, ale on jest w ciągłych rozjazdach. A Ben? Nie ulega wątpliwości, że Ben byłby dobry do zabezpieczania tyłów. Powinien mu powiedzieć, co zamierza. I może Ben sam ofiaruje pomoc? Albo nie. Wybór należy do niego.

Ben jakąś godzinę temu zajrzał tu i powiedział, że gdyby Jack czegoś potrzebował, to zastanie go w kuchni, borykającego się z wypełnianiem formularzy podatkowych. Jack postanowił więc, że pójdzie do Bena i porozmawia z nim. Nie ma czasu do stracenia. Jego obecność w tym domu stanowi zagrożenie dla Annie.

Był jeszcze inny powód, żeby działać prędko. Jak długo można się opierać? Annie nie zachowywała się normalnie. Nie przestawała go dotykać. Każdy pretekst był dobry, a Jack był tylko człowiekiem. Ilekroć Annie go dotykała, miał ochotę pociągnąć ją i położyć obok siebie na sofie, a zaraz potem – pod sobą. Z kolei, gdyby to zrobił, wcale nie miał pewności, czy byłby w stanie... Dopiero by się zbłąźnił, gdyby, już na samym wstępie, zemdłał.

A ona, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nim

dzieje, gdy go tak czule i pieszczotliwie dotyka... Cały czas opiekowała się nim z ogromną troską. Jack nie opierał się – pozwalał się dotykać i chuchać na siebie, znosił nawet sposób, w jaki próbowała go przygwoździć do sofy na cały dzień. Poddawał się temu z rozkoszą i czuł się z tym szczęśliwy. Tym bardziej nie widział możliwości wtajemniczenia jej w swoje plany.

Westchnął. Jedynym wyjściem jest zatajenie tego przed nią, a zatem okłamywanie jej, czego nie cierpiał. Gdy się dowie, będzie wściekła, ale z dwojga złego wolał doprowadzić ją do szału, niż urazić. Nie mówiąc o najgorszym...

Annie była więcej niż pewna, że Jack nie leży. Nie mogła zasnąć i wpatrywała się w sufit. Trochę ruchu mu nie zaszkodzi, pomyślała, ale wkrótce trzeba będzie zejść na dół i zapędzić go z powrotem na sofę. Jack był uciążliwym pacjentem. Zresztą wcale nie spodziewała się, że będzie inaczej. W chorobie był taki sam jak jej bracia. Trudny – to zbyt łagodne słowo. Raczej uparty jak osioł.

Westchnęła. Może tylko sobie współczuć, że zadurzyła się w tym tak niewiarygodnie seksownym mężczyźnie. Teraz, gdy jej ciało jest tak pobudzone, a myśli wirują w głowie, nie ma mowy o zaśnięciu, nawet gdyby bardzo się starała.

Jack uważa, że jest taka jak on, że marzy o dalekich podróżach. Ale kiedy to było? Tak dawno, że już nawet nie pamięta. Czy mogłaby być szczęśliwa, jeżdżąc za nim po świecie, jak matka jeździła za ich ojcem? W jakim momencie kompromis zamienia się w niebezpieczne poświęcenie?

Usiadła i rozejrzała się po pokoju, który tak dobrze знаła, że właściwie nigdy mu się nie przyglądała. Podobnie jak przestała wyraźnie widzieć Jacka, dopóki nie pojechali do Denver.

Annie lubiła drewno, więc było go dużo w jej pokoju.

Łóżko, na którym bezskutecznie próbowała się zdrzemnąć, zdobiły po bokach cztery masywne, dębowe słupki; Ben zrobił to łóżko na jej szesnaste urodziny. Obok stała toaletka z drewna wiśni. Należała do jej matki, a wcześniej do jej babki. Był też drewniany bujany fotel, który przywiozła z Denver, a także wysoka sosnowa skrzynia z licznymi słojami. Na drewnianych półkach leżał jej sprzęt do wspinaczki, albumy z fotografiami, stał stary globus i masa książek. Pod półkami, na podłodze leżało ich jeszcze więcej; wróciły z nią z Denver, a nie znalazła jeszcze dla nich miejsca.

Pokój dorosłej osoby. Zachowała parę rzeczy z okresu, gdy była nastolatką, ale nic, co by jej przypominało małą dziewczynkę, którą kiedyś była... dziewczynkę, która śniła o dalekich podróżach. Nic, poza globusem. Dostała go od matki na szóste urodziny. Potem, co roku, mama pokazywała jej na nim, dokąd tym razem pojedą z ojcem.

Annie powoli wstała. Ale to nie globus przyciągnął jej uwagę, tylko oszklona szafa. Na najwyższej półce, za wysokiej, żeby mogła tam sięgnąć bez pomocy drabiny lub stołka, znajdowała się masa rzeczy, których rzadko potrzebowała – teczki z różnymi papierami, zamykana na zamek błyskawiczny stara torba, kilka starych kosmetyczek i wyblakłe pudełko na buty.

Dawno nie zaglądała do tego pudełka... Może teraz przyszedł czas?

Na dole szafy stał drewniany stołeczek. Jako malutka dziewczynka używała go, żeby dosięgnąć do umywalki. Teraz też stanęła na nim i zdjęła z półki stare pudełko na buty. Usiadła w bujanym fotelu, otworzyła pudełko i wyjęła grubą paczuszkę listów, przewiązaną wyblakłą kokardką, która bardzo dawno temu była niebieska.

Listy od matki. Te na górze były najstarsze. Krótkie, pisane drukowanymi literami, ponieważ wtedy nie znała jeszcze małych liter. Annie zawahała się chwilę, po czym

odłożyła spory stosik na bok. Zależało jej teraz na przeczytaniu kilku ostatnich listów. Tych z ostatniej podróży rodziców.

„Droga Annie” – zaczynał się jeden z nich. – „Ledwo dotarliśmy tutaj, a już tęsknię za tobą i chłopcami. Oczywiście wasz ojciec także, ale jest tak podniecony tymi wykopaliskami...” – Annie pominęła szczegółły odnoszące się do zamierzonej archeologicznej wyprawy. Przebiegła wzrokiem barwny opis miejscowego bazaru i zabawną historyjkę z osiołkiem. Znała to wszystko na pamięć. Odwróciła kartkę. Prawie na samym dole strony znajdował się akapit, którego szukała. – „Nie mogę już się doczekać, kiedy skończysz szkołę i do nas dołączysz. To jeszcze tylko miesiąc! Zaplanowałam już całą masę rzeczy, które zrobimy, gdy tylko tu dotrzesz...”

– Przeglądasz listy od mamy? – usłyszała cichy głos Jacka.

Annie podniosła wzrok, przestraszona, mrugając oczami, żeby zatrzymać cisnące się łzy. Jack opierał się o framugę drzwi. Był bladym i zmęczony.

– Wszedłeś po schodach – powiedziała z wyrzutem.

– I ani nie zemdlałem, ani nie spadłem na dół.

– Ale głowa bardziej cię boli, prawda?

– Jeszcze przez jakiś czas poboli, niezależnie od tego, co będę robił. – Lekko poirytowany wszedł do pokoju. – Te listy... właśnie ich szukałem tamtego dnia.

– Kiedy?

– W Denver. Trafiłem na zbiór magazynów „National Geographic”, ale myślałem o listach, kiedy zacząłem rozrywać twoje kartony.

– Och. Listy były tutaj, w mojej szafie. Nie zabrałam ich do Denver. – Spojrzała na trzymany w ręku list. – Wiesz, że miałam dołączyć do rodziców na miejsce wykopalisk. Kiedy usłyszeliśmy o wypadku, byłam już spakowana do drogi.

– Tak, wiem. Twoi bracia, każdy z osobna, mieli spędzać przynajmniej jedno letnie wakacje z nimi, czy tak?

– Tak. – Delikatnie, koniuszkami palców dotknęła kupki listów. – Musieliśmy skończyć dziesięć lat, żeby móc jechać. Taka była zasada. Mama i tata uważali, że w tym wieku można już znieść długi lot. – Właśnie skończyła dziesięć lat, kiedy rodzice zginęli. Jeszcze teraz, po tylu latach, kiedy o tym myślała, dławilo ją w gardle. Tak strasznie chciała pojechać. Tyle lat czekała na tę chwilę, by do nich dołączyć.

Annie spojrzała na Jacka.

– Powinieneś usiąść. Jesteś bardzo błądy.

– Nie przesadzaj – powiedział, ale usiadł na jej łóżku.
– Ile miałś lat, kiedy zostawili cię pierwszy raz?

Pytanie zdumiało ją.

– Głowę bym dała, że już ci to mówiłam.

– Opowiedz jeszcze raz.

– Tatuś wyjeżdżał co roku na wiele miesięcy, ale mama zaczęła z nim jeździć dopiero, kiedy zaczęłam chodzić do szkoły. To była kolejna zasada. Zostawała w domu z każdym z nas, dopóki nie poszliśmy do szkoły. Wtedy znowu jechała do niego. Najpierw tylko na lato...

Ich ojciec oczekiwał tego od niej. To oraz fakt, że matka zawsze wyjeżdżała, doprowadzał małą Annie do furii.

Podobnie Jack oczekiwał od niej, że z nim wyjedzie. Gdy otrzymał ten telefon, wzywający go do stawienia się w pracy nazajutrz po ich ślubie, oczekiwał, że rzuci wszystko i z nim pojedzie! A ona... chciała, żeby został dla niej.

– Lato trwa długo, gdy ma się sześć lat – powiedział Jack i lekko westchnął. – Uważasz, że byliście dostatecznie duzi na to, żeby twoja matka mogła być nieobecna przez całe lato?

– Oczywiście, że nie. Sześcioletek nie rozumie takich rzeczy. – Annie przejechała palcem po kartce.

Miłość, rzetelność, kompromis, poświęcenie... co dla matki było poświęceniem? Pozostanie w domu z dziećmi,

kiedy były małe? Czy pozostawienie ich, żeby być z mężem, który musiał przenosić się z miejsca na miejsce? A co na to jej ojciec? Czy traktował tych parę miesięcy, które spędzała co roku w Stanach, jako poświęcenie, czy jako kompromis między własnymi potrzebami a potrzebami rodziny?

Zaczęła równiutko układać listy.

– Mieliśmy babcię. Mama nie zostawiała nas z kimś obcym.

– Nie, ale zostawiała was z kobietą, która nie była najzdrowsza.

Zaskoczył ją ostry ton jego głosu.

– Stan serca babci pogorszył się dopiero po śmierci mamy. Nigdy już nie wróciła do zdrowia.

Annie nie lubiła wspominać tamtego roku po śmierci rodziców. Traciła babcię powoli – najpierw z powodu smutku i żałoby, a później całej serii zdrowotnych problemów. Skończyło się na tym, że trzeba było umieścić babcię w hospicjum. Przebywała tam przez następne trzy lata, ale ta nieobecna, krucha kobieta, która w końcu umarła we śnie, nie była tą babcią, którą Annie znała.

– Nie zapominaj, że oprócz babci miałam też braci.

– Czy Ben nie wyprowadził się z domu? Chyba nie mieszkał z wami przed śmiercią rodziców.

– Ale mieszkaliśmy blisko siebie. Wiedzieliśmy, że w każdej chwili możemy do niego zadzwonić. Mam wrażenie, że do czegoś zmierzasz, prowadząc tę rozmowę...

– Chyba złości mnie twoja postawa. Dziś odnosisz się do tego ze spokojem, ale wtedy... To znaczy, myślę, że też byłaś zła, ale że ci to minęło – powiedział z łagodnym uśmiechem. – O ile dobrze pamiętam, był czas, gdy i ty wściekałaś się na to wszystko.

Trwało chwilę, zanim Annie uświadomiła sobie, o czym on mówi. A kiedy już to do niej dotarło, roześmiała się.

– Wtedy pierwszy raz wpędziłeś mnie w kłopoty. Musiałam zbierać z uliczki skorupy.

– Oj, tak, ale nie tylko ty ucierpiałaś z tego powodu. Ja miałem zakaz wychodzenia z domu przez miesiąc. – Dobrze pamiętał swoje ówczesne wyrzuty sumienia.

– Nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym wiedziała, że to są naczynia twojej ciotki.

Ciotka Jacka zamierzała wysłać je na cele dobroczynne. Annie miała wtedy jedenaście lat, gdy jej trzynastoletni brat zaczął się zadawać z „tym chłopakiem od Merrimanów”. To był trudny rok. Po pierwszym wstrząsie, po okresie żalu i bólu nastął ponury czas jakiegoś otępienia. A gdy ten stan odrętwienia także minął, odkryła w sobie złość – wstrętą, gotującą się w niej złość, z którą nie umiała sobie poradzić. Wściekała się na każdego i z byle powodu.

Pewnego dnia Jack przyszedł zobaczyć się z Charliem. Zastał ją samą na podwórzu, zanoszącą się płaczem. Gdy zapytał, co się stało, pociągnęła nosem i odpowiedziała:

– Ja nie płaczę.

– To dlaczego masz mokrą twarz?

– Bo jestem wściekła.

– Zgoda, rozumiem. Więc dlaczego jesteś wściekła?

– Sama nie wiem! – To było w tym wszystkim najgorsze.

Być wściekłą przez cały czas i nie wiedzieć dlaczego.

– Założę się, że jesteś wściekła, dlatego że twoja mama umarła – powiedział trzeźwo. Kiedy zaprotestowała, mówiąc, że przecież nie powinna być wściekła z powodu śmierci matki, odpowiedział jej: – Dlaczego? Ja byłem.

Zaproponował jej wtedy, żeby z nim poszła, i że jej pokaże, co zrobić z tą złością. Wsiadła na rower i pojechała za nim na uliczkę za domem, w którym mieszkał z ciotką. Pokazał jej całą kolekcję starych ceramicznych talerzy, filiżanek i sosjerek. Stały popakowane w kartonach.

– Robisz to tylko wtedy, kiedy naprawdę jesteś zła

– uprzedził ją. – Kiedy aż się skręcasz ze złości. Weź talerz i skup się na nim, ale skup się prawdziwie i jednocześnie myśl o czymś albo o kimś, aż będziesz tak wściekła, że przestaniesz jasno widzieć. A potem ciśnij tym, najsilniej, jak potrafisz. – Podał jej talerz.

Była przerażona.

– Nie mogę!

– Oczywiście, że możesz. O tak. – I wyrznął talerzem w ponad dwumetrowy ceglany mur, który otaczał dom ciotki.

Annie jeszcze dzisiaj pamięta dźwięk roztrzaskującego się w drobne kawałki talerza. Po tym Jack już nie musiał jej długo namawiać. I wiedział, co robi. To było tak, jakby rzucając tymi talerzami, wyrzucała z siebie złość, rozbijając ją na drobne kawałki, z którymi już mogła sobie poradzić.

– Jest coś szczególnego w dźwięku rozbijającego się na tysiąc części talerza – powiedziała teraz półgłosem.

– Robiłaś to później?

– Nie celowo. – Zmarszczyła czoło na widok bruzd, jakie pojawiły się po obu stronach jego ust. – Źle wyglądasz, Jack. Za ostro sobie poczynasz. Połóż się.

– Czy to propozycja? – zapytał, unosząc brwi.

– Nie tym razem. – Włożyła listy z powrotem do pudełka po butach. – Najpierw odpocznij. – Podeszła do łóżka i ułożyła poduszki, żeby mógł się na nich położyć.

– Nie położę się...

– Jack – ostrzegła go – jesteś teraz taki słaby, że bez trudu cię załatwię.

– Skąd u ciebie taka siła, Annie? Niepotrzebnie mi przerwałaś, bo chciałem tylko powiedzieć, że nie położę się, jeżeli i ty się nie położysz. Masz sińce pod oczami. Nie udało ci się zdrzemnąć, prawda? Pochlebia mi twój

niepewny, a zarazem czujny wyraz twarzy, ale możesz być spokojna... Nie jestem w formie i nie zrobię tego, czego się boisz. Nie dotknę cię. Niestety... Annie. – Wyciągnął do niej rękę. – Chodź, i połóż się koło mnie.

Nie mogła dłużej odmawiać i udawać, że nie widzi jego wyciągniętej ręki. Podeszła do niego.

Położył się na poduszkach, zrobił dla niej miejsce i delikatnie pociągnął ją na łóżko. Leżała na boku, wtulona w niego, a zamiast poduszki miała pod głową jego rękę. I poczuła się tak, jakby po raz pierwszy, od chwili kiedy usłyszała o jego wypadku, odetchnęła pełną piersią. Ciepło jego ciała, jego oddech poruszający jej włosy działały kojąco. Jej napięte mięśnie zaczęły się rozluźniać. Jakie to dziwne! To przecież on potrzebuje leczenia, nie ona.

– Miałaś rację – powiedział po chwili.

– W jakiej sprawie?

– Czuję się marnie.

Uśmiechnęła się.

– Masz szczęście, że jestem zbyt zmęczona, żeby powiedzieć: „A nie mówiłam”? – Bo rzeczywiście była zmęczona, prawie zasypiała.

Jack spojrział na kobietę śpiącą w zgięciu jego ramienia. Westchnął. Jest egoistycznym draniem. Do tego durnym, skoro sam, na własne życzenie, wprowadził się w stan takiej gotowości. Namówił ją do położenia się i co ma z tego? Torturę. Z drętwiejącym ramieniem, napalony, obolały i z niesfornymi myślami – długo nie wytrzyma. A chciał, żeby jeszcze pospała. Potrzebowała odpoczynku, on zaś lękał się czekającej ich rozmowy. Poruszył się i spróbował inaczej ułożyć ramię.

– Mmm – stęknęła, mrugając zaspanymi oczami.

– Annie? Obudziłaś się?

– Hmm?

– Muszę ci coś powiedzieć. Powinienem to zrobić wcześniej, ale... Sumienie nie daje mi spokoju.

Odwróciła twarz w jego stronę.

– To brzmi złowieszczo.

– Chodzi o ten... hmm, rzekomy napad na mnie. Otóż... nie było żadnego napadu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja rzeczywiście próbowałem poszaleć na tym klifie.

Wyglądała na zmartwioną i rozczarowaną.

– Dlaczego robiłeś coś tak idiotycznego?

– Nie myślałem zbyt jasno.

– Nie mogę uwierzyć, żebyś był aż tak głupi! Bądź co bądź, poszedłeś pierwszy raz na grób ciotki, prawda?

– Tak. – Wolalby, żeby przekonywanie Annie o swoim idiotyzmie nie szło mu tak trudno. – W każdym razie, nie widzę powodu, żeby zawracać wam głowę, odrywając Bena i ciebie od waszych zajęć. Wieczorem wrócę do... – zatrzymał się. Przecież to już nie był dom jego ciotki. – Do domu, który zostawiła mi ciotka.

Annie usiadła.

– Jack, to nie ma sensu. Nawet jeżeli to, co wydarzyło się przed dwoma dniami, stało się z twojej winy, pozostaje jeszcze ostrzeżenie, które dostałeś po tym, jak ktoś usiłował cię zepchnąć z szosy.

Machnął ręką.

– To się zdarzyło po drugiej stronie kuli ziemskiej, jak sama powiedziałaś. To musiała być robota ludzi z czarnego rynku.

– Ale ty nie trzymasz się jeszcze pewnie na nogach. Oczywiście, przeniosę się z tobą, ale...

– Nie musisz tego robić.

– Wiem, ale zrobię.

On także usiadł.

– Nie chciałbym cię do niczego zmuszać. Wiem, że

chciałaś mieć więcej czasu do namysłu, a ja już poruszam się całkiem niezłe i sam mogę zatroszczyć się o siebie... nawet gdybym miał polegać w łóżku jeszcze przez tydzień. A Ida zadba, żebym miał co jeść.

Popatrzyła na niego uważnie i zmarszczyła brwi.

– O co chodzi?

– O nic. – Do diabła. Nie ułatwia mu sprawy. – Myślałem, że będziesz zadowolona, że nie naciskam na ciebie.

– Jestem gotowa zamieszkać z tobą.

Nie tylko mu nie ułatwia, ale wręcz go dobija. Co powinien teraz zrobić?

– Nie chciałem tego mówić, ale... no cóż, ja też potrzebuję trochę czasu. Muszę przemyśleć niektóre sprawy. – Powtarzał jej własne słowa, więc może to trafi jej do przekonania?

Zrobiła wielkie oczy.

– Ty... zmieniłeś zdanie.

– Och, do diabła, Annie, nie patrz na to w ten sposób. Nie zmieniłem zdania. Chcę ciebie. Ale byłem egoistą, próbując myśleć i decydować za ciebie.

Odrobina złości przydała jej policzkom kolorów.

– Nie uważasz, że mimo wszystko decyzja należy do mnie?

Wścieknij się, Annie, zachęcał ją w myślach. Mów tak dalej, a zaraz wściekniesz się na mnie. Może ta droga okaże się skuteczniejsza, pomyślał. Znał ją tak dobrze, wiedział, które guziczki naciskać, żeby to osiągnąć.

– Rozmawiałem z Benem i sądzę, że doszliśmy do porozumienia.

Jej oczy zwęziły się niebezpiecznie.

– Doszliście do porozumienia. Z moim bratem. Na nasz temat?

– Uświadomił mi parę spraw. – Jack odnotował w myślach, że musi uzgodnić z Benem, w jakich to ważnych

sprawach doszli do porozumienia. – Zrozumiałem, jak bardzo lubisz Highpoint. Nie wiem, czy mam prawo cię prosić, żebyś zrezygnowała ze swojego domu. Muszę to przemyśleć. – Przesłał jej jeden ze swoich czarujących uśmiechów i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po ramieniu, zbacząc ręką ku jej piersi.

Odrącała go.

– Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? Nie potrafię przy tobie trzeźwo myśleć. Wciąż tylko kombinuję, jakby cię zaciągnąć do łóżka. Ty zresztą też przestałaś myśleć trzeźwo. Biorąc pod uwagę twoje hormony i ciągłe krzątanie się przy mnie, gotowa jesteś zrobić coś, czego później będziesz żałować. Nie mogę ci na to pozwolić.

– Ty mi nie możesz pozwolić? – Była coraz bliższa wybuchu.

– Właśnie. Moim obowiązkiem jest nie dopuścić do tego, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować... tak jak żałowałaś, że za mnie wyszłaś.

Zastygła w bezruchu.

– Ja... właściwie nie żałowałam tego.

– Nie? Chyba sobie żartujesz! – Nie udawał, zmieniając głos na surowy i pełen wyrzutu. – Nazwałaś to największą pomyłką swojego życia. Po czym zdjęłaś obrączkę.

– A ty powiedziałaś, że jestem nieudanym egzemplarzem kobiety. Nadal tak uważasz?

– Nie. Ale nie zmieniaj tematu. Uspokój się tylko i zachowuj rozsądnie, a może przekonam cię, że mam rację.

– Rozsądnie? Chcesz, żebym zachowywała się rozsądnie?

– Naprawdę, uspokój się, Annie.

– Och, jestem spokojna. Gdybym nie była, mogłabym ci powiedzieć coś, czego wolałabym nie mówić. Mogłabym nazwać cię głupcem, gruboskórnym tępakiem o samobójczych skłonnościach, ponieważ tylko wariat mógł próbować

wdrapywać się w pojedynkę i w ciemności na klif! Ale nie zrobię tego! – Pochyliła się do przodu, odgarnęła włosy z twarzy. – A co do obrączki, to jej nie zdjęłam, dopóki nie obudziłam się rano i nie stwierdziłam, że wyjechałeś!

– Rzecz w tym – powiedział, próbując sobie przypomnieć, w czym rzecz – że nie przeprowadzisz się ze mną do domu ciotki. Potrzebujesz czasu. Upierałaś się przy tym, więc właśnie daję ci czas. Czy ci się to podoba, czy nie.

– Dla mojego własnego dobra. – Oczy jej płonęły, poderwała się z łóżka. – Jeszcze nigdy nie usłyszałam czegoś równie głupiego, despotycznego i śmiechu wartego!

– A widzisz? Nie myślisz trzeźwo. Zaufaj mi i pozwól, że zrobię to, co uważam za najlepsze dla nas obojga.

– Zrobisz, co zechcesz – powiedziała z błyskiem w oku, wysoko podniesioną brodą i rękami zaciśniętymi w pięści. – Ja również. Co nie znaczy, że będę dłużej słuchać twoich bredni. Za bardzo się wczułeś w rolę macho! – Ruszyła do wyjścia.

Patrzył z posępną miną, jak wychodzi. To prawda, że odwalił kawał roboty, żeby ją rozwścieczyć. Miał tylko nadzieję, że nie napracuje się równie ciężko, kiedy – gdy przyjdzie na to czas – będzie ją przeproszać. Zwłaszcza, odkąd nabrał podejrzeń, że prawda może ją równie rozeźlić, jak teraz kłamstwo.

Jakoś sobie poradzi. Wołałby tylko mieć pewność, że jej oczy błyszczały ze złości, a nie od łez.

Dźwignął się z łóżka i czekał, czy pojawią się zawroty głowy. Kiedy nic takiego się nie zdarzyło, ruszył w stronę schodów. Musi zadzwonić do Freda, a potem zmyć się stąd. Zanim Annie wróci.

Po drodze zajrzy do domu ciotki. Weźmie trochę rzeczy, a także poinstruuje Idę, co ma mówić każdemu, kto zadzwoni i o niego zapyta... każdemu poza Annie. Nie

chciał, żeby Annie wiedziała, gdzie spędzi noc, ale każdy inny, kto będzie go szukać, musi znać numer jego pokoju w motelu. Przecież nie będzie jak głupi wystawiać się w charakterze przynęty ewentualnemu zabójcy, jeśli ten nie będzie mógł go znaleźć.

Rozdział dziewiąty

Annie zbiegła ze schodów, złapała kurtkę i klucze, i ruszyła prosto do frontowych drzwi, omal nie zderzając się w holu z Benem.

– Hej! – Ściągnął brwi. – Co cię ugryzło?

– Nic! Absolutnie nic! Po prostu mam ochotę wyjść, z twoim albo bez twojego pozwolenia. A kiedy wyjdę, nie krępuj się i dalej uzgadniaj z Jackiem, co ci się żywnie podoba, tylko nie oczekuj, że na to przystanę. – Trzasnęła za sobą drzwiami.

Jak on śmie? – gotowała się ze złości, dźgając kluczykiem w stacyjkę. Jak śmie jej mówić, co ma robić, a czego nie dla jej własnego dobra! Wyjechała z podjazdu, zahamowała ostro i stanęła. A tak naprawdę, to dokąd się wybiera?

Zresztą, jakie to ma znaczenie? Najlepiej do Bintona, na partyjkę bilardu. Znajdzie tam towarzystwo ludzi, z którymi nic ją nie łączy. Ruszyła na zachód.

– Daj facetowi paznokieć, a on już myśli, że jesteś jego własnością – mruknęła.

Jack nigdy nie próbował wywierać na nią presji czy okazywać swojej władzy, tym bardziej nie zniesie tego teraz. To, że wyszła za niego za męż... Do złości doszło poczucie krzywdy, a także zranionej dumy... Nagle zdecydowanie odcięła się w myślach od tych emocji. Zapanowała nad nimi, tłumacząc sobie, że przecież on ma do tego wszelkie prawo!

Czy nie żądała tego samego dla siebie? No tak, ale absolutnie nie ma prawa podejmować decyzji za nią ani uzgadniać tych decyzji z jej bratem. Trudno wprost uwierzyć, że to zrobił. Przecież wie, jak bardzo nie znosi, kiedy Ben odgrywa rolę Wielkiego Brata, który zawsze ma rację.

Jack wie także, jak ją wścieka, gdy jakiś durny macho uzurpuje sobie prawo do przywoływania jej do porządku. Wie również, do jakiego szału doprowadzają ją te wszystkie „uspokój się” czy „bądź rozsądna”.

Na parkingu przed barem stało pełno ciężarówek i sportowych wozów. Bar był w Highpoint czymś w rodzaju instytucji istniejącej dłużej niż samo miasteczko. Było to przyjemne miejsce, z bilardowymi stołami na zapleczu i z wąską salą gier, którą Ella Binton, pra-prawnuczka pierwszego właściciela, przezornie dobudowała.

Annie wcisnęła się na wolne miejsce na parkingu, wyłączyła silnik i jeszcze przez chwilę siedziała w zadumie. Jack coś knuje. Tylko co? Od czego próbuje ją odciągnąć?

W środku było tak, jak zapamiętała – ciepło, tłoczno i przytulnie, a w powietrzu unosił się zapach świeżo prażonej kukurydzy zmieszany z tytoniowym dymem. Jasne światło nie stwarzało uwodzicielskiej atmosfery, a muzyka nie była zbyt głośna. Alan Jackson śpiewał o tym, jak to każdy „może równie dobrze się dzielić, i nie tracić przy tym uśmiechu”, kiedy Annie zawołano do stolika, przy którym siedziała grupa znajomych. Zamówiła piwo, starając się słuchać muzyki i jednocześnie myśleć.

Czyżby Jack był aż tak przebiegły, że, chcąc odciągnąć ją od czegoś, celowo doprowadził ją do furii? Tak – zmartwiła się. – Stać by go było na przebiegłość... gdyby cel był słuszny. Powinna postarać się poznać powód, dla którego chce ją odsunąć na bok. Po namyśle doszła do wniosku, że

albo chce się jej pozbyć – łądak! – albo, z jakichś nieznanych przyczyn, oddalić na jakiś czas...

Annie sączyła piwo, pozdrowiała znajomych, jednocześnie starając się słuchać o kłopotach sercowych siedzącej obok Meredith, a myśląc o własnych.

Jeżeli Jack doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie chciał się z nią żenić, czy nie mógł jej tego powiedzieć wprost? Może nie. Nienawidził ranić kobiecych uczuć. Pewnie raczej uciąłby sobie język, niż zranił dobrą i bliską przyjaciółkę.

W końcu nieprzerwany strumień narzekań Meredith zaczął działać Annie na nerwy.

– Wiesz, jeśli jesteś taka nieszczęśliwa ze Stevenem, może byłoby lepiej, żebyś powiedziała to jemu.

Meredith popatrzyła na nią z wyrzutem.

– Nie chcę go ranić.

– Hmm... słusznie.

Czy Jack jest aż tak głupi, by sądzić, że Annie będzie mniej zraniona, gdy ją odsunie na bok, zamiast porozmawiać z nią uczciwie o swoich uczuciach albo braku takowych? I czy rzeczywiście jest na tyle głupi, żeby po ciemku i bez sprzętu wspinać się na klif?

– Coś podobnego, Annie! Do głowy by mi nie przyszło, że zobaczę cię tutaj!

Suzy Watkins, kobieta, u której niedawno naprawiała zatkałą kanalizację, miała na sobie firmową koszulkę Bintona i džinsy, i niosła tacę z drinkami.

– Od kiedy tu pracujesz, Suzy?

– Och, prawie od czterech miesięcy. Cieszę się, że tu zajrzałaś. Chciałam cię ostrzec.

– To brzmi złowieszczo.

– Mądrze robisz, że nie traktujesz serio przyjaciółceczek Jacka, ale o tej jednej powinnaś wiedzieć. Wygląda na mocno zaangażowaną.

Podniesionym brwiom Annie towarzyszyło wzmożone bicie serca.

– Przyjaciółeczki Jacka? Jeśli w ten niezmiernie oryginalny sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że Jack ma kochanki, to uprzedzam, że nie jestem dzisiaj w odpowiednim nastroju.

– Próbuje tylko cię ostrzec. Była tu dzisiaj, opowiadała o Jacku i o tym, jacy są sobie bliscy.

– Daj spokój, Suzy, to, że akurat pokazała się jakaś dawna przyjaciółka Jacka...

– Dawna przyjaciółka? Skarbie, ta kobieta jest kimś znacznie więcej dla Jacka. To się rzuca w oczy. Harry! – Odwołała mężczyznę od bilardowego stołu. – Byłeś tutaj wcześniej, kiedy do lokalu przyszła ta mała czarnowłosa odlotowa babka i co najmniej przez minutę mówiła o sobie i o Jacku, a na koniec zapytała, jak dojechać do jego domu. Nazwałbyś ich „zwykłymi przyjaciółmi”?

Annie nadstawiła uszu. Ta kobieta pytała, jak znaleźć Jacka?

Annie nie знаła mężczyzny, który podszedł, uśmiechnął się szeroko i powiedział, że życzyłby sobie mieć taką przyjaciółkę, która zjawiałaby się na zawołanie, gotowa zrobić wszystko, o co się ją poprosi.

Suzy ponownie zwróciła się do Annie.

– Powiedziała, że ją wezwał do siebie. Że specjalnie po nią posłał. Nie powiem, że jej wierzę, ale to są jej słowa.

Zazdrość stoczyła w sercu Annie krótką walkę ze strachem.

– Jak ona się nazywa?

– Nie dosłyszałam – wzruszyła ramionami Suzy.

Annie postarała się o jak najnaturalniejszy ton głosu:

– Suzy, przestań na chwilę się zgrywać. Jack leży w łóżku po doznanym wstrząsie, ponieważ przedwczoraj wieczorem ktoś próbował mu rozwalić głowę. – Była prawie

pewna, że tak to się odbyło, niezależnie od tego, co jej później powiedział.

Meredith wydała przerażony okrzyk. Nie zwracając na nią uwagi, Annie skupiła się na wydobyciu z Suzy możliwie jak najwięcej informacji.

– To bardzo ważne, Suzy. Jak wyglądała ta kobieta?

– Och, daj spokój. Chyba nie myślisz, że coś tak bardzo drobnego mogłoby zrobić krzywdę Jackowi, prawda? Przy jego posturze!

– Opisz mi tylko jej wygląd.

– No więc... jest mała, nawet mniejsza od ciebie. Raczej wystrzałowa niż ładna, ale taka, na którą mężczyźni się gapią, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. No i te jej włosy! Boże, wiele bym dała za takie włosy! Długie na kilometr i czarne jak smoła. Zachowywała się... jakby to powiedzieć... dziwnie, osobliwie. Bo ja wiem? Była jakaś podniecona... Spięta?

Leah? Czy Leah Pasternak z biura Jacka przyjechała do Highpoint? I rozpowiada o związku, który, jak przysięgał Jack, nigdy nie miał miejsca... i dowiadywała się, gdzie mieszka?

Annie wstała od stolika i ruszyła w stronę drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Meredith.

– Zobaczyć się z pewnym mężczyzną w sprawie pewnej dziwki.

Jack nie czuł się zbyt komfortowo. Motelowe poduszki były zbyt miękkie, łóżko zbyt twarde, i brakowało mu Annie. No i fakt, że jest tutaj i czeka na kogoś, kto będzie próbował go zabić. To nie jest sytuacja komfortowa.

Musiał coś zrobić, żeby wyciągnąć drania spod skały, bez względu na to, pod którą się schował. Dlatego znajdował się w motelu. Stary dom, gdzie, jak sądziła Annie, śpi tej nocy, nie nadawał się do obserwowania i upilnowania – miał zbyt wiele drzwi i okien.

Jack specjalnie wybrał ten właśnie motelowy pokój. Drzwi wychodziły prosto na miejsce parkingowe, dzięki czemu Fred ze swojego punktu obserwacyjnego mógł śledzić teren. Pozostaje tylko czekać. Jack miał napięte ramiona i kark, bolała go głowa. Był spięty do tego stopnia, że podskoczył na dźwięk telefonu.

Dwa dzwonki. Potem cisza. To sygnał od Freda.

To pewnie obsługa hotelowa. Zamówił hamburgera, a Fred miał go informować o każdym przybyciu, nawet pracowników motelu. A może to nie z obsługi? Serce biło mu szybciej, gdy sięgał do brezentowej torby, którą postawił przy łóżku, i wydobyl z niej to, co wybrał Ben, żeby przyjść mu z pomocą – pistolet maszynowy, kaliber 9 mm. Poczul w ręku jego ciężar i chłód.

Zapukano do drzwi.

Jack nie lubił broni. Umiał się nią posługiwać, ale doskonale wiedział, ile krzywdy potrafi wyrządzić. Gdyby był w dobrej formie, zdałby się raczej na siebie, a nie na pistolet, ale akurat teraz miał refleks pijaka, a siły umęczonej przedszkolanki po całym dniu pracy, gdy tymczasem jego nieznany napastnik może być uzbrojony, a już z pewnością jest w lepszej formie. Więc podchodząc do drzwi, żeby zerknąć przez judasza, wziął ze sobą pistolet.

Po chwili pokręcił z niesmakiem głową, cofnął się do łóżka i wsunął broń pod jedną z poduszek. Potem otworzył drzwi.

– Co to znaczy, że go nie ma? – zapytała Annie.

Ida Hoffman był niską kobietą, która brak wysokości nadrabiała szerokością. Jej okrągła twarz tak nadawała się do zatroskanego wyrazu, jak jej pogodne i towarzyskie usposobienie do zachowania tajemnic, więc odpowiedź, której udzieliła Annie, zabrzmiała mało przekonująco.

– Ida, to ważne. Naprawdę ważne. Gdzie on jest?

– Och, no cóż, ja powiem mu, że wstąpiłaś, żeby się z nim zobaczyć, dobrze?

– A czy nie mogłabym wejść i poczekać na niego w środku?

Pojedyncza zmarszczka pojawiła się na czole kobiety.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

Albo Jack powiedział Idzie, żeby nie wpuszczała Annie, albo też nie planował powrotu do domu w ciągu najbliższych godzin. Westchnęła.

– Ida, ty i ja zawsze żyłyśmy w zgodzie, prawda?

Gospodyni przytaknęła kiwnięciem głowy, odwzajemniając uśmiech Annie.

– Czy jesteś nieszczęśliwa, dlatego że Jack i ja pobraliśmy się?

– Nie, nie. Jestem zachwycona. Popłakałam się, kiedy się dowiedziałam. Ucieczki z ukochanym są takie romantyczne, nieprawda? Wypad do Vegas, żeby wziąć ślub...

– Pierś Idy uniosła się w pełnym szczęścia westchnieniu.

– Wprost pragnę, żeby wprowadził cię do tego domu i osiadł w nim raz na zawsze... i oczywiście to zrobi. Jestem tego pewna. Musi tylko... najpierw załatwić pewne sprawy.

Najwyraźniej Ida była rozdarta między lojalnością wobec Jacka i swoimi romantycznymi skłonnościami.

– Odpowiedz mi na jedno – naciskała Annie. – Czy nie dzwoniła do niego jakaś kobieta? A może tu przyszła? Jest niska, ma czarne włosy... – urwała. Zbolały wyraz twarzy Idy powiedział Annie to, czego nie chciałyby usłyszeć. – Czy powiedziałaś jej, gdzie ma szukać Jacka?

– Ja nie... to znaczy, och, nie mogę tego zrobić! – jęknęła. – To nie w porządku. Po prostu nie w porządku. Nie powinien był mnie o to prosić. „Powiedz, gdzie jestem, każdemu, kto o to zapyta”, powiedział, „poza Annie”. Próbowałam z nim dyskutować, ale on przecież... nie mógł

mieć jej na myśli, kiedy to mówił. – Drżała jej warga. – Może Jack jest trochę narwany, ale to dobry chłopak.

– On już nie jest chłopakiem, Ido. I znalazł się w kłopotcie. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie on jest, jeśli cię o to proszę?

Ida smutno potrząsnęła głową.

– Rozumiem, więc może mi powiesz, gdzie, twoim zdaniem, może być teraz ta kobieta? W ten sposób unikniesz odpowiedzi, gdzie jest Jack – uspokajała gospodynię. – Postarasz się tylko domyślić i podzielisz się swoim domysłem ze mną. O ile nie boisz się, że znajdę Jacka robiącego coś, czego nie powinien.

Ida zamrugnęła oczami. Strapienie, gładziutko, jak woda z szyby, spłynęło z jej okrągłej twarzy, przywracając jej wyraz promiennego optymizmu.

– Och, jestem pewna, że nic takiego nie robi! Nie umiałby zrobić czegoś naprawdę złego. Nawet nie podejrzewa, że ta kobieta mogła tu przyjść i pytać o niego.

Akurat, psia krew! – nasrożyła się Annie. Ale tę myśl zachowała dla siebie.

– No, Jack, przejechałam szmat drogi, żeby zobaczyć się z tobą. – Leah uśmiechnęła się. – Nie poprosisz mnie do środka?

– Nie. Skąd się tu wzięłaś? – Oczywiście Leah nie była tą osobą, na którą czekał.

– Zaproś mnie, to ci powiem. A może raczej pokażę.

– Leah, nie byłem tym zainteresowany przed ślubem. Dlaczego miałbym teraz zmienić zdanie?

– Rzuciłam pracę w MPRB, więc twoja głupia zasada dotycząca współpracownic nie ma już zastosowania.

– Słyszałem o tym.

– Dzwoniłeś do mnie do pracy? To mi pochwlebia.

– Rozmawiałem dziś rano z Rebeccą, która wspomniała

mi o tym. – To nieprawdopodobne, by ta kobieta miała aż takiego bzika, że rzuciła dobrą posadę i ścigała go aż tutaj, tylko po to, aby pójść z nim do łóżka. – Nic z tego. Jest jeszcze inna zasada, o której może słyszałaś, a której przestrzegam. Wierność.

– Och, daj spokój, skarbie. – Powędrawała palcami po jego piersi. – Nie udawaj świętoszka.

Odsunął jej rękę, zanim chwyciła go za pasek.

– Czego ty naprawdę chcesz, Leah?

– Pozwól mi wejść, a powiem ci dokładnie, czego chcę. Ze szczegółami.

– Jeżeli nie powiesz, co cię tu sprowadza, zamknę drzwi, a ty zostaniesz na zewnątrz.

– Czy to przez ten paskudny ból głowy stałeś się ponurakiem?

– Skąd przypuszczenie, że boli mnie głowa? – Czy to znaczy, że ona ma z tym coś wspólnego?

– Musiałam to od kogoś usłyszeć. – Położyła obie ręce na jego ramionach i odchyliła do tyłu głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

Patrząc na te jej szelmowskie oczy, zastanawiał się, czy powodem, dla którego zjawiała się tutaj jest to, co daje do zrozumienia, czy też jest tu po to, żeby go zabić. Może jest jakoś powiązana z tym kimś, kto próbował go zabić, i zamierza – no właśnie, co? Spędzić z nim noc, a potem wsypać mu truciznę do porannej kawy? Niewiele się dowie, trzymając ją na zewnątrz.

– Masz rację – powiedział. – Rzeczywiście, dokucza mi ból.

– Mogłabym temu zaradzić, Jack. – Napierała na niego.

– Może i mogłabyś. – Odsunął ją, żeby jej się przyjrzeć. Była ubrana w skąpą purpurową sukienkę i w obszerną skórzaną kurtkę. W zasadzie mogłaby ukryć broń pod kurtką albo w jednej z kieszeni. – Ładna sukienka.

– Wreszcie zaskoczyłeś. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się jej lepiej przyjrzał, skarbie.

– Zdejmij kurtkę, a pozwolę ci wejść do środka... na rozmowę.

– Zbereznik. Czy jest jeszcze coś, co miałabym zdjąć, zanim mnie wpuścisz? – Zachichotała i zaczęła powoli zsuwać kurtkę po kolei z każdego ramienia, zmieniając tę prostą czynność w swego rodzaju striptiz.

– Ładnie – powiedział, oglądając ją od stóp do głów w sposób, jakiego oczekiwała. – Bardzo ładnie. – W tak kusym stroju można najwyżej ukryć małą metalową spinkę, doszedł do wniosku i otworzył szeroko drzwi. – Tylko dlaczego stoisz na zimnie? Wejdz.

Gdy przemykała obok niego, zastanawiał się, czy nie zostawić otwartych drzwi, żeby Fred, gdyby zaszła potrzeba, mógł szybko dostać się do środka?

Co za głupi pomysł? Z kim jak z kim, ale z tak miniaturową kobietą jeszcze potrafi sobie poradzić! A jeśli jej zamiarem jest tylko uwiedzenie go, tym bardziej obejdzie się bez pomocy Freda.

Kiedy zamykał drzwi, Leah już kleiła się do jego boku, obejmując w pasie.

– Hmm, jesteś taki ciepły i miły w dotyku.

Zadzwoił telefon.

– Powinienem odebrać.

– Więc zrób to.

Telefon zadzwonił ponownie.

To musi być Fred. Trzeba szybko odebrać, nim Leah zorientuje się, że trzeciego dzwonka nie będzie. Dudniło mu w głowie. Podobnie było z sercem, gdy usiadł na łóżku, podniósł słuchawkę i powiedział „halo” do głuchej słuchawki.

– Powiedz im, że jesteś zajęty. – Leah usiadła obok niego na łóżku.

– Nie, nikogo takiego tu nie ma – powiedział do słuchawki, wsuwając rękę pod poduszkę i nie spuszczać drzwi z oczu. Gdzie jest ten cholerny pistolet?

Leah przywarła do niego, wpiła się ustami w jego szyję.

– Do licha... – Jest. Zacisnął palce na chłodnej kolbie pistoletu.

– Wyluzuj się, skarbie – powiedziała. – I spław tego kogoś. – Położyła ręce na jego ramionach i popchnęła go.

Opadł na poduszkę, wypuszczając słuchawkę. Ale nie pistolet.

Natychmiast dopadły go chciwe ręce i usta Leah.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Jack wyszarpnął pistolet spod poduszki i z palcem na spuście, ponad ramieniem Leah wycelował – i zamarł ze zgrozy.

– Złaż z niego! – padł rozkaz. W drzwiach stała Annie. Jej pociemniałe oczy i blada twarz mówiły same za siebie.

– Na Boga, Annie, omal cię nie zabiłem!

Leah zerknęła przez ramię.

– Popatrz, popatrz. Kogo my tu widzimy!

Jack odepchnął ją i usiadł. Czuł się strasznie. Annie nigdy mu nie uwierzy. Boże, nie ma nic na swoją obronę.

– Annie, to nie jest tak... pozwól, że ci wytłumaczę.

Leah leżała podparta na łokciu. Z zadartą do bioder sukienką i uśmiechała się beczelnie.

– Właśnie, wytłumacz jej. Powiedz, że mamy służbowe zebranie. Jestem pewna, że ci uwierzy.

Powstrzymując wściekłość, Annie zacisnęła wargi, które wyglądały teraz jak biała kreska.

– Wynoś się! – rzuciła krótko.

Nonszalanckim ruchem głowy Leah odrzuciła z twarzy włosy.

– Nie ty mnie tu zaprosiłaś.

– Nikt cię tu nie zapraszał, Leah – warknął Jack. Wstał,

zerknął na pistolet, który jeszcze trzymał w ręku, i kiwnął na nią głową. – W każdym razie teraz możesz uważać się za wyproszoną. No, już!

Przerzuciła nogi z łóżka na podłogę.

– Czy przypadkiem nie owinąłeś jej sobie wokół małego palca, skarbie? Zdaje się, że jest gotowa uwierzyć w twoją niewinność.

Annie zmrużyła oczy. Wystartowała w kierunku Leah. Jack złapał ją za ramię. Nigdy nie widział Annie uciekającej się do fizycznej przemocy, nigdy też nie widział jej tak bliskiej wybuchu. Dygotała z wściekłości.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Odwal się!

– Annie, ona celowo cię drażni. Chce cię sprowokować.

– No i co z tego? Dobrze wiem, czego ona chce, tak jak wiem, co ty zamierzałeś zrobić dziś wieczorem, więc lepiej się nie wtrącaj! A zanim zajmę się tobą, najpierw wyrzucę stąd ten jej kościsty tyłek!

– Kościsty? – Leah poderwała się z łóżka. – Posłuchaj, to że sama masz nadwagę i nie potrafisz zaspokoić potrzeb swojego mężczyzny...

Annie próbowała się wyrwać Jackowi.

Słyszając kroki na zewnątrz, Jack zacisnął palce na pistolecie. Serce biło mu jak oszalałe. Popchnął lekko Annie, usuwając ją z linii strzału i podniósł broń. Tymczasem w drzwiach ukazał się Fred, cały na czarno.

Jack westchnął i opuścił ramię.

Kwadratowa twarz Freda przybrała zatroskany i jednocześnie barani wyraz.

– Pomyślałem, że może potrzebujesz pomocy.

– Zgadza się. Możesz ją odeskortować tam, skąd przybyła. – Ruchem głowy Jack wskazał na Leah. – Albo gdzie indziej, oby jak najdalej stąd. – Odłożył pistolet na szafkę.

– Hmm... którą mam odeskortować?

– A jak myślisz? Ja...

Rozległ się głośny pisk.

Jack odwrócił się.

– O, do diabła!

Annie trzymała Leah za włosy.

– Żadnego kopania! – warknęła Annie i pociągnęła Leah za włosy. Z całej siły. – Zachowuj się. A teraz wynocha! – Postąpiła krok w stronę drzwi, nie puszczając włosów Leah, niemal ciągnąc ją za nie. – No już!

Leah zawyła i uderzyła Annie. Nie pięścią, ale otwartą dłońią przeorała paznokciami jej twarz. Annie przykucnęła, ale żeby zejść tamtej z drogi, musiała ją puścić.

Leah zaatakowała drugą ręką.

Annie odskoczyła, podniosła pięść i wyrzuciła Leah w twarz.

Leah znowu zaskowyczała i rzuciła się na Annie.

Na szczęście Fred okazał się szybszy w ruchu niż w myśleniu. Doskoczył do Leah i wykręcił jej ręce do tyłu. Ponad głową wydzierającej się kobiety spojrzął na Jacka.

– Nie mówiłeś, że masz broń – powiedział z wyrzutem. – Mam nadzieję, że masz na nią zezwolenie.

– Co za broń? – zapytał Jack. Był na wpół przytomny. Kręciło mu się w głowie i trochę go mdliło. Nie był pewny, czy taka reakcja nie ma związku z doznanym wstrząsem.

– Obsługa hotelowa! – zawołał pogodny głos od progu.

Wszyscy zastygli w bezruchu – unieruchomione dwie kobiety i trzymający je dwaj mężczyźni. Jack spojrzął w stronę otwartych drzwi. Tam, za wózkiem, na którym przyjechało jedzenie, stał kelner w służbowym stroju i wytrzeszczał oczy.

Po chwili Annie odezwała się najnaturalniejszym głosem:

– Możesz już mnie puścić, Jack.

Rozdział dziesiąty

– Może zajrzę później – mruknął kelner, który aż poczerwieniał z wrażenia.

– To dobry pomysł – zgodził się Jack.

Mężczyzna umknął, pozostawiając swój wózek. Co sobie o tym wszystkim pomyślał? Jack spojrzał na Freda.

– Nie sądzisz, że wezwie któregoś z twoich współpracowników?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Fred, bez przekonania kręcąc głową.

– Jack! – Annie szarpnęła się, żeby uwolnić unieruchomione ramiona.

Puścił ją.

– Zgoda, ale jeżeli tym razem zechcesz zamierzyć się na mnie, nie celuj w głowę, okej?

– Boli cię głowa? – zareagowała natychmiast Annie.

– Jak diabli.

– No i dobrze.

Leah próbowała wyszarpnąć się Fredowi.

– Puść mnie, ty durniu! Nie zabiję cię przecież!

Annie uśmiechnęła się złowrogo.

– Myślałam, że jesteś bystrzejsza i że nie zdradzisz się ze swoimi planami przed funkcjonariuszem prawa.

– Co takiego? – Leah znieruchomiała. Odwróciła tylko głowę i z niedowierzaniem popatrzyła na Freda. – Ty?

– Tak jest, proszę pani.

Nagle, jakby ta wiadomość była jej na rękę, Leah rozluźniła się.

– Może mogłabym złożyć skargę na tę sukę. Uderzyła mnie.

– Jeżeli uda się pani na posterunek, możemy odnotować pani skargę – odparł niczym niewzruszony Fred. – Ale to samo, jeżeli zechce, może zrobić pani Merriman. Widziałem, jak pani pierwsza ją uderzyła, proszę się więc zastanowić, czy warto się trudzić.

Leah warknęła, że jeżeli natychmiast jej nie puści, to złoży skargę na niego. Fred puścił ją, ale stał na tyle blisko, żeby w razie potrzeby móc ją obezwładnić.

Leah przesłała Jackowi oziębły uśmiech.

– Będę z tobą w kontakcie, skarbie. Daj znać, gdy znów będziesz mógł się wymknąć.

Jack wołał się nie odzywać.

Fred wziął za łokieć Leah i wyprowadził za drzwi. Jack zamknął je za nimi. Odetchnął z ulgą. Jedna sprawa z głowy. A przed nim druga, i to ta ważniejsza.

Odwrócił się i popatrzył na Annie. Stała pośrodku pokoju, obejmując się ramionami, z zawziętym i nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Annie? Dobrze się czujesz? Gdzie cię kopnęła?

– W nogę, ale ledwo mnie dosięgła. – Wyciągnęła rękę i popatrzyła na nią. – Za to boli mnie ręka. Nie wiedziałam, że uderzenie kogoś może tak boleć.

– Najlepiej celować w żołądek. Jest miękki, więc niczego sobie nie uszkodzisz.

– Celowałam w nos. Chciałam go jej rozkwasić. – Krzywiła się, otwierając i zamykając kilkakrotnie dłoń. – Wcześniej nikogo nie uderzyłam. Nikogo poza braćmi, ale to się nie liczy. Nie jestem osobą gwałtowną.

– To znaczy, że świetnie potrafisz udawać!

– Wyglądasz upiornie. Mam nadzieję, że chociaż płacisz bólem głowy za swoją bezgraniczną głupotę.

– Zgadza się. – Podeszedł i stanął przed nią. – Annie, muszę się wytłumaczyć z Leah, z tego, że tu jestem i w ogóle z całej reszty.

– Masz cholerną rację, że chcesz się wytłumaczyć. – Odeszła, jak gdyby stanie obok niego sprawiało jej przykrość. – Kiedy dotarło do mnie, co knujesz, miałam ochotę cię zabić.

– To tylko tak wyglądało. – Bardzo mu zależało, żeby jej to wszystko wytłumaczyć, żeby mu uwierzyła. Podeszedł do niej. – Nie zapraszałem jej tutaj.

– Ale kiedy się pojawiła, poprosiłeś ją do środka, prawda? Do cholery, Jack, jak mogłeś to zrobić? – Zakręciła się na pięcie i zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

– Wiem, że to mogło wyglądać całkiem jednoznacznie. – Chwycił ją za ramiona i zwrócił twarzą ku sobie. – Ale tak nie było. Nie zrobiłbym ci tego.

– Wiem. – Strząsnęła z siebie jego ręce. – Nie jestem idiotką, Jack.

Wiedziała to? A wyglądała na taką... poirytowaną. Wyprowadzoną z równowagi.

– Annie? Wierzysz mi?

– Oczywiście, że ci wierzę. Co nie znaczy, że nie zalewa mnie krew.

– Ty mi wierzysz? – zapytał niepewnie.

– Wierzę ci, jeśli chodzi o Leah. Nie wierzę natomiast w tę obłądną historię, którą mnie uraczyłeś po południu, o samotnym łożeniu po klifie. – Spojrzała groźnie. – Mógłbyś się do mnie nie uśmiechać jak głupi, kiedy jestem na ciebie wściekła?

Nic na to nie mógł poradzić. Czuł się zbyt dobrze, żeby przestać się uśmiechać.

– Więc ty mi ufasz.

– Ale nie sądziłam, że możesz być aż takim idiotą! Co ci strześliło, do łba, żeby się wystawiać w charakterze przynęty?

Ponownie zaskoczony, zamrugał oczami.

– Jak na to wpadłaś?

– A niby po co tu jestem? Gdy uspokoiłam się trochę, domyśliłam się, że coś kombinujesz. Czasami potrafisz być naprawdę irytujący, ale nie jesteś aż takim kretynem, jak mi to próbowałeś wmówić dzisiaj po południu.

– Dziękuję ci. – Milczał przez chwilę. – Mówię poważnie.

– Nie dziękuj. Jeszcze nie wiem, czy nie oberwiesz ode mnie. Przez te wszystkie debilne pomysły dorobiłeś się wstrząsu! Zamiast urządzić polowanie na złych chłopców, powinieneś leżeć w łóżku.

– Nie zamierzałem na nikogo polować. – Annie niepokoiła się o niego. Dlatego była zła. Nie zaś dlatego, że uwierzyła w coś, w co mogła uwierzyć, bo tak wiele za tym przemawiało. Jack poczuł się lekki i szczęśliwy, i aż się rwał, żeby chociaż jej dotknąć. Zaczął się bawić pasmem jej włosów. – Zamierzałem go zwabić do siebie.

– Albo ją. – Głos Annie nie był stanowczy. – Nie rób tego.

– Albo ją – zgodził się, patrząc na jej usta. – Czego mam nie robić?

– Tego, co wyprawiasz z moimi włosami. – Głos miała stanowczy, ale wzrok tęskny. – Ta odsłona z zaproszeniem napastnika do kolejnego podejścia nie należała do twoich najbłyskotliwszych pomysłów, Jack.

Posłusznie dał spokój jej włosom i chwycił jej rękę.

– Być może. A jednak coś osiągnąłem, tylko jeszcze nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

– Nie uważasz, że Leah... tego także mógłbyś nie robić.

Nie uznawał bezwzględnego posłuszeństwa. Dalej gaskał jej rękę w najczulszym miejscu, jakim jest środek dłoni.

– Mówiłaś coś o Leah?

– Och... Aha... nie sądzisz, że mogła być współniczką Metza? Może to ona walnęła cię w głowę?

– Przy jej podłości wszystko jest możliwe, ale musiałaby stanąć na krześle, żeby tak wysoko osiągnąć. – Potrzęsnała głową na myśl o tym. – Co więcej, nie jest dość bystra, żeby Metz chciał ją mieć za partnerkę swoich machlojek. Pracuje przy bazie danych, a raczej pracowała, mogła więc mieć dostęp do dokumentów przewozowych, ale manipulowanie nimi i jakakolwiek zamiana to już osobna historia. – Spodobał mu się wyraz jej oczu, gdy zataczał kółeczka na środku jej dłoni, więc robił to dalej. – Prawdę mówiąc, spodziewałem się Herbiego.

– Twojego szefa? – Była zdziwiona, ale zadowolona. – Przecież mówiłam, że to może być on, skoro tak świetnie zna się na systemach operacyjnych.

– Owszem, mówiłaś. Oczywiście, nie pokazał się. Zrobiła to Leah. – Musi poczuć jej smak. Choć odrobinę. Więc podniósł jej rękę do ust, by móc pocałować mięsistą poduszczkę u podstawy jej kciuka. – Nadal nie pojmuję, skąd mogłaś wiedzieć, co planuję.

– Ja... – Zapało jej dech. – To chyba oczywiste. Nagle przestałaś chcieć, żebym się do ciebie wprowadziła, więc... – Zmarszczyła czoło, jakby straciła wątek, i wyciągnęła rękę. – Nie rozpraszaaj mnie, jeśli chcesz, żebym dokończyła...

– Wiesz co? – Obiema rękami ujął jej twarz. – Szczerze mówiąc, nie chcę, żebyś teraz kończyła. Wolałbym cię dalej rozpraszać.

– Jack, to nie jest odpowiednia chwila. Są ważniejsze sprawy. A poza tym jestem wściekła na...

Uznał, że jej usta należą do niego i postanowił to sprawdzić.

Znieruchomiała. Musnął językiem jej wargi, delektując się ich smakiem. Poczul gwałtowny przypływ pożądania, ale

zdołał nad nim zapanować. Więc namawiał i zachęcał delikatnym pocałunkiem. Jego ręce nie były jednak takie grzeczne. Nie chciały pytać, zabiegać. Musiał jej dotykać. Wszędzie. Jej ramion, słodkiego wgłębienia talii... miękkiego, zaokrąglonego kształtu bioder i gładkiej skóry szyi.

Stopniowo jej usta otworzyły się i ich języki dotknęły się. Objęła go ramionami i przywarła do niego.

Więcej. Chciał więcej.

– Annie – wyszeptał w jedwabistą skórę jej szyi i pocałował ją. Powinien poczekać. Zamierzał czekać, żeby dać jej czas, ponieważ musiała czuć, że panuje nad sytuacją, że decyzja o kochaniu się z nim jest jej decyzją. – Annie – powiedział znowu, między pocałunkami. – Ja nie chcę czekać. Nie każ mi na siebie dłużej czekać.

Jak taka mała kobietka może mieć w sobie tyle życia i namiętności?

Annie miała umysł zaćmiony przyprawiającym o zawrót głowy, coraz to gorętszym pożądaniem. Odchyliła do tyłu głowę, szukając powietrza, a napotkała jego wpatrzone w siebie oczy – pociemniałe, czarne jak noc.

– Twoja głowa. Miałeś wstrząs. Powinieneś...

– Nie zarazę cię tym. – Powiódł rękami w górę i w dół jej ciała. – Pragnę poczuć twoją skórę na mojej, Annie. Chcę doprowadzić cię do szaleństwa. – Znowu ujął jej twarz w obie dłonie i muskał wargami jej usta. – Ufasz mi. Dowiodłaś tego, a ja... Chcę ciebie.

A ja cię kocham, pomyślała. I naraz okazało się, że to, że go kocha, wystarczy za wszystko. Miała ochotę śmiać się i płakać, i całować Jacka.

– Tak – powiedziała, uśmiechając się i sięgając do jego ust. – Tak.

Tym razem te usta nie były takie grzeczne. Miażdżyły, przyprawiając ją o rozkoszny zawrót, podobny do tego, kiedy nogi odrywają się od ziemi. Dopiero kiedy przestał ją

całować i kiedy otworzyła oczy, dotarło do niej, że uniósł ją do góry i trzyma w ramionach. Dosłownie. I stoi tutaj, uśmiechając się do niej szeroko, zadowolony z siebie.

– Twoja głowa – zaprotestowała, obejmując go za szyję.

– Do łóżka na pewno dojdę, to tylko metr. – I udowodnił to, kładąc ją na pościeli. Gdy spojrział na nią z góry, jego oczy były takie poważne, jak nigdy dotąd. Sięgnął po pierwszy guzik jej sportowej koszuli. Rozpiął kolejny guzik. – Jeśli mnie poniesie, jak wtedy na dachu, powiedz. – Następny guzik. – Zwolnię, jeżeli mi powiesz. Obiecuję.

Zabawne, jak bardzo brakowało powietrza w pokoju i jak było gorąco. Płuca, serce, skóra – wszystko paliło z żaru.

– Czy mam ci też powiedzieć, jeżeli będziesz zbyt powolny?

Zajaśniały mu oczy.

– Zbyt powolny? – Chwycił dół jej koszuli i zadął ją, ściągając przez głowę Annie. W mgnieniu oka rozpiął jej stanik i błyskawicznie zerwał.

Nie dał jej szansy, żeby poczuła zażenowanie. Palcami pocierał sterczący koniuszek jej piersi, następnie ujął w dłoń jej drugą pierś, podziwiając z uszczęśliwionym uśmiechem to, co zobaczył.

Gdy drażnił językiem jej sutek, cudowne, nieznanne jej dotąd doznania zamieniły się w dojmujące spazmy rozkoszy. Przeciągnęła rękami po jego włosach, delektując się ich miękkością. Kiedy ssał jej pierś, czuła ruch jego policzków i jednoczesne przyjemne pulsowanie między nogami.

Szarpnęła jego bluzę.

– Chcę, żebyś był nagi – powiedziała, czując się nagle wolna, nieskrępowana i zachłanna. – Chcę, żebyś był zupełnie nagi.

Uniósł głowę. Miał obrzmiałe wargi i rozognione oczy.

– Dobry pomysł. – Złapał za ściągacz bluzy, zdarł ją z siebie jednym szybkim ruchem i rzucił na podłogę.

Zachwyciła się jego klatką piersiową. Dotykała jej. Przebiegała po niej palcami, zafascynowana grą mięśni pod skórą, kiedy się poruszał.

Uśmiechnął się szeroko, otoczył ją ramionami i przekręcił. Wylądowała na jego gorącej i twardej piersi. Gdy wychyliła się do tyłu, musnęła go sutkami.

– Ojej, jak ja to lubię.

– Tak też myślałem – wyszeptał. – Lubisz dowodzić. Ale wciąż jeszcze masz na sobie za dużo ubrań. – Zaczął rozpinać jej dżinsy.

Zastygła, nagle zawstydzona.

– Chciałam, żebyś najpierw ty był nagi.

Uśmiechnął się.

– Za chwilę. – Pocałował ją głębokim, przeciągłym pocałunkiem, jak gdyby nic go nie nagliło, bez pośpiechu, jakby dla samej tylko przyjemności kontaktu z jej wargami, co mogłoby trwać godzinę albo dwie.

Poruszył nogą. Szorstki materiał spodni potarł wewnątrz jej ud, tam, gdzie skóra jest bardzo wrażliwa. Cudowne uczucie. Szalone. Jego język drażnił i pieścił, jego noga napierała, a ona nagle usiadła i błyskawicznie ściągnęła dżinsy i majtki. I sięgnęła ręką do zamka jego spodni. Tuż pod zamkiem wyczuła bardzo wyraźną wypukłość. Musi być ostrożna, ale musi też sprawić, żeby i on poczuł choćby ułamek tego, co ona czuje. Więc zaczęła powoli ciągnąć zamek do dołu, otwierając po parę ząbków.

– Annie – powiedział ochryplym głosem – pomysł miałaś dobry, ale ja mogę skonać, zanim skończysz. – Odsunął na bok jej ręce. Paroma szybkimi ruchami wyłuskał się z dżinsów.

To ją rozproszyło. Zapatrzyła się na niego, na jego pierś i ramiona, biodra i uda, i na tę jego część, która jaśniała na tle ciemnej gęstwiny włosów.

Był piękny.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go tam, czując pod palcami jedwabistą, delikatną skórę. Na czubku widniała kropla wilgoci, a ona zastanowiła się nagle, jaki to może mieć smak. Annie nigdy nie całowała mężczyzny w ten sposób, ale przy nim miała ochotę robić to, czego nigdy nie robiła.

Objęła go palcami i nachyliła się.

Jęknął i chwycił ją za ramiona.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo nie chciałbym cię powstrzymywać. Ale jestem już na krawędzi. A ty nie jesteś gotowa.

Uśmiechnęła się, jednocześnie lekko zawstydzona i bardzo zadowolona, i zacisnęła rękę.

– Ależ jestem.

Znów jęknął, wpił palce w jej ramiona.

– Nie. Nie jesteś. – Popchnął ją do tyłu, przekręcił na plecy i usiadł, chcąc na nią popatrzeć. – Więc ci pokażę, co mam na myśli. – Powędrował palcami tam, gdzie bardzo pragnęła, żeby ją dotknął, i zaczął ją tam pieścić, lekko, bardzo lekko, tylko poruszając włoski.

– Jack... – Sięgnęła do jego szyi, chcąc przytulić go do piersi.

Łagodnie odjął jej ręce i rozłożył je po jej obu bokach.

– Nie będziesz gotowa, Annie, dopóki nie będziesz mnie chcieć do szaleństwa, tak jak ja ciebie chcę do szaleństwa. Aż będziesz gotowa błagać i krzyczeć.

Dlaczego jej serce nagle tak bije, jakby się bało?

Uśmiechnął się tylko i pochylił głowę. I pokazał jej.

Czy sądziła, że wie, czym jest pożądanie? Myliła się. Straszliwie się myliła. Myliła się także, jeżeli sądziła, że zna tego mężczyznę. Jack był nieubłagany. Jego ciało było napięte i drżące, a oddech nierówny, zdecydowany był

jednak doprowadzić ją do takiego stanu rozkoszy, o jakim miała tylko mgliste wyobrażenie. Wreszcie podciągnęła się na nią. Zadrżała, cała otwarta na niego. Pragnęła go rozpaczliwie. Zatopił się w niej. A wtedy krzyknęła.

Jack oddychał z trudem. Spływał potem i był wyczerpany, bolała go głowa, ale poza tym czuł się lepiej niż kiedykolwiek w życiu, chociaż... jednocześnie panicznie się bał. Czego? Słów miłości, wyznania miłości, ale na szczęście Annie nie powiedziała tych słów, których nie chciał usłyszeć. Rozszalałe serce powoli wracało do normy, a on nagle chciał stąd uciec. Czego się bał? Fałszu tych niewypowiedzianych słów, złamanych obietnic, niedotrzymanych przyrzeczeń. I nadziei. Najgorsza z tego wszystkiego była nadzieja. Zawiedziona nadzieja.

Poruszyła się, przechyliła do tyłu głowę i popatrzyła na niego.

Przejechał palcem wzdłuż ślicznej linii jej obojczyka. Nie widział jej nigdy tak pięknej, takiej sennej i sytej. I nagiej.

– Czy mówiłem ci już, jaka jesteś wspaniała bez ubrania? Zaczerwieniła się.

– Nie przypominam sobie.

– Oczywiście nieraz fantazjowałem na ten temat. Ale rzeczywistość daleko przerosła najśmielsze fantazje. – Gdyby tylko mógł coś zrobić, żeby nie wypowiedziała tych słów, których się bał, i żeby sam przestał o nich myśleć, wtedy wszystko byłoby świetnie. Zostaliby przyjaciółmi.

Szybko zmienił temat.

– Wciąż zachodzę w głowę, jak doszłaś do tego, co zamierzam zrobić.

– No cóż, zastanowił mnie sposób, w jaki mówiłeś o tym, że potrzebujesz czasu.

– To samo ty mówiłaś.

– Ale ty jesteś inny, i nie wałkujesz spraw tak jak ja. A najbardziej uderzył mnie fakt, że kłamałeś o tej samotnej wspinaczce na klif.

– Przysięgłbym, że kupiłaś tę wersję.

– Na krótko, bo byłam zbyt wściekła, żeby trzeźwo myśleć. Ale szybko domyśliłam się, co jest grane. Nie wspinałbyś się, gdybyś był wytrącony z równowagi. Mógłbyś wyjechać z miasta albo wdać się w bijatykę, albo zrobić coś równie kretyńskiego, ale nie wspiąłbyś się na klif w takim stanie. Więc pomyślałam sobie, że skoro mnie okłamujesz, to znaczy, że przymierzasz się do czegoś, co chcesz przede mną zataić. Coś takiego, jak na przykład sprowokowanie i ściągnięcie na siebie zabójcy. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie przypomniałeś sobie jakiegoś szczegółu z tej napaści.

– Bardzo bym chciał.

Westchnęła.

– Szkoda. W każdym razie, im dłużej o tym myślałam, tym bardziej się upewniałam, że postanowiłeś usunąć mnie z drogi, żeby odegrać bohatera. – Spojrzała na niego groźnie.

– A przecież jesteś świeżo po wstrząsie.

– Dlatego też zabezpieczyłem sobie tyły.

– Fred. – Raczej nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Między innymi. – Uznał, że chwila nie jest odpowiednia, by napomknąć, że jej brat też miał mu pomóc w tym przedsięwzięciu. Miał nadzieję, że Fred zadzwonił do Bena i dał mu znać, że nie ma potrzeby obstawiania parkingu o drugiej nad ranem. – Mój plan zdał egzamin – zaznaczył. – Nawet jeżeli nie jestem pewny, co to oznacza, to jednak doprowadziłem do tego, że Leah dotarła do mnie aż tutaj.

– Równie dobrze mogła znaleźć się tutaj z powodu, który nam próbowała wmówić.

– A skąd wiedziała, że na mnie napadnięto?

Annie machnęła na to ręką.

– To jeszcze niczego nie dowodzi. Mogła to bez trudu usłyszeć, kiedy była u Bintona.

– To, że nie widzimy związku, nie znaczy, że on nie istnieje. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że zjawiała się tutaj natychmiast po tym, jak przekazałem przez Rebeccę informację o napaści i o tym, że zaczynam sobie przypominać, co się wtedy stało?

Usiadła raptownie.

– Co?

– Musiałem coś zrobić, żeby mój wróg zaczął mi deptać po piętach. Chciałem, żeby to się odbyło w czasie i w miejscu wybranym przeze mnie.

– Równie dobrze możesz sobie powiesić na szyi tabliczkę z napisem: „Przyjdź i mnie zabij, zanim przypomnę sobie, kim jesteś”.

– Nie miałem zamiaru dawać się zabijać. Uważałem, że wygram tym razem.

– Tu nie chodzi o wygraną czy przegraną! Na Boga, nie mogłeś wybrać gorszego momentu na takie współzawodnictwo! Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego musiałeś mnie okłamać.

– To chyba oczywiste! Nie chciałem, żeby stała ci cię krzywda.

Zamilkła na chwilę.

– Nie sądzę, że możesz zapobiec zranieniu mnie, Jack. Myślę, że to chyba jest nieuniknione.

– Nie chcę cię zranić, Annie. Nigdy.

– Wiem. – Spuściła oczy. Po chwili położyła dłoń na jego piersi. – Czy mówiłam ci już, że oszalałam na punkcie twojego torsu?

– Ostatnio nie. – Żeby jej pomóc skierować rozmowę na inne tory, piął się powoli palcami po wzgórku jej piersi,

zatrzymując się tuż przed wierzchołkiem. – Wiesz co? Mam wrażenie, że moje mięśnie zaczynają wracać do formy. Co ty na to?

Tym razem później już nie rozmawiali. Zasnęli, nasyceni sobą.

Rozdział jedenasty

Annie spodobało się spanie z Jackiem. Jeszcze bardziej spodobało się jej budzenie u jego boku rankiem. Doszła do wniosku, że jest to punkt zwrotny w ich dotychczasowych stosunkach. Może nie będzie mogła rościć sobie prawa do jego miłości, ale będzie miała jego noce i poranki.

Jack spał wyciągnięty na plecach, zajmując cały środek łóżka. Ona leżała na nim, objęta w pasie jego ramieniem, z jego bijącym sercem przy uchu. Kiedy poczuła, że się rusza, uśmiechnęła się.

– Obudziłeś się?

Głucha cisza przez chwilę.

– Czy to już południe?

– Nie.

– Świt?

– Być może.

Gdy westchnął, poczuła jak jego pierś uniosła się i opadła. To też jej się spodobało.

– Zapomniałem, jaka jesteś o poranku.

– Szczęśliwa – powiedziała, opierając się na łokciach, żeby móc patrzeć na niego. – Jestem szczęśliwa dzisiejszego ranka, Jack.

– Cieszę się – powiedział miękko. – Ale...

Serce Annie nagle wierzgnęło boleśnie.

– Ale? Mógłbyś użyć innych słów w taki poranek.

– Ja też jestem szczęśliwy, ale nie powinienem pozwolić ci tutaj zostać.

– Nie przypominam sobie, żeby ktoś dał ci prawo do pozwalania. Do uwodzenia, owszem. Do pozwalania, nie.

– Zapomniałem się wczoraj. Przebywanie ze mną jest teraz zbyt niebezpieczne. – Odwrócił wzrok. – Kiedy sprawy się wyjaśnią... Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało, Annie.

Usiadła powoli. Próbuje zwiększyć dystans między nimi. I wcale nie z powodu niebezpieczeństwa. Wiedziała to, czy chciał tego, czy nie. Ale i tak mu udowodni, że może na niej polegać!

– No, więc jaki masz plan? Będziesz się przechadzać przez parę kolejnych tygodni w podkoszulku z napisem „Zabij mnie”? A czy potem, jeśli nikt tego nie zrobi, będę bezpieczniejsza przy tobie?

– Nie narażę cię na niebezpieczeństwo i już!

Zdegustowana, potrząsnęła głową.

– A co według ciebie mam robić, gdy ty na swój męski, waleczny sposób będziesz rozgrywać tę sprawę?

– To, co zawsze. Będziesz z braćmi.

Złość jest lepsza od obrazy, ale nie przyniesie jej tego, na czym jej zależy. Szybkim ruchem wstała z łóżka i porwała z podłogi koszulę i spodnie.

– Jesteś w błędzie. Nie odczepisz się już ode mnie.

– Annie, nie mogę pozwolić, żebyś się do mnie wprowadziła, dopóki sprawy się nie wyklarują. Dopóki nie będzie bezpiecznie.

Ale coś takiego jak bezpieczeństwo nie istnieje – nie w życiu, nie w miłości. Z trudem, ale wreszcie to zrozumiała. Stała nad nim, patrząc na niego długo i chłodno.

– Na jakiej podstawie uważasz, że mnie powstrzymasz?

– Odwróciła się i pomaszerowała do łazienki.

Nie zdoła jej powstrzymać.

Myślał o odejściu, gdy była pod prysznicem, o wymknięciu się, ale przecież nie mógł tego zrobić. Nie wolno mu zostawić Annie samej tu, gdzie jego potencjalny zabójca może w każdej chwili się pojawić.

Wynurzyła się z łazienki wilgotna i seksowna, ale nie odezwała się ani słowem. Z niewesołą miną powędrował pod prysznic. Kiedy wyszedł, czekała na niego kawa i milcząca kobieta.

– Dzięki za zamówienie kawy – odezwał się, posyłając jej ufny, optymistyczny uśmiech. Może czeka, żeby ją przeprosił?

Obrzuciła go chłodnym wzrokiem i na tym poprzestała.

To go zaniepokoiło. Annie potrafi wpaść w gniew. Znał to z doświadczenia, ale zwykle tym się nie przejmował. Tylko że zwykle, gdy była zła, mówiła mu w detalach, co ją tak wścieka i jakim to on jest durniem. Nalał filiżankę kawy i wypił połowę, próbując przeczekać jej zły humor, ale długo nie wytrzymał.

– Do cholery, nie mogłabyś powiedzieć, o co ci chodzi? Uniosła brwi.

– Nie przywykłam do takiego języka.

Gdy opuszczał pokój w motelu, do końca nie wiedział, czy idzie za nim. Ale gdy doszedł do auta, stała tuż przy nim.

– Chyba nie zostawisz swojego samochodu tutaj? – zapytał.

– Jadę z tobą. – To było wszystko, co powiedziała.

– Zgoda – powiedział, wsiadając do auta. – Ale wysiądziesz przy swoim domu.

– Chyba że wypchniesz mnie siłą. – Usiadła obok niego i zapięła pas. – A wtedy już nie będziesz musiał się martwić o to, kto cię zabije, ponieważ zrobi to Ben.

Gdy już raz zaczęła mówić, uściśliła przy okazji jeszcze

parę innych spraw. Do czasu, gdy zajechali przed wielki stary dom, którego nienawidził, powiedziała mu, że barykadowanie się przed nią na nic się zda. Jest teraz jego żoną. Jego dom jest jej domem. Wezwie ślusarza i powie, żeby ją wpuścił do środka. Albo może rozbić namiot na dziedzińcu od frontu. Nie sądzi, żeby Ida długo wytrzymała i nie wpuściła jej do domu, nawet gdyby on był do tego zdolny.

– Mogę wrócić do Denver – warknął, wysiadając z samochodu. – I tak powinienem zrobić. Może właśnie tam dotrę do sedna sprawy.

Ona także wysiadła.

– Też mogę jechać do Denver, nie robi mi to różnicy – powiedziała słodko i trzasnęła drzwiami samochodu. – Nie rozbiję namiotu przed twoim mieszkaniem, ale mogę zatrzymać się na tyle blisko, żeby ktoś o idiotycznie przerośniętym instynkcie opiekuńczym mógł przypuszczać, że znajduję się w niebezpieczeństwie.

Jack zaczął przeczesywać ręką włosy, skrzywił się, kiedy palce dotknęły guza, i zaprzestał. Targało nim zbyt wiele emocji. Do jasnej cholery, dlaczego ona mu to robi? Wolałby nie czuć tego wszystkiego – złości, strachu, rozczarowania, ulgi, niepokoju o nią. W tym wszystkim jedynie strach i troska o nią mają jakiś sens. Nie zniósłby, gdyby Annie coś się stało. Uczucie ulgi było pozbawione logiki. Dopadło go w momencie, gdy zdał sobie sprawę, że nie odstępowала go od wyjścia z motelu i że nie odstąpi go, zdecydowana trwać przy nim – nieważne, jak bardzo jest wściekła.

Nie miał zielonego pojęcia, skąd biorą się jego złość i rozczarowanie.

Milcząc zawzięcie, Annie podążyła za nim na ganek. Gdy doszli do drzwi, wziął ją za łokieć.

– Annie...

Popatrzyła na niego z taką wyższością, na jaką nie zdobyłby się nawet jej pomarańczowy kot.

– Czy rzeczywiście rozbiłabyś namiot na dziedzińcu od frontu?

– Przecież powiedziałam.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Słusznie. Powiedziałaś też, że będziesz przy mnie na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie. Ale jakoś szybko zapomniałaś o tej obietnicy, prawda?

– Ale teraz jestem tu i zostanę.

No cóż, pomyślał, zaciskając wargi i wsuwając klucz do zamka, przynajmniej już wie, skąd bierze się jego złość – dojrzewała i utrudniała mu racjonalne myślenie już od dwóch miesięcy. Tę złość wyhodował w sobie sam.

– Chyba będę musiał uwierzyć ci na słowo.

– Może jeszcze nie teraz – powiedziała, idąc za nim do holu. – Ale zrobisz to. Wcześniej czy później przekonasz się, że nie rzucam słów na wiatr.

Zafrasował się. W głębi duszy już teraz wierzył jej. Pomimo złości, nie bacząc na sposób, w jaki wcześniej go zostawiła, tym razem jej wierzył. Annie robi wszystko, żeby z nim być – czy mu się to podoba, czy nie.

Co się zmieniło? – zastanawiał się. Czy oszukuje siebie samego, czy też rzeczywiście coś się zmieniło?

Głupie pytanie. Oczywiście, że coś się zmieniło. Kochali się. Wszystko odbyło się tak, jak przewidział: gdy Annie raz poszła z nim do łóżka, poczuła się z nim związana na zawsze.

I stąd właśnie brało się jego rozczarowanie. Zdegurowany sobą, potrząsnął głową. Przecież chciał, żeby to się stało, nawet jeżeli wczoraj wieczorem nie patrzył na to w ten sposób. Więc dlaczego, do licha, jej reakcja go rozczarowała?

Przyglądała mu się uważnie, a w jej oczach malowały się jej własne pomieszane, niepewne uczucia i emocje. Ale osioł z niego! Westchnął.

– Napijesz się kawy?

– Chętnie – powiedziała bez entuzjazmu. – Zastanawiałeś się, co zrobisz z domem i z resztą?

Przeważnie starał się jak najmniej myśleć o domu.

– Nic. Ida lubi to miejsce. Nie chce go opuścić.

– Och, Jack. – Potrząsnęła głową, a wzrok jej złagodniał. – Akurat, kiedy gotowa byłabym przysiąc, że jesteś najbardziej niewrażliwym człowiekiem na ziemi, mówisz coś tak niewiarygodnie słodkiego!

Zmarszczył brwi.

– Słodkie mogą być dzieci, psiaki i kociaki. Cukierki są słodkie. Ja nie jestem słodki.

– Niewielu ludzi trzymałoby takiego wielkiego białego słonia po to tylko, żeby ich gospodyni miała zajęcie. To musi kosztować majątek... podatki, utrzymanie, ubezpieczenie. I jeszcze pensja Idy.

– Stać mnie na to. – Stawał się drażliwy, gdy była mowa o spadku. Ruszył w stronę kuchni. – Nie zamierzam wydawać na siebie ani grosza z pieniędzy pozostawionych przez ciotkę. Równie dobrze mogą pójść na utrzymanie domu, żeby Ida mogła w nim zostać.

Poszła za nim. Musi go o coś zapytać, choć nie będzie to łatwe.

– Nie chcesz mieć nic wspólnego z ciotką, czy tak? Nawet po jej śmierci. Nadal jesteś na nią zły.

– Nie jestem na nią zły. Po prostu jest za późno i pieniądze nic już nie pomogą. – Pomyślał o tych wszystkich miesiącach, kiedy jego matka potrzebowała pieniędzy, które należały się jej po ojcu. O miesiącach, kiedy jej prawie nie widywał, ponieważ pracowała w dwóch miejscach, starając się uzbierać dość pieniędzy, żeby opłacić świadczenia, i żeby jej nikt nie groził, że odetnie prąd albo gaz. O tych dniach, kiedy chorowała, a mimo to nadal chodziła do pracy, bo nie stać jej było na leżenie ani nawet na wizytę u lekarza. Co nie znaczy, że jeśli on zachorował,

to pozostawiała go bez opieki lekarskiej. Zawsze znajdowała jakiś sposób, nawet jeśli to oznaczało błaganie siostry o pieniądze.

– Ciotka nie uważała za słuszne postąpić wbrew ostatniej woli ojca – powiedział z goryczą. – Od czasu do czasu pomagała mamie, ale tylko wtedy, gdy chodziło o mnie.

– Dziadek wydziedziczył twoją matkę, czy tak?

– Tak. – Czasami Jackowi marzyło się, by spotkać dziadka i splunąć mu w twarz. – Nie chcę jego pieniędzy.

– Więc dlaczego ich nie rozdasz? Pozbądź się domu i pieniędzy. Jest wiele instytucji charytatywnych, którym przyda się takie miejsce. Mógłbyś też zastrzec, że Ida ma tu pozostać w charakterze gospodyni.

Jack zatrzymał się w połowie holu, odwrócił się i spiorunował Annie wzrokiem. Jedną prostą i sensowną sugestią obaliła wszystkie jego iluzje. Nie chciał pozbywać się domu. Nienawidził go. Nie chciał w nim przebywać. Ale nie chciał się go pozbywać.

Wycierając ręce kuchennym ręcznikiem, do holu wpadła Ida.

– Zdawało mi się właśnie, że cię słyszę, Jack! I ciebie, Annie! To znaczy, pani Merriman – poprawiła się rozpromieniona. – Zaraz podam lunch. Tak się cieszę! Zostaniecie tu, prawda?

– Och, tak, ja zostaję – zawołała Annie, rzucając Jackowi prowokacyjne spojrzenie. – I proszę cię, Ido... zawsze byłam dla ciebie Annie. Niech tak zostanie.

– No cóż... – Ida poczerwieniała ze szczęścia. – Jeśli ty tego chcesz... Ale... co za offerma ze mnie, nie przygotowałam dla ciebie pokoju... pościeli... Nawet nie wiem, którą sypialnię wybieriecie... ? – Ostatnie zdanie zamieniło się na końcu w pytanie, które skierowała do Jacka.

Do licha. Jest możliwe, że Annie nie będzie zainteresowana dzieleniem z nim sofy w saloniku.

– Jeszcze się zastanowimy i damy ci znać – mruknął.

– Oczywiście – odpowiedziała Ida i ruszyła z powrotem.

– Och, byłabym zapomniała. – Wsadziła rękę do kieszeni fartucha. – Jestem taka podekscytowana, że Annie zostanie tutaj... ale to musi być ważne, bo on dzwonił z jakiegoś malutkiego państewka. Nawet nie potrafię powtórzyć nazwy. Powiedziałam mu, gdzie jesteś, tak jak chciałeś... – Przerwała i spojrzała na Jacka z wyrzutem. – Powiedział, że spróbuje tam do ciebie zadzwonić, ale teraz ty jesteś tutaj, mógł więc cię nie zastać...

– Ale kto dzwonił, Ido?

– Och, czyżbym jeszcze nie powiedziała? Ten miły pan Deerbaum z MPRB. – Podała mu skrawek papieru. – Zanokowałam wszystko – powiedziała z dumą w głosie.

– Kiedy dzwonił? – Pewnie wczoraj wieczorem, pomyślał. Ida jest wspaniałą kucharką i skrupulatną gospodynią, ale albo przekręca wiadomości, albo o nich zapomina.

– Przed jakąś godziną. Ja... – Zadzwoił telefon. – Może to on. Odbiorę.

Ale Jack był dużo szybszy.

– Halo?

– Jack, ty sukinkocie, właśnie cię szukam! – Na linii było więcej zakłóceń niż zwykle, ale ten tubalny głos potrafił przekrzyczeć wszystko. – Dlaczego szwendasz się po motelach, zamiast siedzieć w domu i leżeć w łóżku ze swoją młodą żonką?

– Miałem nadzieję, że uda mi się nakłonić zabójcę Metza do wyjścia z ukrycia.

– Wiesz, że zdaniem policji Metz sam się zabił.

– Chyba się mylą. Uważam, że stał się uciążliwy dla kogoś, kto był w to także wmieszany. Próbowalesz dozwonić się do mnie do motelu?

– Dzwoniłem do ciebie do domu z lotniska, dzwoniłem

do motelu z samolotu, a teraz znów muszę dzwonić z samolotu, bo ty nie potrafisz usiedzieć w jednym miejscu. Lecę właśnie nad Atlantykiem, a telefonowanie z takiego przekłętego odrzutowca kosztuje majątek. – Warknął krótko, co u niego wyrażało śmiech. – Całe szczęście, że jestem majątny! A tak między nami, Jack, to przestań się wreszcie zabawiać w detektywa. To zbyt ryzykowne.

– Nie licz na to. Nie popuszczę, dopóki nie dorwę tego kogoś, kto jest na liście płac w MPRB, a kto pomógł Metzowi okraść instytucję, jak również ludzi, którym mamy pomagać.

– Psiakrew! A myślisz, że ja to puszczę płazem!? Że Amos Deerbaum puści coś takiego płazem? Po moim trupie, chłopcze, po moim trupie! Przeczytałem twoje sprawozdanie i wynika z niego jasno, że Metzowi ktoś pomagał. Czy inaczej mogłoby do tego dojść? Ale teraz ja się tym zajmę.

Następnie Deerbaum jeszcze raz powtórzył, żeby Jack nie pchał łba, gdzie nie trzeba, i nie pozwolił sobie rozwalić czaszki, po czym dał mu sprośną radę, jak ma spędzić parę następnych dni, dochodząc do zdrowia, i że policja w tym czasie złapie winnego. Na koniec zaproponował mu klucze do swojej chaty w górach.

– W pełni zasłużyłeś sobie na to! I nie przejmuj się dochodzeniem. Wystarczy mi pieniędzy i jaj, żeby dać kopa jakiemuś chrzanionemu urzędasowi – dudnił Deerbaum. – Popędzę też kota tej pieprzonej policji. Koniecznie skorzystaj z tych kluczy, zaszyj się ze swoją młodą żonką tam, gdzie nikt was nie znajdzie. To rozkaz, Jack! MPRB potrzebny jest twój mózg, ale wewnątrz czaszki! – Ponownie zaśmiał się charakterystycznym dla niego warknięciem i wyłączył się.

Gdy Jack odłożył słuchawkę, twarz miał zasępioną i niezadowoloną.

– Co on powiedział? – zapytała Annie. – Coś w sprawie śledztwa?

– Mówi, że dopilnuje, by policja wszczęła śledztwo. Ja zaś mam się trzymać od tego z daleka.

– To dlaczego się martwisz? Policja dysponuje lepszymi środkami do prowadzenia śledztwa w sprawie zbrodni.

– To prawda. – Mięśnie ramion i karku zeszywniały mu, a głowa znów zaczęła go boleć. – Jednak nie będzie mi łatwo porzucić tę sprawę. Przez długi czas byłem jedyny, który ją drażył. A teraz mam się wycofać i pozwolić, żeby ktoś inny wszystkim się zajął. – Był coraz bardziej zasepio-ny. – Szkoda, że Deerbaum wcześniej nie „dał kopa jakiemuś chrzanionemu urzędasowi”, jak to sam określił.

– Jakiego rodzaju człowiekiem jest Deerbaum? Czy zrobi to, co powiedział? Jeżeli tak, możesz być spokojny. Śledztwo będzie się toczyć, nawet gdyby... gdyby coś ci się stało.

– Jest twardy i uparty, ale przyzwoity, i z tego co wiem, nigdy nie cofnął danego słowa. Ma fioła na punkcie gromadzenia myśliwskich trofeów. Lubi też stawiać na swoim. Jeżeli Deerbaum popędzi policję, poczują to na swojej skórze. – Potarł kark, próbując złagodzić napięcie i pozbyć się niepokoju, którego przyczyny nie rozumiał. – Czy to nie za ostry przeskok? Jeden telefon, i nagle jest po wszystkim, tylko echo jeszcze nie przebrzmiało.

Zmarszczyła czoło.

– Niezupełnie. Dopóki zabójca nie wie, że już nie zajmujesz się sprawą, nadal jesteś w niebezpieczeństwie.

– Deerbaum też to sugerował. Zaproponował, żebyśmy skorzystał z jego domku w górach i zniknął z pola widzenia... – Nagle poczuł się odrobinę lepiej. Tydzień w górach, sam na sam z Annie! To dar prosto z nieba!

– Och. – Annie była wyraźnie zaskoczona.

– Podobno jego teren podchodzi aż pod Park Narodowy

Gór Skalistych. – Położył ręce na jej ramionach i przyciągnął delikatnie do siebie. – Wiesz, jak tam jest wspaniale o tej porze roku? A miejsce wybrane przez Deerbauma musi być zupełnie wyjątkowe. U tego faceta wszystko musi być pierwsza klasa!

Ida zawołała z holu.

– Za chwilę poproszę was do stołu. Mam nadzieję, że jesteście głodni!

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Rozumiesz, co mam na myśli? – Przesunął ręce w górę i w dół jej ramion, i pomyślał o innych miejscach, gdzie chciałby jej dotykać, miejscach, które zaczął odkrywać wczoraj wieczorem. – Deerbaum powiedział, że zadzwoni do dozorca i powie, żeby nam zostawił klucze. Co byś powiedziała, żebyśmy wyskoczyli na miodowy tydzień zaraz po lunchu?

Nie wygłądało na to, że pomyśl zwałił ją z nóg.

– Byłoby dobrze, żebyś na jakiś czas zniknęła, ale ja mam pewne zobowiązania. We wtorki i środy mam lekcje, umówiłam się też na wykonanie paru prac.

– Daj spokój, Annie. Na pewno znajdziesz kogoś, kto cię zastąpi, jeżeli powiesz, że wybierasz się na miodowy tydzień.

– No cóż... Może Karen mogłaby za mnie poprowadzić lekcje przez ten czas. Muszę jej tylko przygotować dokładny plan. Ale dzisiaj mam pracę, której nie mogę przełożyć.

– Pomogę ci. Kładłem już rury, kopałem rowy i potrafię całkiem nieźle odróżnić jeden koniec młotka od drugiego.

– Oczywiście. Ale w przyszłym tygodniu też pracuję.

– Annie. Czy nie czas pomyśleć o zrezygnowaniu z pracy? – Jeżeli zdecyduje się wyjechać z nim w przyszłości, to i tak będzie musiała z tego zrezygnować. – Przecież traktowałeś to jako coś przejściowego, prawda?

Dostrzegł w jej oczach cień paniki.

– Nie zamierzam, broń Boże, wywierać żadnego nacisku. – Akurat! Był zły, z trudem powstrzymał się od powiedzenia słów, których by później żałował. Odwrócił się. – Porozmawiamy o tym później.

– Jack. – Położyła rękę na jego ramieniu. – Nie jestem dobra w podejmowaniu nagłych decyzji, nie lubię być zaskakiwana. Dotarło do mnie, że wkrótce opuszczę Highpoint, nie tylko na miodowy tydzień. To straszne.

Annie naprawdę zamierza z nim wyjechać. A to jest najważniejsze. Znów dotknął jej ramienia.

– Wszystko będzie dobrze, Annie. Zatrąszczę się o to.

– Oczywiście, że będzie. Potrafię się dostosować. – Energetycznie kiwnęła głową, jakby próbowała przekonać siebie samą. – Jeżeli zamierzasz popracować dziś ze mną, włóż stare ubranie. Będziemy malować garaż pani Northrop. Ale zapomniałeś o czymś.

– O czym?

– Nie przeprosiłeś mnie za to, że niedawno chciałeś mnie spławić.

– Bo pomyślałem, że już zapomniałaś, że byłeś na mnie wściekła.

– Nie byłam wściekła. Wpadłam w szał.

Uśmiechnął się szeroko.

– Widzisz? Użyłaś czasu przeszłego. Więc już nie jesteś wściekła.

Zastanawiała się chwilę.

– Jesteś strasznie upierdliwy, wiesz o tym?

– Wiem. – Schylił się i pocałował ją. To miał być szybki pocałunek, ale zapomniał o pośpiechu, o lunchu, o Idzie i o wszystkim innym. Sprawiała to magia Annie.

– Wybierzmy sobie sypialnię – szepnęła.

– Po co? Skoro wyjeżdżamy po południu...

– Przecież nie zamierzamy w niej spać.

Daremnie tłumiła uśmiech, ale zdradziły ją uniesione koniuszki ust.

– Właśnie przyniosłam gorące grzanki – zawołała Ida.

Jack jęknął i chwycił Annie za rękę.

– Chodź szybko, zanim nas złapie. Nie wejdzie do sypialni bez pukania. A jeżeli będziesz pojękiwać równie rozkosznie jak tej nocy, nawet nie zapuka.

– Jack! – Była zaróżowiona, błyszczały jej oczy. – Nie możemy tak po prostu... Idzie byłoby przykro, gdybyśmy nie zjedli lunchu, który przygotowała.

– Tak. – Westchnął. – Chyba masz rację. – Stawiał jeszcze opór, kiedy go ciągnęła w stronę kuchni.

Ida poprosiła ich do jadalni, gdzie przykryła masywny, dekoracyjny stół koronkowym obrusem, starszym od Jacka. Postawiła dwa nakrycia z delikatnej porcelany i srebrną zastawę, którą nastoletni Jack musiał czasem czyścić za karę. Nie znosił tych przedmiotów.

– Wiem, że nie lubisz takich ceregieli, Jack – powiedziała Ida, nalewając im kawę ze srebrnego dzbanka – ale pomyślałam, że taką okazję powinniśmy jakoś uczcić.

– Cieszę się, że się postarałaś. Upłynie co najmniej tydzień, zanim nas znowu posadzisz w jadalni. Annie i ja planujemy małą podróż. Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj po południu.

– Miesiąc miodowy?

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

– To cudownie. Po prostu cudownie. – Ida westchnęła radośnie. Kiedy wychodziła, nuciła pod nosem marsza weselnego.

Jack jadł w milczeniu. Myślami był gdzie indziej. Zastanawiał się, czy to próżność każe mu kontynuować śledztwo na własną rękę? Potrzeba sprawowania kontroli? A może to instynkt?

– Odnoszę wrażenie, że jesteś ze mną zaledwie w połowie – powiedziała Annie. – A gdzie podziewa się reszta ciebie?

– Przepraszam. Nie mogę pozbyć się wrażenia...
– Potrząsnął głową, nie znajdując właściwych słów.
– Po prostu źle się czuję, odstępując od tego dochodzenia.

– Czy uważasz, że Deerbaum będzie chciał zatuszować sprawę, podobnie jak Herbie? Albo... czy jest możliwe, żeby był w to zamieszany?

Jack pokręcił głową. Już zastanawiał się nad tym.

– Gra nie idzie o duże pieniądze. Dla kogoś takiego jak Derrbaum „kłopoty finansowe” zaczynają się przy znacznie większej liczby zer na końcu, co najmniej przy milionach, nie zaś tysiącach dolarów, które zgarnął czarny rynek.

– Więc martwisz się, że nie posunie należycie śledztwa?

– Nie zrobił nic w tej sprawie, dopóki ktoś nie wyróżnął mnie w głowę, wolałbym więc mieć pewność, że za chwilę znowu nie przestanie go to interesować.

– Powiedz mi coś. Czy odziedziczyłeś po ciotce dużo pieniędzy?

– A co to ma z tym wspólnego?

– Zaspokój moją ciekawość. – Sięgnęła po grzanekę.

– W porządku. Tak, odziedziczyłem kupę pieniędzy. Nie, nie zamierzam ich tknąć. Nie wydam tej forsy na nic poza utrzymaniem domu i pensją dla Idy. – Gdyby jakakolwiek kobieta, poza Annie, zadała mu takie pytanie, pomyślałby, że już się widzi właścicielką tych dolarów. Ale nie Annie. Nie ma nikogo takiego jak Annie na całym wielkim świecie. Widział niezły jego szmat, a nigdy nie spotkał kobiety, z którą byłby tak blisko.

A jednak bał się. Annie powiedziała, że pojedzie z nim,

kiedy zostanie skierowany do następnej pracy, ale nie była z tego powodu szczęśliwa. Musi być niezłym draniem i egoistą, żeby ją zmuszać do opuszczenia Highpoint, ale nie chce jej stracić. Nie może jej stracić. Nawet gdyby miał zrezygnować z pracy?

– Jeżeli nie jesteś przekonany, że Deerbaum i policja zrobią wszystko, co powinni, może powinieneś wynająć prywatnego detektywa. Z tym, że to będzie nielecho kosztowało. Skoro nie chcesz ruszać spadku, obawiam się, że nie będzie nas na to stać. – Zachichotała. – W każdym razie mnie na pewno nie.

My. Gdy znaczenie tego prostego zaimka dotarło do Jacka, natychmiast doszedł do wniosku, że jego wstręt do pieniędzy dziadka nie jest tak ważny jak świadomość, że oni, czyli Annie i Jack, będą bezpieczni. Żeby tak się stało, zabójca musi zostać zidentyfikowany i osadzony w więzieniu.

– Żeby się dostać do domku Deerbauma, trzeba przejechać przez Denver. Sądzę, że mógłbym z kimś porozmawiać.

– Nie zaszkodzi. – Nałożyła dużą porcję truskawkowego dżemu na grzankę. – To dobrze, że umkniemy przed kuchnią Idy. Za tydzień nie wbiłabym się w żadne ubranie.

– Sądzisz, że dasz radę skończyć to beze mnie? – spytał Jack.

Annie spojrzała na niego i roześmiała się. Dała mu do pracy farbę w rozpylaczu, a sama zabrała się za malowanie lamperii, a teraz jego twarz była popryskana białą farbą. Podobnie jak włosy, koszula i dżinsy.

– Już mnie porzucasz?

– Przed wyjazdem muszę zajrzeć do adwokata. Nie mam żadnych czeków z konta tej nieruchomości, przekazałem

wszystko w jego ręce. Jeżeli mam rozmawiać z jakąś poważną agencją detektywistyczną, wolałbym mieć dostęp do większych kwot niż te, które mam obecnie na swoim koncie.

– Przyjmuję tę wymówkę.

Podszedł do niej i pocałował ją.

– Jesteś dobrym szefem, nawet jeśli smakujesz jak farba. Wróć po ciebie za jakąś godzinę.

– Będę chciała zajrzeć do domu... to znaczy do mojego dawnego domu... żeby się zapakować.

– Zobaczę, czy Ben może tu wpaść i podwieźć cię.

– Nie rób z Bena mojej niańki, dobrze? Nic mi nie grozi, Jack.

– Chyba nie – przyznał. – Ale Ben chętnie cię podwiezie.

Po jego wyjeździe Annie, podśpiewując z zadowolenia, wróciła do pracy. Sprawiała, że Jack sięgnie po pieniądze ze spadku. Nie interesowało ją, co zrobi z pieniędzmi. Może je zatrzymać, wydać, rozdać – cokolwiek. Chciała tylko, żeby doszedł do ładu ze swoimi uczuciami do ciotki. Od czasu śmierci ciotki Jack nie może zrobić kroku naprzód, ponieważ nie umie się przyznać do uczuć, które go hamują.

Mniej więcej o to samo oskarżał ją, pomyślała, zbierając swój sprzęt. I miał rację. Annie nie uważała się za eksperta w wielu dziedzinach, ale sporo wiedziała o żałobie. Zabawne, pomyślała. Jedynie Jack umiał przekonać ją, że złość jest naturalną częścią żalu i opłakiwania bliskiej osoby. Więc dlaczego sam nie może dopuścić myśli, że jest zły na ciotkę za to, że umarła? Może dlatego, że nie potrafi się przyznać, że była dla niego ważna?

Annie westchnęła. Jack ma problem z samym pojęciem miłości. Ale ona chyba już wie, jak sobie z tym poradzić.

Chciał mieć przyjaciela. Potrzebował kogoś, na kogo mógłby liczyć. Oswoi więc go stopniowo z samą ideą bycia kochanym. Tak długo, jak nie będzie używać słów o miłości i nie będzie mu mówić, co naprawdę do niego czuje, Jack nie wpadnie w panikę i nie odepchnie jej.

Rozdział dwunasty

Jack zajechał przed dom McClainów parę minut po pierwszej. Zależało mu na czasie. Chciał już być w drodze. Annie nie jest tutaj bezpieczna. Deerbaum może poruszyć niebo i ziemię, ale nie przyspieszy lotu i nie wyląduje w Nowym Jorku wcześniej niż za parę godzin, a do Denver dotrze dopiero jutro. Nie wiadomo, kiedy zabójca zorientuje się, że śmierć Jacka nie zatrzyma dochodzenia.

Zapukał do drzwi. Otworzyła mu rozpromieniona Annie.

– Jack, nie zgadniesz, kogo tu mamy! – Złapała go za ramię. – Chodź, zobacz.

Przez chwilę myślał, że promienna twarz Annie przeznaczona jest dla niego.

– Mel Gibson? – zapytał, siląc się na lekkość. – A może ten drugi, Brad... coś tam.

– Jeszcze lepiej. – Wciągnęła go do środka. – Patrz.

W drzwiach stał szczupły, ciemnowłosy mężczyzna o czujnych szarych oczach – Duncan McClain, środkowy z braci. Nie był krzepki jak Ben, ani tak żywy i ruchliwy jak Charlie, natomiast biła od niego jakaś wewnętrzna siła.

– Miło cię znowu widzieć – powitał go Jack.

Duncan kiwnął głową. Rzadko używał dwóch słów, skoro jedno mogło wystarczyć, lub jednego słowa, gdy kiwnięciem głową albo spojrzeniem można było wszystko wyrazić.

– Annie zrelacjonowała mi twoją sytuację. Rozumiem, że chcesz wynająć prywatnego detektywa. Masz już kogoś?

– Jeszcze nie.

– Jeżeli nie musisz już jechać, mogę ci kogoś załatwić. Kogoś dobrego.

Nie po raz pierwszy Jack zastanawiał się, co Duncan robi w Służbach Specjalnych. Jak na żołnierza niewysokiej rangi, miał zastanawiające znajomości.

– Chętnie skorzystam.

Duncan kiwnął głową i natychmiast skierował się do kuchni, gdzie stał aparat telefoniczny. Annie ruszyła za nim, ale Jack ją zatrzymał.

– Annie, czy chcesz tu tkwić cały dzień, do końca wizyty Duncana?

Potrząsnęła głową.

– Nie, chcę, żeby twój napastnik nie mógł cię znaleźć. Chcę, żebyś był bezpieczny.

Cała Annie! W ogóle nie brała pod uwagę własnego bezpieczeństwa. Mruknął coś w odpowiedzi, ale nie miał głowy do dalszej rozmowy. Myślał o rodzinie. Zaplanował, że zabierze Annie daleko od jej rodziny, od jej domu, a co daje jej w zamian? Przyjaźń. Seks. Szansę zmierzenia się z jej lękami i – może, ale tylko może – ponownego odkrycia jej dawnego marzenia. Być może znowu zapragnie podróżyć, zwiedzać świat. I to wszystko jest ważne, pomyślał, wchodząc razem z nią do nieco zabałaganionej i jak zawsze przytulnej kuchni McClainów. Ale to wszystko ona już ma – trwałą, solidną rodzinę i ten rodzaj więzi, których Jack nigdy nie miał i których nie może jej dać.

Zatrzymanie Annie przy sobie było słuszne z jego punktu widzenia. Co do tego nie miał wątpliwości. W jakiś sposób musi sprawić, żeby to również było dobre dla niej.

Detektyw, do którego posłał ich Duncan, z pewnością

w niczym nie przypominał nowoczesnego rewolwerowca, stwierdziła z przykrością Annie, kiedy wprowadzono ich do jego biura. Ze świecąiącą łysą czaszką i okrągłymi okularami Harold Straight bardziej przypominał księgowego. Jego biuro – z rzędami biurowych szafek na kartoteki i sprzętem komputerowym – także pasowałoby do księgowego. W każdym razie do księgowego, który odniósł sukces. Fotele, na których usiedli, były ze skóry. Szafki, podobnie jak biurko, wykonano z ręcznie wypolerowanej wiśni, zaś sprzęt komputerowy wyglądał na najnowocześniejszą, najbardziej wyrafinowaną generację.

Jack nakreślił w ogólnych zarysach sytuację. Po zadaniu kilku pytań, detektyw rozparł się w fotelu i powiedział:

– Skłonny jestem się zgodzić, że motywem tej zbrodni są pieniądze. Mam pewne podejrzenie, ale wolałbym dysponować pełną informacją na temat tego, kto w głównej siedzibie MPRB ma dostęp do dokumentacji i mógł sfabrykować fałszywe dokumenty przesyłkowe. Jednakże uzyskanie takich dokumentów będzie kosztowne. Nie każdą informację można zdobyć oficjalnymi kanałami.

– Mam pieniądze ze spadku. Nie sądzę, żebym je mógł lepiej spożytkować.

Na takie dictum oczy za okrągłymi okularami nabrały blasku.

– Kogo pan podejrzewa? – zapytał Jack.

– Leah Pasternak. Prawie na pewno jest w to w jakiś sposób zamieszana.

– Założę się, że to ona napisała do mnie anonim – wtrąciła Annie.

– Niewykluczone. W takich sytuacjach warto zawsze przyjrzeć się rezultatom działania, a także dowiedzieć się, kto na tym skorzystał. Moim zdaniem, w tym przypadku chodziło o ściągnięcie pana Merrimana do Stanów. Przypuszczalnie osoba, która napisała ów list, sądziła, że gdy pan

Merriman znajdzie się w kraju, zaniecha dalszego dochodzenia. A zatem moje kolejne pytanie brzmi: czy Leah Pasternak miała dostęp do dokumentów przewozowych?

– Tak – odparł Jack – ale Leah nie jest aż tak bystra, żeby je zamienić i nie zostawić śladu.

– A czy mężczyzna, który umarł, ów Metz, nie miał wystarczającej wiedzy, żeby ją poinstruować?

– Tego nie jestem pewny. Niewiele wiem o jego przeszłości, ale mogę sobie wyobrazić Leah jako współniczkę Metza, biorąc pod uwagę jej moralność, natomiast jej inteligencja pozostawia wiele do życzenia.

– Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z przestępcą o wysokich kwalifikacjach. Gdyby Metz był w stanie nauczyć współnika fałszować dokumenty wysyłkowe, nie potrzebowaliby do tego wielkiego fachowca. Jedno, co mnie pociesza w tej sprawie, to niefachowy i raczej partacki charakter ostatniego napadu na pana, panie Merriman. Gdyby wynajęto prawdziwego zawodowca, pewnie by pan już nie żył. Podejrzewam, że Leah Pasternak zatrudniła bandytę z pewnym doświadczeniem w rozbojach i aktach przemocy, ale nie był to fachowiec w tej robocie. Jej wizyta u pana w motelu potwierdza tę teorię. Nie ulega wątpliwości, że chciała sprawdzić, czy i co pamięta pan z tego napadu.

Annie odczuła głęboką ulgę.

– Więc pan naprawdę uważa, że Leah może stać za tym? – Już sam fakt, że Leah jest wyrachowana i występna, czyni ją dostatecznie niebezpieczną, ale jeżeli była jedną z osób, które próbowały zabić Jacka, Annie nie wątpiła, że ten pedantyczny i kompetentny detektyw udowodni to i będzie można ją aresztować. – A co sądzi pan o tym pierwszym ataku na życie Jacka... tam, za oceanem?

– Niewykluczone, że w ten sposób, tak jak zresztą pierwotnie przypuszczał pan Merriman, ludzie z czarnego rynku chcieli go postraszyć. Uważam jednak, że nie

powinien pan tego bagatelizować. Zwłaszcza dopóki nie poznamy wszystkich faktów.

Wszystko, co jeszcze mówił, było bardzo sensowne. Dopiero na koniec, kiedy z Annie opadł strach, uświadomiła sobie, jak bardzo się bała. Prawie ich nie słuchała, kiedy uzgadniali wysokość zaliczki i kiedy Jack wypisywał czek. Krążyła myślami wokół pobytu z Jackiem w górskiej chacie. Tylko oni dwoje, zaszyci gdzieś, gdzie nikt ich nie będzie mógł znaleźć.

– Czy Jack nie powinien mieć ochroniarza? W tej chacie w górach? – zapytała.

– Owszem, zalecałbym – odparł pan Straight. – Choć nie przewiduję żadnych problemów, ostrożność nie zawadzi. Niestety, człowiek, którego używam do tego rodzaju zadań, będzie wolny dopiero jutro po południu.

Annie napotkała wzrok Jacka. Nie powinni być tam sami, ale odłożenie obecności obcego człowieka o jeden dzień wydało się jej aż nadto kuszące.

– Ja, hm... świetnie, niech będzie jutro.

Zmierzchało, kiedy późnym popołudniem, jadąc w strugach deszczu, zjechali z głównej szosy na wąską wyżwirowaną drogę. Półgodzinne telepanie się po wybojach, grzęźnięcie w koleinach, a często jazda zygzakiem przywiodły ich do stoku góry.

– Założę się, że w zimie można się tutaj poruszać tylko specjalnym pojazdem – powiedziała Annie. – Ta droga jest okropna.

– Owszem. Pewnie ci, którzy tu mieszkają, bardziej sobie cenią prywatność niż wygodę. Taka droga na pewno zniechęca przypadkowych turystów.

– Wobec tego Deerbaum musi mieć fioła na punkcie prywatności. Nie widziałam żadnego domu co najmniej od dziesięciu minut. A nie przejechaliśmy już tej jego chaty?

– Powiedział, że nie sposób jej przeoczyć. Oczywiście, ludzie zawsze mówią... hej, popatrz tam! – zawołał, biorąc kolejny wąski zakręt. – Miał rację. Tego rzeczywiście nie sposób nie zauważyć.

Droga urwała się u podnóża klifu. Przyklejona do jego ściany, wznosiła się „chata” Deerbauma – modernistyczna, schodkowa konstrukcja z ogromną ilością szkła. To nie był dom, który wtapiałby się w krajobraz. To była arogancka budowla, piękna, ale stworzona z potrzeby dominowania.

– Nie nazwałabym tego chatą. Chyba tylko w takim znaczeniu, w jakim rodzina Kennedych nazywa swoje lotnisko plażowym domkiem.

Jack wjechał na kolisty podjazd. Żółte światło lampy przy wejściu, zostawione przez dozorcę, padało na terakotowe kafelki tarasu, gdzie foteliki z kutego żelaza zachęcały przybyszów do rozgoszczenia się. Jednak sam dom wywarł na Annie raczej niemiłe wrażenie.

– Przynajmniej możemy być pewni, że nikt nas tutaj nie znajdzie, prawda, Jack?

– Raczej nie – przyznał jej rację, przechodząc na tył samochodu po bagaż.

Wysiadła i rozejrzała się dokoła. Może dom nie był w jej guście, ale w świetle dnia jego usytuowanie musi być fantastyczne. Może zjedzą śniadanie na tarasie? Zachłysłęła się powietrzem, wdychając zapach sosny i ozonu po niedawnym deszczu. Górskie powietrze, pomyślała radośnie, ma swój własny, specyficzny zapach.

– Wybierzemy się jutro rano na wspinaczkę?

Jack uniósł obie brwi naraz.

– Musisz mieć fatalne wyobrażenie o tym, czym jest miesiąc miodowy!

Annie zaczerwieniła się. Aż za dobrze to sobie wyobrażała i to ją złościło.

– Nie możemy tego robić przez cały czas.

– Chcesz się założyć? – Postawił na ziemi walizki i pod wycieraczką wymacał klucze, zostawione dla nich przez dozorcę.

– Założyć? Chyba nie – mruknęła, sięgając po torbę z prowiantem, leżącą na tylnym siedzeniu. Dozorca miał zaopatrzyć dom we wszystko, mimo tego kupili trochę żywności w pobliskim miasteczku. – Pomyśl, jaka bym była rozczarowana, gdybym wygrała.

– Co? Nie dosłyszałem. – Jack postawił walizki obok otwartych frontowych drzwi. Po jego niewinnym wyrazie twarzy poznała, że usłyszał ją doskonale.

– Powiedziałam, że wygrałam rzut monetą i przygotowanie kolacji wypadło na ciebie.

– Zabawne. Nie przypominam sobie, żebym rzucał monetą. – Podeszedł i wyjął z jej rąk torby z zakupami, po czym odstawił je na ziemię i podniósł ją do góry. – Pomyślałem, że powinienem przenieść pannę młodą przez próg.

– Zdaje się, że powinno się to robić po powrocie do domu z miesiąca miodowego. – Objęła go za szyję. – Ale sądzę, że możemy zacząć już ćwiczyć.

– Próg to próg, nieważne, że w cudzym domu. – Wszedł do środka, trzymając Annie na rękach.

Objęła go mocniej za szyję. Chciała powiedzieć: Jack, kocham cię. Jednak nic nie powiedziała, tylko przykleiła uśmiech na twarz i wymknęła się z jego ramion. Stała, rozglądając się dookoła.

– Popatrz, tu jest kominek.

– Kominki nie są czymś wyjątkowym w górskich chatach – zauważył. – Nawet w takich chatach jak ta. Czy coś nie gra, Annie?

– Dlaczego? Po prostu ucieszył mnie jego widok. Hmm, miałam pewną fantazję w związku z kominkiem.

– Ale nie widzę przed nim niedźwiedziej skóry – powiedział Jack, błyskając w uśmiechu zębami.

– I dzięki Bogu. Po tym, co opowiadałeś o myśliwskich trofeach Deerbauma, bałam się, że zastaniemy tu pełno wypchanych, prehistorycznych zwierząt.

– Mnie też ulżyło. Wyobrażasz sobie łosia amerykańskiego, spoglądającego na nas ze ściany? Przeróżające!

– Coś ci powiem. Podczas gdy ty będziesz przygotowywał kolację...

– Mogłabyś mi przypomnieć, kiedy rzucaliśmy tą monetą?

– Zrobiłam to za ciebie – zapewniła go. – Pomyślałam, że mogłabym wziąć gorącą kąpiel i przebrać się w coś wygodnego, gdy ty będziesz zajęty robieniem kolacji.

– Dla mnie wyglądasz bardzo dobrze. Tylko masz na sobie trochę za dużo ubrań.

– Jack, chciałabym, abyśmy udawali, że to nasza prawdziwa noc poślubna i robili to... co nakazuje tradycja.

– Masz na myśli pannę młodą siedzącą godzinami w łazience, podczas kiedy biedny pan młody krąży niespokojnie w sypialni? A potem wyjdiesz w jednej z tych sutych, koronkowych koszul, które wszystko zakrywają?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Coś w tym rodzaju, poza tym, że nie mam fikuśnej nocnej bielizny. Zabrakło czasu na kupienie.

– Nie szkodzi. Przyjdź na kolację rozebrana. Przygotuję kanapki, jeżeli obiecasz, że nie będziesz za długo siedzieć w wannie. Będziemy jedli przed kominkiem na dywanie. Niestety, nie jest to skóra niedźwiedzia, ale ty i tak opowiesz mi o swojej fantazji.

Zdenerwowała się, ponieważ znów się zaczerwieniła.

– Jeszcze zobaczymy. Hm... mógłbyś zadzwonić do Bena? Chciał wiedzieć, jak dojechaliśmy. W normalnej sytuacji nie ulegałabym jego kaprysom, ale po tym wszystkim, co się stało, myślę, że ma prawo trochę się niepokoić.

Annie czymś się martwi. Widział to wyraźnie, nawet jeżeli nie znał przyczyny. Prawdopodobnie chodzi o to, co zwykle, pomyślał ponuro, odkładając resztkę szynki, jaka została po ukrojeniu kilku plastrów na kanapki. Nie chce opuszczać Highpoint. Ale i tak posunął się naprzód. Jest tu dzisiaj z nim. Na górze, pomyślał, podnosząc oczy, jak gdyby mógł przeniknąć wzrokiem ściany i zajrzeć do luksusowej łazienki, gdzie właśnie zanurzyła się – naga i wilgotna, i pewnie zaróżowiona z powodu panującego tam ciepła...

Uśmiechnął się. Annie miała rację, nalegając na zachowanie tradycji. Jest coś podniecającego w oczekiwaniu na pannę młodą, odbywającą kobiecy rytuał przygotowywania się do spędzenia nocy z mężczyzną.

Postawił na czarnej tacy z laki talerze i kieliszki na wino, wziął korkociąg, wsunął butelkę cabernet sauvignon pod jedną pachę i małą papierową torebkę pod drugą.

Pożyczony pistolet wetknął za pasek dżinsów.

Salon o tej wieczornej porze nie wyglądał ani wesoło, ani przytulnie. Wszystkie ściany były szklane, przez co Jack poczuł się trochę jak na wystawie sklepowej, choć przecież wiedział, że dom stoi na takim bezludziu, iż nikt nie zajrzy do środka. Za to w dzień widok stąd musi być piękny, pomyślał, stawiając tacę w pobliżu kominka. Jednak dzisiaj jedynym interesującym widokiem będzie ten z podwójnego łóżka w sypialni, gdzie wstawił walizki.

Znalazł drewno w brezentowym nosidle i szczapy na podpałkę w mosiężnej skrzyneczce obok. Ukląkł i przygotował wszystko do zapalenia w kominku, obrzucając korą i ścinkami drewna stos bierwion, po czym zamknął drzwiczki z hartowanego szkła i rozejrzał się dookoła. Chciał, żeby wszystko było jak należy. Żadnego światła, uznał, i ruszył, żeby je zgasić. Wystarczy ogień z kominka.

Zgarnął kilka poduszek z dwóch dużych sof i ułożył je kusząco na grubym dywanie przed kominkiem, następnie

otworzył torebkę, którą przyniósł razem z kolacją. Zajęło mu chwilę znalezienie dyskretnego miejsca na położenie pudełka z kondomami, które wyjął z torebki, w końcu wetknął je za jedną z największych poduszek. Fantazja prosi się o odrobinę subtelności. Wsunął pistolet pod sofę, a następnie powiódł wzrokiem po zaaranżowanym przez siebie miejscu i z zadowoleniem pokiwał głową. Bierwiona chwyciły już ogień. Jego wzrok padł na elegancki, srebrzysty telefon na najbliższym stoliku. Może jednak zatelefonuje już teraz do Bena, żeby ten nie zadzwonił do nich w najmniej odpowiednim momencie. Podniósł słuchawkę.

Telefon był głuchy.

Łazienka była nagrzana i zaparowana. Annie upięła włosy na czubku głowy, żeby ich nie zamoczyć podczas namydlenia się i leżenia w wodzie. W wilgotnym powietrzu kilka luźnych kosmyków zakręciło się w zalotne loczki. Łaskotały ją w policzki, kiedy się pochylała i smarowała mleczkiem nogi. Wyprostowała się i położyła rękę na brzuchu. Nerwy, jak oszalałe, dawały o sobie znać. Przecież to śmieszne. Wszystko, co robiła, wydawało się takie znaczące i uroczyste, jakby za chwilę miała powziąć nieodwołalną decyzję, która na zawsze odmieni jej życie. To nic, że przysięga ślubna została złożona dawno temu w Las Vegas, a małżeństwo skonsumowane ostatniej nocy. Dzisiaj znacznie bardziej czuła się jak panna młoda.

Wciągnęła przez głowę koszulę nocną. Była z miękkiej bawełnianej dzianiny, w żywym turkusowym kolorze. Miała szeroki dekolt na gumce, rękawy lekko bufiaste z tendencją do zsuwania się z ramion. Wyglądała prawie jak letnia sukienka, ale i tak była bardziej seksowna niż sportowa bluza i ocieplane legginsy, w czym zwykła sypiać o tej porze roku.

Na drzwiach łazienki zostawiła szlafrok. Nie będzie jej potrzebny tego wieczoru.

Usłyszał ją w tej samej chwili, kiedy odłożył słuchawkę.

A może ją wyczuł – łagodne mrowienie pod skórą, chemiczna zmiana w powietrzu, które wdychał? Jakkolwiek było, wiedział, że Annie jest blisko. Odwrócił się.

Stała w ostrołukowo sklepionym przejściu. Długa koszula nocna wydawała się jaskrawa jak słoneczne turkusowe morze. Światło z holu padało na nią od tyłu, akcentując szczupłą sylwetkę spowitą w ten morski kolor.

Odjęło mu dech. Głos, którym przemówił, był ochryply z wrażenia.

– Annie...

Jej uśmiech był słodki i odrobinę nieśmiały – uśmiech panny młodej.

Jack poderwał się na nogi. W tej chwili była bardziej fantazją niż rzeczywistością, zwiewnym duchem zrodzonym z tęsknoty. Wyciągnął po nią rękę. Gdy podała mu swoją, stała się realna.

– Czy to przypomina twoją fantazję?

– Jest nawet lepiej. Znacznie lepiej. Bo to jest realne.

– Serce waliło mu tak, jakby już rozpalili w sobie żar namiętności. Tymczasem trzymał tylko jej rękę. – Chciałem, żeby wszystko było poprawne i doskonałe, Annie. Chcę tego dla ciebie.

– Skoro nie udało się za pierwszym razem, nie zaszkodzi jeszcze raz spróbować – powiedziała z figlarną miną.

– A potem jeszcze raz. – Schylił się i musnął ustami jej wargi. – I jeszcze raz. – Przez następne czterdzieści albo pięćdziesiąt lat... Przeraził się własną śmiałością i gwałtownie wyprostował.

– Nie wypada mieć takiej kwaśnej miny w sekundę po pocałowaniu mnie – szepnęła z wyrzutem.

– Przepraszam. – Nie potrafił opisać tego szczególnego

uczucia, które go ogarnęło na myśl o spędzeniu z nią reszty życia, więc zaczął mówić o czymś, co go zaniepokoiło. – Przed chwilą próbowałem zadzwonić do twojego brata. Telefon jest głuchy.

– Tuż przed naszym przyjazdem była burza. Podejrzewam, że mogły gdzieś wysiąść kable...

– Więc pewnie niepotrzebnie się niepokoję, ale nie lubię takiej sytuacji.

– Mój przewrażliwiony i nadopiekuńczy braciszek namówił mnie, żebym wzięła ze sobą komórkę.

Skrzywił się lekko.

– Czy to znaczy, że należy się spodziewać telefonu Bena, jeżeli wcześniej nie uda nam się z nim połączyć?

Znowu jej oczy popatrzyły figlarnie.

– Chyba, że ją włączę.

– Więc lepiej to zrób – znów musnął jej wargi – ale później.

Dotykając ustami jej warg, próbował podążyć przez chwilę za cieniem rzucanym przez ogień, do czasu aż namiętność porwie ich oboje. Ale Annie objęła go ramionami, przywarła do niego, i wzmogła głód. Powoli, nakazał sobie, powoli, i ujął w dłonie jej twarz, delektując się miękkością jej włosów. A kiedy rozchyliła wargi, zalała go falą pożądania. Pogłębił pocałunek.

– Jack! – zawołała podniecona.

Czuł wszystko, ale panował nad sobą. Zdobył się na uśmiech.

– Powiedziałem, żebyś zeszła na kolację rozebrana.

Uniosła brwi. Harde spojrzenie ślicznie współgrało z jej zaróżowionymi policzkami.

– Chcesz jeść teraz kolację?

– No cóż... może nie kolację. – Gwałtownym ruchem ściągnął z niej koszulę i objął dłońmi jej piersi, pocierając kciukami sutki. Zadrżała. – Jakaś ty piękna, Annie.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie uwierzysz, jaki pomysł przyszedł mi do głowy, ale gdybyś widziała to, co ja widzę... – Przesunął ręce i objął ją w pasie. – Zmierziłem ci włosy, masz pociemniałe i tajemnicze oczy, a twoja skóra jest taka aksamitna. I jesteś taka rozpalona od ognia...

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Jestem rozpalona, ale nie od ognia – powiedziała cichutko i sięgnęła do jego koszuli. – Dlaczego zawsze muszę ci zwracać uwagę, że masz na sobie za dużo ubrania?

Kiedy jej palce zaczęły rozpinać guziki, pożądanie stało się prawie niemożliwe do zniesienia. Nie spieszył się, upomniał siebie.

– Jestem łakomym i niecierpliwym mężczyzną. Nie mam czasu rozebrać się. – Nachylił się i znów przywarł do jej ust.

Jak dobrze! Opuścił się razem z nią na dywan. Ułożony przez niego stos poduszek był miękki i nagrany od ognia, ale nie taki gorący jak ciało Annie.

Gdy ściągnął z siebie koszulę, dotykała go rękami po całym ciele, doprowadzając niemal do szaleństwa.

Było oczywiste, że Annie go pragnie. Jego przezorna Annie rwie się do niego i bez namysłu rzuca się w płomień namiętności, a ile życia tkwi w tym drobnym ciele, przesyconym pożądaniem! Jack szybko stracił ubranie, koszulę i spodnie. Pozostał tylko dotyk jej rąk, jedwabistość jej ud, piżmowy, jej osobisty zapach w miejscu, gdzie przywarł ustami. Pobudzał ją szybko i ostro, ustami i rękami. Kiedy jej krzyk przeszył powietrze, a jej ciało poderwało się i zadrżało, kiedy był nią tak przepelniony, że nie mógł czekać ani chwili dłużej, uniósł do góry jej ciało. Jednym szybkim, pewnym ruchem wszedł w nią.

– Annie.

– Jack... – zachłysnęła się. – Och, Jack! Tak strasznie cię kocham!

Zamarł. Nie mógł się ruszyć, nie mógł dobyć głosu, nie mógł myśleć.

Jej oczy błyszczały, a potem zacisnęła powieki aż do bólu i chwyciła go za ramiona.

– Cholera – wyszeptała i równocześnie uniosła biodra. Jęknął, a jej ciało przejęło inicjatywę.

Ogień liznął drewno i strzelił. Bierwiona przesunęły się, sypiąc iskrami. Annie wpatrywała się w palenisko. Oczy miała suche, a serce zbolełe. Jack leżał obok, z ręką obejmującą jej talię, z czołem przytkniętym do jej pleców. Nie odezwał się, odkąd wypowiedział jej imię... na krótko przed tym, gdy mu powiedziała, że go kocha.

Bóg świadkiem, że nie zamierzała tego powiedzieć. Nie, trzymała te słowa w sobie, bojąc się jego reakcji. Co on teraz czuje? Strach? Panikę? Czy może przerażenie? Oby nie litość. To by było najgorsze.

Milczenie między nimi ciążyło coraz bardziej, gdy tymczasem ogień trząskał i syczał. Zadrżała.

– Zimno ci? – zapytał Jack.

Pokręciła głową.

– Jesteś przeraźliwie spokojna.

– Już i tak za dużo powiedziałam, czyż nie? – Nagle poczuła złość. Przekręciła się na plecy, żeby móc go widzieć. – Nie cofnę tych słów ani nie będę udawać, że ich nie powiedziałam.

– Nie prosiłem cię o to.

– Nie, ale prosisz, żebym ich nie mówiła, prawda? – Usiadła, odgarnęła włosy z twarzy. – Nie na głos. Ale po tym wszystkim, co powiedziałeś na temat miłości, czego chcesz, a czego nie chcesz w naszym małżeństwie, stałe kazałeś mi milczeć o moich uczuciach.

– Chciałem uniknąć tego, co właśnie teraz ma miejsce. Nie chciałem cię zranić. – Także usiadł.

Podniosła wysoko podbródek, podparła go obiema rękami.

– Więc wiesz, że cię kocham. Tylko nie chcesz, żebym ci to mówiła.

– Ja nie myślę... w tych kategoriach.

– Chcesz powiedzieć, że nawet w myślach unikasz tego słowa?

– Miałem cichą nadzieję, iż nie wpadniesz w tę pułapkę. Romantyczna miłość zdarza się tylko w bajkach. A to skłania ludzi do szukania czegoś, co nie istnieje, oddalając ich jednocześnie od tego, co mają naprawdę. Oczywiście, nie chcę, żeby tak było z tobą. Niepokoję się o ciebie.

– Niepokoisz się o mnie? – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Bo uważasz, że nie wiem, na czym polega różnica między rzeczywistością i fantazją? – Chwyciła nocną koszulę, wciągnęła ją przez głowę i zerwała się z podłogi. – Wiesz, co ci powiem? Mylisz się. Kocham cię i to nie ma nic wspólnego z fantazją, ponieważ gdybym podążała za jakimś snem, mogłabym z pewnością wymyślić coś lepszego!

Zasępił się. Wstał, ale nie zadał sobie trudu, żeby sięgnąć po ubranie.

– Czy będziemy przerabiać na nowo to, co miało miejsce w noc poślubną, kiedy powiedziałaś, jak bardzo żałujesz, że za mnie wysłaś?

– Nie o to chodzi. Jack, jeśli uważasz, że miłość nie istnieje, to dlaczego słowa miłości tak cię dręczą? Czyżbyś był przerażony czymś, co nie jest realne?

– Wystarczy to, co dzieje się teraz! Jesteś zraniona i zła, a dlaczego? Ponieważ uważasz, że powinniśmy mieć coś więcej, niż mamy, podczas gdy to, co mamy, jest doskonałe.

– Jestem zła, bo nie chcesz, żebym cię kochała! A nie

dlatego, że ty mnie nie kochasz. To by było zbyt piękne, ale... – Zamrugła szybko, żeby powstrzymać łzy. – Nie będę cenzurować moich uczuć, żeby ci się przypodobać.

Znów w jego oczach pojawił się chłód.

– Okej, Annie. Umówmy się, że ta miłość jest realnym uczuciem. Od kiedy jesteś we mnie zakochana?

– Ja... – Przełknęła. – Od lat, jak sędzę.

– A więc kochałaś mnie wtedy, kiedy pozbyłaś się mnie w naszą noc poślubną. I ty chcesz, żebym szanował takie uczucie? Nie chcę mieć nic wspólnego z uczuciem, na którym nie można polegać.

Annie wytrzeszczyła na niego oczy. Nagle zrozumiała.

– Chcesz się czuć bezpieczny – wyszeptła. – A ja sądziłam, że to tylko ja boję się ryzyka. Tymczasem ty śmiertelnie boisz się miłości. Chcesz jej, ale ilekroć wyciągasz po nią rękę, zaczynasz się bać i uciekasz.

Miał nieprzeniknioną twarz.

– Sama nie wiesz, co mówisz.

– Przez cały czas uważałam, że odrzuciłeś wszystko, co miało związek z twoją ciotką. A tymczasem jesteś taki jak ona... nie ufasz głębszym uczuciom.

– Powiedziałeś już swoje. Wystarczy, Annie.

– Nawet nie chcesz przyjąć do wiadomości, że zależało ci na niej, że opłakujesz jej śmierć. Tak jak ona nigdy nie przyznała się, że zależyła na tobie.

Chwyił dzinsy i wciągnął je, po czym włożył koszulę. Sięgnął po buty i skarpetki.

– Jeszcze chwila, a zaczniemy się bić. Wrócę, kiedy oboje ochłoniemy.

Tak samo zachował się w ich noc poślubną. Wyszedł, gdy ich sprzeczka przybrała zbyt ostry charakter.

– Nie użyłeś kondomu... Co zrobisz, jeżeli zajdę w ciążę? Czy również uciekniesz? Może będziesz mi dawał trochę pieniędzy i trzymał się z daleka, jak mój ojciec?

Zamarł z ręką na klamce drzwi. Po chwili jednak wyszedł.

Jeszcze przez długi czas Annie wpatrywała się w zamknięte drzwi. Nie słyszała odjeżdżającego bronco, co znaczyło, że poszedł pieszo. Wolał to od stawienia czoła jej uczuciom czy swoim własnym.

Usiadła na dywanie, na którym jeszcze nie tak dawno się kochali, przyciągnęła kolana do piersi i oparła na nich głowę. Wpatrywała się w ogień i rozmyślała o kompromisie i poświęceniu. Klucz do zrozumienia tego leżał, jej zdaniem, w różnicy między „chcę” i „potrzebuję”.

Opuszczenie Highpoint było poświęceniem. Kochała swój rodzinny dom i chciała w nim zostać, ale nie potrzebowała tego tak, jak Jack potrzebował urozmaicenia i wyzwania w swojej pracy. Podróżowanie z nim po świecie nie byłoby z jej strony poświęceniem. Może nawet polubiłaby to, gdyby do tego przywykła.

Ale poświęcenie... tak, teraz zrozumiała, czym ono jest. Poświęcenie oznacza wtłoczenie w pewne ramy, które człowiekowi nie odpowiadają. Nadal pozostanie Annie, niezależnie od tego, czy Jack będzie w Timbuktu czy w Denver, czy też w malutkiej wiosce w Andach. Ale nie byłaby sobą, gdyby utrzymywała, że nie kocha Jacka Merimana.

Tego nie potrafiłaby zrobić.

Nawet gdyby kochanie Jacka oddaliło go od niej.

Jest idiotą.

Tylko idiota może wybrać nieznaną leśną ścieżkę w górach, w nocy i bez latarki. Przez pierwsze minuty biegł na oślep, ale kiedy się zorientował, że ścieżka oddala się od drogi, pozwolił, by nogi poniosły go dalej.

Tylko idiota wypada z domu o tej porze roku bez kurtki. Wprawdzie, jak na noc w górach, było dość ciepło, chyba około czterech stopni, ale... i tak był idiotą.

Z jednej strony miał ścianę drzew – sosen i świerków, niewidocznych w tę bezksiężycową noc, poza tym, że było tam ciemniej. Igły na ścieżce tworzyły pod nogami miękką gąbkę. Gałęzie, mokre po deszczu, ociekały wodą i moczyły mu koszulę, kiedy się o nie ocierał. Patrząc w głąb, nie sposób było się zorientować, dokąd ta ścieżka prowadzi.

Tylko idiota mógł sprawić przykrość Annie.

Potknął się i stanął.

Był taki pewny, że wie, co jest najlepsze dla nich obojga. Taki pewny, i tak zaślepiony własnym egoizmem. Annie potrzebuje miłości. Jack wpatrywał się w otaczającą go ciemność i czuł, że w nim samym tkwi coś podobnie mrocznego. Powiedziała, że chce mieć tylko nieograniczoną swobodę kochania go, mówienia o tym. Może i tak. Ale zasługuje na więcej. Zasługuje na wzajemność.

Jeżeli nie może jej tego dać, nie zasługuje na to, żeby ją zatrzymywać.

Ale jak może dać jej coś, co nie istnieje? A gdyby nawet... daleko mu było do pochwycenia tych migoczących iskerek nad jego głową. Wiedział, że miłość opiera się na niemożliwych do spełnienia mrzonkach, za którymi jego matka uganiała się przez całe życie. Jak może ofiarować Annie coś, co znał tylko z upiornych strzępów cudzego marzenia?

Annie uważa, że miłość jest realna. Jeżeli ona ma rację – jeżeli miłość naprawdę istnieje jako coś więcej niż marzenie – to uczucie to istnieje jedynie w Annie.

„Śmiertelnie boisz się miłości. Chcesz jej, ale ilekroć wyciągasz po nią rękę, zaczynasz się bać i uciekasz”.

I rzeczywiście uciekł tym razem, nie przeczy.

Stał teraz nieruchomo w mokrym lesie i wsłuchiwał się w wiatr, od którego drżały gałązki drzew. On także drżał. Musi się ruszać, żeby nie zmarznąć.

Spojrzał do góry.

Gwiazdy były zimne, jaskrawe i mikroskopijne.

Piegi Pana Boga, tak nazywała je Annie. Przeciwnieństwo ludzkich piegów, powiedziała, ponieważ, żeby je zobaczyć, musi być ciemno.

Zmrużył oczy, prawie je zamknął. Gdziekolwiek spojrział, gdziekolwiek się znajdował, jakaś część Annie zawsze z nim była.

Czy człowiek, który nie wierzy w miłość, może nauczyć się kochać?

Nie. Nie, wciąż chował się przed prawdą. Prawdziwe pytanie – jedyne, od którego dostawał skurczu żołądka, przed którym gwałtownie cofała się jego myśl – powinno brzmieć, czy miłość jest możliwa w przypadku człowieka, który boi się jej śmiertelnie.

Może... gdyby po prostu nic nie robił i trwał na tyle długo, by dosięgła go miłość Annie, może nauczyłby się odbijać to uczucie jak w zwierciadle. Może gdyby Annie była cierpliwa, gdyby dała mu czas...

Obudziła się w nim pierwsza isierka nadziei.

Jack zawrócił. Zrobił krok, kiedy usłyszał jakiś dźwięk. Głos kobiety. Annie? Nie, głos docierał z innej strony, gdzieś z dala.

Między drzewami zamigotało światło – latarka, skonstatował. Potem usłyszał głos mężczyzny, jeszcze dosyć daleki, ale na tyle głośny, że niósł się po lesie. Donośny, znieczierpliwiony głos. Głos, który Jack znał.

– Przestań zrzędzić. Już niedaleko.

– Nie rozumiem, dlaczego... nie mogliśmy... podjechać bliżej.

– Bo nie chcemy, żeby ten pieprzony samochód stał na widoku, a jedynym sposobem, żeby podjechać bliżej, byłoby zaparkowanie go na drodze, która prowadzi do mojej chaty.

Deerbaum! To był Amos Deerbaum! Szedł ciemną ścieżką, prowadzącą do jego domu, podczas gdy powinien

być teraz w Nowym Jorku. Deerbaum, który nie chce, żeby widziano jego samochód, więc zaparkował go gdzie indziej i wędruje teraz przez las, żeby dotrzeć do chaty... A kobieta, która jest z nim...

– No, a teraz trzeba się wlec... przez ten okropny las – powiedziała piskliwie.

Tą kobietą jest Leah.

Szybko i najciszej jak można, Jack zaczął biec. Z powrotem. Do domu. Do Annie.

Rozdział trzynasty

Annie wcisnęła się w róg sofy i przykryła szlafrokiem. Ogień dogasał, a jej było zimno, bardzo zimno. Gdzie jest teraz Jack? Czy zamknął drzwi na klucz, kiedy wychodził?

Odpowiedź na jej pytania pojawiła się już po chwili. Usłyszała rumor otwieranych drzwi i wpadł przez nie Jack. Schylił się i jedną ręką sięgnął po coś pod sofą, a drugą złapał ją za rękę.

– Chodź. Oni są niedaleko.

– Oni...? Jacy oni?

– Deerbaum i Leah. Usłyszałem ich, kiedy potknąłem się, oni mnie też usłyszeli. Musimy dostać się do samochodu przed nimi. – Pociągnął ją w stronę drzwi. W prawej ręce trzymał pistolet Bena.

Annie nie wiedziała, co się dzieje, ale strach okazał się na tyle silnym bodźcem, że zmusił ją do biegu. Przebiegła na bosaka przez hol, następnie wylądowała na kafelkach tarasu, który pokonała w dwóch skokach, a potem rozległo się głośne krak! po którym nastąpiło głucho bum! Jack zatrzymał się tak nagle, że wpadła na niego. Popchnął ją z powrotem do domu, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Z pewnym opóźnieniem jej mózg przetworzył dźwięki: krak! – to gwint lufy. Bum! – świst kuli, trafiającej gdzieś przeraźliwie blisko.

Amos Deerbaum strzelał do nich!

– To go nie powstrzyma! Szybko! Musimy się odsunąć od tych okien! – Wbiegli z powrotem do holu, który prowadził do schodów. Było to jedyne miejsce nie mające szklanych, zewnętrznych ścian. Jack odwrócił się ku niej. Twarz miał skupioną i zawziętą. – Nie sprawdziłem domu, Annie. Nie wiem, gdzie są wyjścia. Widziałaś jakieś tylne drzwi? Boczne drzwi?

– Ja... ja nie myślę, żeby tu były jakieś tylne drzwi. W jadalni są przesuwane na rolkach drzwi, ale też wychodzą na frontową stronę domu. Jeżeli on jest na zewnątrz, zobaczy nas. – I strzeli do nich. Ścisnęło ją w żołądku, a serce jak szalone waliło ze strachu. – Jest jeszcze balkon. Na gorze, w sypialni. Ale nie wiem, gdzie moglibyśmy stamtąd uciec.

– Chodźmy. Może tam jest jakieś wyjście. Spróbujemy.

Dotarli do holu na pierwszym piętrze, gdy usłyszeli otwierające się z hukiem frontowe drzwi.

– Zostań na zewnątrz – rozległ się męski tubalny głos. – Pilnuj wejścia. Tylko, na miłość boską, popatrz, zanim naciśniesz spust. Nie schrzań roboty i przypadkiem nie zabij mnie.

Annie nie czekała na dalszy ciąg. Popędziła co tchu.

Sypialnia z balkonem znajdowała się w odległym narożniku domu. Nie paliły się tu żadne światła i Annie, wpadając do środka, zderzyła się z czymś, co stało tuż obok drzwi sypialni – była to masywna szafa.

– Doskonale – powiedział Jack, zamykając czym prędzej drzwi i przechodząc błyskawicznie na drugi koniec szafy. – Pomóż mi ją popchnąć. Zablokujemy tym drzwi.

Pospieszyła mu z pomocą, ale szafa była straszliwie ciężka. O, Boże, nigdy w życiu tego nie przesuną ani nie przewrócą. A Deerbaum jest tuż, tuż. Drugi bok szafy przesunął się o dwa centymetry... a teraz już o cztery centymetry. Jeszcze trochę. Pchała całą sobą, czuła wysiłek

Jacka obok, aż wreszcie szafa przewróciła się z łomotem i zablokowała drzwi.

Popędzili do rozsuwanych przeszklonych drzwi na przeciwną ścianę. Znowu usłyszeli strzał i posypały się drzazgi z drzwi, które właśnie zabarykadowali.

Jack wycelował pistolet w tamtym kierunku i oddał strzał. Rozległ się śmiech Deerbauma.

Annie rozsunęła drzwi. Balkon był mały i prowadził donikąd. Dom był zbudowany na skarpie, do ziemi mieli więc chyba dziesięć metrów, choć trudno było dokładniej rozemnać się w ciemnościach.

– Jeżeli nie damy rady zejść – powiedział Jack – wdramy się na górę.

Podał jej broń i usiadł okrakiem na balustradzie, cały czas lekko się chybocząc. Jedną ręką trzymał się ściany domu i wyginając do tyłu głowę, próbował zobaczyć dach. Krawędź znajdowała się w zasięgu ręki, ale nie było czego się złapać.

Głośne walnięcie w drzwi oznaczało próbę sforsowania ich przez Deerbauma i usunięcie z drogi szafy. Znowu ogłuszający strzał. Nie udało mu się przedostać przez drzwi, za to udało się kuli.

Jack zeskoczył z balustrady na balkon.

– Stań na moich ramionach, Annie – powiedział tak cichym głosem, żeby Deerbaum nie mógł usłyszeć. – To nie będzie zwykła wspinaczka, ale się uda.

Zorientowała się, do czego zmierza, i potrząsnęła głową.

– Dobry pomysł, tylko nie te ramiona. Podciągnę się na dach, stojąc na twoich ramionach, ale nie dam rady wciągnąć ciebie. Nie jestem na tyle silna. Idź pierwszy, a potem wciągnij mnie.

Zawahał się.

– Do licha, Jack, udźwignę twój ciężar przez parę sekund. Tylko się nie zatrzymuj, żeby podziwiać widok.

Kiwnął głową i wrócił na balustradę.

Annie odłożyła pistolet i ustawiła się równo z balustradą, opierając się o ścianę otwartymi dłońmi i rozstawiając nogi na szerokość ramion dla lepszej równowagi. Modliła się, żeby adrenalina pozwoliła jej zwiększyć siły, których w normalnej sytuacji nie wydobyłaby z siebie. Uda się, powtarzała sobie. Musi się udać.

– Gotowa? – zapytał szeptem.

Kiwnęła głową i wciągnęła powietrze.

Miażdżący ciężar ucisnął jedno ramię, potem drugie, po czym ustąpił. Spojrzała do góry i zobaczyła błyskawicznie znikające stopy Jacka.

Balustrada okazała się znacznie węższa, kiedy wspięła się na nią, węższa, niż jej się zdawało, kiedy Jack wskakiwał i zeskakiwał z niej. Stała na niej chwiejnie, bolały ją ramiona, jedną rękę oparła dla równowagi o ścianę domu. Wyciągnięte ręce Jacka już na nią czekały. Podała mu pistolet. Chwycił ją mocno i pociągnął. Wierzgnęła nogami, odbiła się stopami od ściany budynku i poderwała z całej siły do góry. Przez cienką nocną koszulę krawędź dachu podrapała jej piersi i brzuch, ale jednym kolaniem była już na górze, a potem wjechała cała noga. Zawadziła o coś stopą, o coś zimnego i metalicznego, co zaczęło się zsuwać. Pistolet! Ale ani ona, ani Jack nie mieli wolnej ręki, żeby go złapać, kiedy spadał z dachu.

O, Boże, stracili ich jedyną broń. Usłyszała, jak uderza o ziemię gdzieś daleko stąd, a potem Jack jeszcze raz ją podciągnął i znalazła się na dachu obok niego. Oparł się na rękach i na kolanach, spojrzał na nią i przytknął palec do ust. Kiwnęła głową i także na czworakach podążyła za nim.

Jeżeli dotąd Deerbaum ich nie usłyszał, to istnieje możliwość, że nie połapie się, gdzie zniknęli. Może, pomyślała z odrobiną nadziei, dojdzie do wniosku, że zeskoczyli na ziemię. Może tam będzie na nich czekać. Podniesiony

poziom adrenaliny sprawił, że nie docierało do niej wiele rzeczy – na przykład, jaki zimny jest wiatr i że przewiewa na wylot jej koszulę i szlafrok. Ani też, jak szczypią ją zadrapania na ciele.

– Przykro mi z powodu pistoletu – szepnęła.

Lekko dotknął jej policzka.

– To nie twoja wina. Nie powinienem go tam kłaść. Poza tym broń ręczna na niewiele się zda wobec potężnego myśliwskiego karabinu.

Ale byłaby lepsza niż nic.

– Co tu się właściwie dzieje, Jack?

– Sam chciałbym wiedzieć. Ja... biegłem ścieżką, gdy usłyszałem Deerbauma i Leah. Zamierzali się do nas podkraść, i nie sądzę, żeby mieli dobre zamiary.

– Ale Amos Deerbaum... czy mógł być w to zamieszany? Mówiłeś, że jest tak bogaty, że...

– Nie wiem. Wiem za to, że postąpiłem jak idiota, przywożąc cię tutaj. Wymanewrował mnie.

– Ale przecież detektyw też uznał, że to dobry pomysł...

Jack zbliżył usta do jej ucha. Jego oddech był ciepły.

– Annie, odłóżmy tę rozmowę na później. Teraz najważniejsze jest to, że Deerbaum jest tutaj, ma karabin i zamierza użyć go przeciwko nam. Skoncentrujmy się na tym, jak stąd uciec.

Rozejrzała się wokół.

– Dokąd? Którędy?

– Tędy – szepnął Jack.

Wciąż na czworakach podpełzli do tej części domu, która przylegała do klifu. Gdy Jack odwrócił głowę i Annie zobaczyła wyraz jego twarzy, dotarło do niej, co zamierza.

Nagle pochylił się do przodu. Annie zapało dech, ale on już przesadził ponad metrową przepaść między dachem i klifem. Tkwił jak pająk na granitowej ścianie. A gdyby nawet znalazł kilka dobrych uchwytów, to co z tego? Czy jej

się to uda? Czy potrafi? Nigdy nie uprawiała wspinaczki bez ubezpieczenia. Zawsze używała haków, lin...

Jack podnosił się na rękach wyżej i wyżej, cały czas wisiał na rękach, podczas gdy stopy szukały, szukały, wreszcie jedna stopa znalazła wyłom, po czym znów sięgnął ręką i szukał kolejnego uchwytu.

Annie podeszła do krawędzi dachu. Pójdzie jego śladem, jeśli da radę. Ciemne ubranie Jacka było słabo widoczne w ciemności, ale jego ręce i twarz na tyle jasne, że mogłaby za nim podążyć.

Nagle z drugiej strony szczytu dachu błysnęło światło. Pełna iluminacja od frontu. Chwała Bogu, światło nie docierało za dom, a więc nie padało na klif, po którym wspinał się Jack.

Również od frontu rozległ się tubalny głos Deerbauma:

– Leah! Do cholery, kobieto, czy obserwowałaś dom? Wydostali się!

Głos Leah nie był na tyle głośny, żeby Annie usłyszała jej odpowiedź, ale także dochodził od strony frontu domu.

Jack zaczął wracać. Gdy prawie dotarł do miejsca, z którego wyruszył, odepchnął się od skały i wylądował na dachu miękko i cicho.

– Znalazłeś jakąś drogę?

– Trochę wyżej jest niezła szczelina, ale ty nie dasz rady posłużyć się uchwytami, których ja się przytrzymałem. Są za bardzo od siebie oddalone. Próbowałem znaleźć inną drogę, ale nic z tego. Przykro mi bardzo.

– Więc idź sam. – Jeżeli ktokolwiek mógł to zrobić, to tylko Jack. Widziała wcześniej jego „wspinanie się ze szczeliną” – bez haków, bez liny, tylko z wykorzystaniem pęknięcia w skale z jednej strony i paru szczerb z drugiej.

– I zostawić tu ciebie? Myślisz, że mógłbym?

– Niżej są jakieś domy. Gdy dojeżdżaliśmy, widziałam

światła, a skoro są światła, są też i ludzie. Możesz wezwać pomoc.

Jack potrząsnął głową.

– Nie ma mowy. Wykluczone. Poza tym, kiedy już wdrapię się na klif, będę musiał szukać takiej drogi, która nie doprowadzi mnie prosto w ramiona Deerbauma. Potem będę musiał wytropić w ciemności jakiś dom, na nieznanym mi terenie... do diabła, bez mapy czy kompasu mogę się nieźle wykierować!

Poczuła ulgę. Rozluźniła mięśnie ramion, chociaż ze strachu wyszło jej w gardle. Nie chciała zostać tu sama. Nie chciała też, żeby Jack został tutaj, gdzie ci ludzie próbują go zabić.

– Deerbaum nawet nie pomyślał o dachu. Nic mi się tutaj nie stanie – zapewniała go szeptem.

– Tak, nic. – Chociaż mówił szeptem, usłyszała coś osobliwego w tonie jego głosu, coś niewiarygodnie czułego. Pomyślała, że się uśmiecha. – Nic ci się nie stanie, Annie. Nie dopuszczę, żeby coś ci się stało.

Z jakiegoś powodu to ostatnie zdanie zatrwożyło ją, a serce mocniej zabiło.

– Ja też nie chcę, żeby ci się cokolwiek stało.

– Wszystko będzie okej. – Schylił się i pocałował ją w usta, a był to łagodny i delikatny pocałunek. – Nie ma drugiej takiej kobiety jak ty, Annie.

– Nie mów tak, jakbyś... – Jakby się żegnał.

– Pamiętasz może, gdzie zostawiłaś komórkę?

A teraz ta nagła zmiana tematu...

– W sypialni. – Powróciło uczucie winy. – Powinnam była ją zabrać... Boże, jestem taka głupia! Przecież niedawno tam byliśmy!

– Ja też nie pomyślałem o tym... Ciii... – Położył palec na ustach. – Nie słyszę ich. Zrobimy tak: najpierw muszę się zorientować, gdzie oni teraz są. Potem, gdy odwrócę ich uwagę, ty...

Chwyliła go za nadgarstki i zapalczywie szepnęła:

– Nie! Wykluczone!

– Posłuchaj. Musisz wrócić do sypialni. To nie będzie łatwe, ale jeżeli odciągnę ich w drugą część domu, trochę ci to pomoże. Znajdź telefon i wybierz 911. Po czym ukryj się dobrze, najlepiej w sypialni. Już ją przeszukał, więc nie powinien ponownie tam zaglądać.

Zaciskała kurczowo palce wokół jego nadgarstków.

– A co ty będziesz robił?

– Spuszczę się z dachu od frontu, to wysokość tylko jednego piętra. Łatwy skok. Postaram się, żeby mnie usłyszeli, ale nie pozwolę podejść do siebie zbyt blisko. Deerbaum lubi polowanie. Lubi tropić zwierzynę. Ruszy za mną. Leah pewnie będzie na zewnątrz, na straży, jak jej kazał, więc lepiej nie pokazuj się i czekaj na pomoc.

– Idę z tobą.

– Nie. Będę wtedy musiał dłużej schodzić.

Miał rację. Miał rację, do cholery!

– Dobrze, zostanę – powiedziała szeptem. – Ale on ma karabin. Nie musi cię zbyt blisko podchodzić.

– Niewielkie ryzyko. Od lasu dzieli mnie tylko dziesięć metrów. Kiedy już znajdę się wśród drzew, nie weźmie mnie tak łatwo na cel. Dziesięć metrów, to prawie nic.

– Ale nie zapominaj, że Leah stoi na czatach, a teren jest oświetlony...

– Ona ma pistolet. Znasz wielu ludzi, którzy z tej odległości trafią z ręcznej broni do ruchomego celu?

– Nie. Wróć na klif. Sprowadź pomoc tamtą drogą.

– Nie zrobię tego, Annie. A ty albo zrób to, o co cię proszę i zadzwoń po pomoc, albo zostań na dachu.

Wyłożył swój plan tak rozsądnie, że... Ale to był szalony pomysł. Chciał uczynić z siebie żywą tarczę. Na myśl o tym, że Jack będzie biegł, klucząc, aby robić uniki przed kulami,

chciało jej się wyć. Wiedziała jednak, że go nie powstrzyma. Niemal niewidocznie kiwnęła głową.

Pogłaskał ją po ramieniu.

– Zlokalizuję Deerbauma i Leah – szepnął. – Dopiero kiedy już będziesz pewna, że odciągnąłem Deerbauma, skocz na balkon. Dopilnuję, żebyś nas usłyszała. Tylko nie rób nic przedwcześnie.

– Jack, uważaj na siebie. Ja... – Musiała to powiedzieć. – Kocham cię.

– Tak – powiedział miękkiem, dziwnym głosem. – Wierzę, że mnie kochasz. – Kiedy wziął w obie dłonie jej twarz, dostrzegła błyszczące w ciemności białka jego oczu. Delikatnie przejechał palcami po jej policzkach. – Gdybym miał więcej czasu... gdybym tylko miał więcej czasu.

Pocałował ją, odwrócił się i bezgłośnie się oddalił.

Boże, pomyślał Jack, próbując wciągnąć powietrze i złapać oddech bez słyszalnego sapania. Kto by pomyślał, że mężczyzna w wieku Deerbauma potrafi poruszać się tak szybko?

Przywarł do pnia drzewa, ciężko dysząc. Jedno ramię zwisało bezużytecznie, a krew ściekała mu na dłoń. Nie sądził jednak, żeby stracił aż tyle krwi, by musiał teraz zwolnić. Jeszcze nie. Na szczęście Leah miała tylko ręczną broń i niezbyt dobrze strzelała. Pewnie przypadkowo trafiła go w ramię. Wiedział, że jest gdzieś blisko, kiedy spuszczał się z dachu.

Jack miał wrażenie, jakby biegł i kluczył co najmniej od godziny, ale chyba upłynął dopiero kwadrans. A to wystarczy, żeby Annie zsunęła się z dachu, wróciła do sypialni, znalazła telefon i zadzwoniła po pomoc. Dopóki on żyje, Annie jest bezpieczna... pod warunkiem, że Leah nie weźmie swojego pistoletu i nie zacznie jej szukać.

Nakazał sobie o tym nie myśleć. Deerbaum stanowi bez

porównania większe zagrożenie. Kiedy Leah strzelała na oślep do Jacka, gdy pędził do lasu, Deerbaum wybiegł zza rogu domu i ryknął na nią, żeby ponownie naładować pistolet, i dopilnować, by „ta kobieta” nie uciekła. Tak więc Leah będzie pilnować domu i nie ruszy się stamtąd.

Miał taką nadzieję.

Ciągnięcie Deerbauma za sobą było łatwiejsze do pomyślenia, niż do wykonania. Nie może za bardzo oddalić się od domu, bowiem Deerbaum mógłby wówczas zawrócić i zająć się Annie. Powinien więc trzymać się w miarę blisko człowieka, który na niego poluje. Deerbaum jest wielki, hałaśliwy i zadufany w sobie, ale jest myśliwym i, kiedy musi, umie poruszać się cicho. Jack już od paru minut nie słyszał go. Może odbiegł za daleko? Zawrócił, stawiając co jakiś czas jeden ostrożny krok. Gdzieś przed nim zaszeleściły krzaki. Trzasnął patyk, przesunęła się gałąź. Nieuważne, ciężkie kroki posuwały się szybko, nie dbając o ciszę. Deerbaum wracał do domu!

Jack szedł za nim, robiąc tyle hałasu, że nie mógł uwierzyć, by go nie słyszał. Na skraju lasu Jack przystanął, ukucnął i obserwował. Co dalej?

– Leah! – zagrział Deerbaum. – Rusz tyłek i wejdź do domu. Chcę, żebyś znalazła śliczną żoneczkę Jacka i sprowadziła mi ją tutaj.

Annie z kolanami pod brodą siedziała na podłodze niedużej szafy, stojącej tuż przy frontowych drzwiach. Wisiała tu dżinsowa kurtka Jacka. Otuliła się nią i próbowała nie poddawać się rozpacz.

Jack. O Boże, Jack.

Słyszała strzały. Jeden po drugim, jeden po drugim. Była na balkonie i omal nie oszalała, ale jakoś musiała się trzymać, żeby wpaść do sypialni i złapać komórkę. Wcisnęła numer i głośnym szeptem powiedziała operatorowi, gdzie

jest, że ktoś próbuje ich zabić, i żeby jak najszybciej przyjechali, po czym zbiegła na dół. Nie mogła zostać w sypialni, nie wiedząc, co dzieje się z Jackiem.

Dopadła frontowych drzwi i przywarła do nich uchem. Cisza. Stała tam przez parę minut, trzęsąc się z wrażenia. Wreszcie doszła do wniosku, że chyba jest dobrze. Gdyby Jack został ciężko ranny albo zabity, czy Deerbaum nie wykrzyknąłby tego na cały głos? Czy on i Leah nie wróciliby do domu, żeby jej szukać? Więc przycupnęła w najbliższej szafie. Chyba nie najlepiej wybrała miejsce na kryjówkę. Wiedziała o tym, ale nie mogła zmusić się, żeby je zmienić. Chciała być jak najbliżej frontowych drzwi, tak jakby to ją przybliżyło do Jacka.

A to co? Podniosła głowę, natężyła słuch. Ktoś coś mówi... Tak, nie ulega wątpliwości, to głos Deerbauma. Po chwili usłyszała, jak otworzyły się frontowe drzwi.

– Sprawdź najpierw górę – wydał polecenie Deerbaum.

– Robi mi się niedobrze od tego twojego wrzasku i od sposobu, w jaki wydajesz rozkazy, obrzucając mnie wyzwiskami – powiedziała Leah. Musiała stać obok szafy, bo Annie bardzo wyraźnie ją słyszała. – A wszystko miało być takie łatwe i proste. Miałam tu przyjechać z tobą, zaczekać, aż ich załatwisz, a potem opowiedzieć moją smutną historię glinom. Nie wyrażałam zgody na całą resztę.

– Nie przejmuj się – uspokajał ją Deerbaum. – Dostaniesz dodatkową pensję za tę pracę.

– To już brzmi lepiej.

– Nie zamykaj drzwi, żebyś mógł cię zawołać w razie potrzeby.

Annie otworzyła usta, żeby jej strwożony oddech nie rozbrzmiewał tak głośno w ciemnej szafie.

Jack nie wiedział, co robić. Deerbaum siedział w fotelu na tarasie, z karabinem gotowym do strzału, a wyglądał tak

spokojnie, jakby się relaksował po ciężkim dniu pracy w biurze.

Jack wycofał się z za drzewa, za którym kuczał, ukazując się na chwilę, i ponownie kucając za innym drzewem. Może jednak uda mu się ponownie wyciągnąć tego drańa do lasu?

Deerbaum wybuchnął krótkim śmiechem, który zabrzmiał jak warkot jakiejś maszyny.

– Nie tym razem, Jack! – zawołał. – Przyznaję, że wyprowadziłeś mnie w pole, ale nie na długo. Nie jestem głupi. Odgadłem, do czego zmierzasz! Chciałeś mnie odciągnąć od domu i od swojej żoneczki, może nie? Więc postanowiłem sobie usiąść i poczekać na nią i... na ciebie.

Co też ten drań wymyślił? Że wyjdzie z za drzewa i da się zastrzelić? Jack zacisnął szczękę. A może? Gdyby w ten sposób zyskał trochę czasu dla Annie, dopóki nie pojawi się policja?

– Wiesz co, Jack, tym razem wygram, bo ty jesteś taki cholernie szlachetny. Gdybyś taki nie był, nie podnosiłbyś takiego rabanu w sprawie paru zakichanych pigułek, które sprzedał Metz. – Potrząsnął głową. – Ten durny palant przysparzał mi samych kłopotów. Podobnie jak ty, ale ciebie lubię. Próbowałem cię ostrzec, ale ta twoja chrzaniona szlachetność nie pozwoliła ci zapomnieć o sprawie. I teraz, z powodu tej samej chrzanionej szlachetności, nie dopuścisz, żeby skrzywdzono twoją śliczną żonkę.

Rozparł się w fotelu.

– Pewnie myślisz sobie teraz: ten sukinsyn i tak ją zabije. Ale ja wcale nie muszę. Przyznaję, że tak byłoby prościej, ale naprawdę nie muszę. Posłuchaj lepiej, co by było, gdybyśmy doszli do porozumienia. Zastrzeliłbym cię... Niestety, ta część planu nie ulega zmianie, Jack. A potem wezwałbym policję. Wersja dla policji byłaby taka: pożyczylem ci mój domek, żebyś mógł odpocząć i spędzić kilka dni

z żoną. Ale ty zachowałeś się jak niegrzeczny chłopiec i zamiast żony sprowadziłeś tu kochankę. To rola Leah.

Jack zamarł. List, który dostała Annie, pisała Leah? Scena z Leah w motelowym pokoju została ukartowana. Leah starająca się upozorować ich romans. Nic dziwnego, że wydała się zachwycona, słysząc, że Fred jest gliną. Byłby idealnym świadkiem w konfrontacji Annie z Leah.

– Twoja żona śledziła cię i dotarła tutaj – ciągnął Deerbaum. – Biedactwo było tak strasznie wytrącone z równowagi, że w szale zazdrości strzeliła... A tak przy okazji, gdzie, do licha, podziąłeś ten twój pieprzony rewolwer? Przydałby mi się teraz. Wiem, że go już nie masz, bo próbowałbyś mnie zastrzelić podczas tej naszej zabawy w ciuciubabkę w lesie. Wielka szkoda. To by mi ułatwiło sprawę...

Jack uśmiechnął się ponuro. Annie strąciła ten rewolwer z dachu. Deerbaum szybko go nie znajdzie.

– Przy czym to ja byłem? A, tak. Twoja żona wpada w szal i zabija ciebie. Wtedy ja się pojawiam. Początkowo planowałem, że to będzie morderstwo, a potem samobójstwo. Biedna żoneczka widzi, co zrobiła, i strzela do siebie. Ale, jak powiedziałem, nie muszę się do tego uciekać, mam bowiem Leah. Ona przysięgnie, że wszystko było tak, jak powiedziałem. Twoja żona... jak jej tam, do licha, na imię... Lainie? Amy? Nieważne! No, więc ona opowie swoją historię, a Leah swoją. Ja potwierdzę wersję Leah. Komu uwierzą?

Annie, pomyślał Jack. Uwierzą Annie. Ponieważ Deerbaum nie wie o pewnych sprawach – o telefonie, jaki wykonała Annie, ani o detektywie, którego Jack zatrudnił.

– Ale jeżeli zmusisz mnie do odszukania i wyciągnięcia z domu twojej biednej żoneczki, opowiem zupełnie inną historię. Taka sama sceneria, ale w tej wersji próbowałeś odebrać jej broń i przypadkowo ją postrzeliłeś. Po czym, miotany wyrzutami sumienia, biegniesz do lasu i strzelasz

do siebie. Tak więc można to rozegrać z nią żywą albo martwą. To zależy od ciebie. Jeżeli tam zostaniesz, Leah w końcu znajdzie twoją żonę i ja zabiję ją na twoich oczach, a potem wytropię cię i także zabiję. Ale jeżeli teraz wyjdiesz, będzie mogła zostać w swojej kryjówce do pojawienia się glin.

Jack mu nie wierzył. Deerbaum nie zamierzał oszczędzić żadnego z nich. Ale gdyby wyszedł z lasu, zanim ten sukinsyn dostanie w swoje łapy Annie, dałby jej odrobinę więcej czasu... Czasami minuty decydują o czymś życiu...

– Zgoda! – zawołał. – Wyjdę, jeżeli Leah przestanie szukać mojej żony.

– Leah! – ryknął Deerbaum. – Zabieraj stamtąd swój tyłek, no, jazda! – Popatrzył w kierunku Jacka. – Twój ruch.

Jack wyszedł z za drzewa.

– Tak naprawdę to nie zamierzasz strzelać do mnie z tego karabinu. Cała twoja opowiadka wzięłaby w łeb.

– Masz rację – odparł grzecznie Deerbaum, wstając i celując w Jacka. – Będę musiał zabić cię w domu, tym tandetnym rewolwerkiem, którym trafiła cię Leah. Nie jest zarejestrowany. Ale jeśli będę musiał, zastrzelę cię i tym, a szczegółową wersję wydarzeń dorobię później.

– Dobrze wiesz, że twój plan się nie uda – powiedział Jack, idąc prosto w stronę lufy karabinu.

Deerbaum wyglądał na rozweselonego.

– Jeżeli twoja wiara w to, że cnota na końcu zatriumfuje, poprawi ci samopoczucie, nie namyślaj się i wal przed siebie.

– Cnocie przyjdzie z pomocą detektyw, którego zatrudniłem. Nazywa się Harold Straight...

– Nie zatrudniłeś Harolda Straighta. Nie stać cię na niego. Myślisz, że nie wiem, ile zarabiasz, ile masz w banku? Jestem biznesmenem, chłopcze. Znam stan twojego konta co do centa.

– Zapłaciłem mu pieniędzmi z nieruchomości po ciotce. Mam pokwitowanie w kieszeni kurtki. Mogę ci pokazać.

Deerebaum zachichotał i wstał.

– Niezły chwyt. A może masz w kurtce na przykład nóż? Lepiej już zostań tam, gdzie jesteś.

Był blisko. Gdyby podszedł jeszcze bliżej, może udałoby mu się zaskoczyć drania? Deerbaum ma sześćdziesiąt lat. Jack jest młodszy, szybszy, silniejszy, nawet jeżeli ma tylko jedną rękę sprawną.

– Wiele osób widziało nas dzisiaj razem... mnie i moją żonę. Jej bracia widzieli, jak wyjeżdżamy, detektyw widział nas w Denver, a dziewczyna, która obsługiwała nas w sklepie spożywczym, widziała nas tuż przed przyjazdem tutaj. Opowieść Leah o przyjechaniu tu razem ze mną natychmiast okaże się wyszana z palca.

Deerbaum skrzywił się i prychnął lekceważąco.

– Bracia zawsze mogą kłamać na korzyść siostry, a ty kłamiesz teraz co do reszty. Blefujesz, Jack. Nie widziałeś się z żadnym chrzanionym detektywem, tak jak nie zatrzymywałeś się w spożywczym. Jak myślisz, dlaczego kazałem zaopatrzyć dom w jedzenie? – Cofnął się o krok. – Jeszcze potrafię planować, Jack. A teraz właśnie planuję, żebyś wszedł do domu jako pierwszy.

Jack poczuł w ustach cierpki smak strachu. Pewność siebie i arogancja Deerbauma nie pozwalają mu przyjmować do wiadomości niczego, co koliduje z jego planem. Gdyby przetrzymał go choćby przez dwadzieścia minut, może, zanim Deerbaum znajdzie Annie, przybędzie policja.

– Ruszaj – powiedział Deerbaum, wskazując drzwi domu lufą karabinu.

Ociągając się, Jack posłuchał go. Deerbaum wszedł za nim i zatrzymał się przy drzwiach, obok szafy na ubrania.

– Stój! – warknął.

Jack odwrócił się, by spojrzeć na niego i w tym momencie

z holu wyłoniła się Leah. Stanęła jak wryta i wytrzeszczyła oczy na Jacka.

– Boże, co za jatka! Nie wiem, po co mnie tu sprowadziłeś. Nie zabiję go. Nie cierpię krwi.

– Masz robić to, za co ci płacę. No dobrze, daj mi ten główniany pistolet. – Deerbaum, wciąż celując w Jacka, przełożył karabin do lewej ręki, prawą zaś wyciągnął po pistolet.

Leah postąpiła do przodu i obchodząc łukiem Jacka, wycelowała mały pistolet w kierunku Deerbauma, ale trzymała go poza zasięgiem jego ręki.

– Powiedz „proszę”.

– Co jest, do diabła...?

– Tylko raz powiedz „proszę”, zamiast warczeć i rozkazywać.

Deerbaum uśmiechnął się, pokazując zęby.

– Proszę, daj mi ten cholerny pistolet, Leah.

– No widzisz? – Włożyła mu go do ręki. – Tak jest lepiej, prawda?

– Prawda. – Wycelował broń w Jacka. – Nie wspominałem ci o jeszcze jednej wersji tej historii, Jack. Twoja żoneczka zastrzeliła także twoją kochankę. – Przesunął lufę o parę centymetrów i strzelił Leah między oczy. Zrobiły się olbrzymie, a jej kolana miękko ugięły się i cicho osunęła się na podłogę.

Strzał niósł się jeszcze echem w uszach Jacka, gdy pistolet powrócił ruchem wahadłowym i Deerbaum wziął go na cel. W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi szafy, uderzając Deerbauma w ramię.

Rozległ się strzał, ale kula zboczyła.

Z szafy wypadła Annie i chwyciła lewą rękę Deerbauma, w której trzymał karabin. Szarpnął ramię i popchnął ją kolbą, jednocześnie mierząc w nią z pistoletu.

– Niece! – zawył Jack, rzucając się w ich stronę.

Znów pistolet wykonał ruch.

Jack usłyszał strzał. Poczł uderzenie w klatkę piersiową, żadnego bólu, tylko silne szarpnięcie. Wiedział, że został trafiony, ale to nie zmniejszyło jego rozpędu. Chwilę później zderzył się z Deerbaumem, zdrową ręką chwytając karabin. Deerbaum zaklął głośno. Obaj zatoczyli się do tyłu, próbując za wszelką cenę nie wypuścić broni z rąk.

Jack nadal nie czuł bólu, ale opuszczały go siły. Zdawało mu się, że słabnie z każdym uderzeniem pulsu, a do tego miał tylko jedną sprawną rękę. Nie będzie w stanie powstrzymać Deerbauma.

Nagle karabin wypalił. Jack dostał – zataczał się, ślizgał po czymś, co, jak mu się mgliście zdawało, było jego krwią, aż upadł na podłogę. Natychmiast poczuł ból – napierający, przeszywający ból, który zaćmiewa myśli i wszystkie odczucia, poza tym jednym, że zawiódł Annie. Nie mógł się ruszać, jedynie, jak przez mgłę, widział wycelowaną w siebie broń i uśmiechniętą twarz mordercy. I wtedy zobaczył drewnianą rączkę parasola, walącą Deerbauma w tył głowy. Zachwiał się, ale nie upadł.

Jack, mrugając oczami, rozproszył ciemność i zobaczył Annie, swoją cudowną Annie, trzymającą parasol jak kij baseballowy. Zamachnęła się przez ramię i znowu nim walnęła, mocno, celując jak na boisku.

Jack usłyszał trzask i zobaczył, jak to drugie uderzenie powaliło Deerbauma. Ugięły się pod nim kolana i runął twarzą do przodu.

– Annie – wyszeptał Jack, zanim potężny słoń usiadł mu na piersiach.

Ona tego dokonała. Jego Annie. Teraz już będzie bezpieczna. Spłynęło na niego słodkie i błogie uczucie spokoju.

Rozdział czternasty

Jack nie pamiętał, jak znalazł się w szpitalu, ani prawie nic z dwudziestu czterech godzin po operacji. Zapamiętał tylko błysk świateł karetki pogotowia w drodze do Denver... Męski głos. Igłę w ramieniu. Dłoń Annie. Słowa, które powiedział... a może tylko myślał, że wypowiada je na głos.

Dwa dni po operacji przeniesiono go z oddziału intensywnej terapii na oddział chirurgii. Próbował przekonać Annie, żeby go zostawiła i przespała całą noc, ale ustąpiła dopiero, gdy Ben siłą usunął ją ze szpitala.

Była już jedenasta, gdy przyszła go odwiedzić następnego ranka.

– Dzień dobry – powiedziała cichutko od progu.

Wyglądała pięknie i była wypoczęta, zauważył z zadowoleniem. W ręku trzymała torbę.

– Przeszmuglowałaś mi coś prawdziwego do jedzenia?

– Oczywiście, że nie. – Podeszła, stanęła obok łóżka i wzięła go za rękę. – Lekarz chce, żebyś pozostał na płynnej diecie jeszcze przez co najmniej jeden dzień.

– Zdrajczyńni – powiedział, krzywiąc się.

– Za to przyniosłam ci parę spodni od piżamy.

Jackowi nie podobało się szpitalne ubranie, które pielęgniarka chciała mu na siłę włożyć, gdy wczoraj przenieśli go do tej sali. Tak bardzo mu się nie podobało,

że w tej chwili, pod prześcieradłem, nie miał na sobie nic, oprócz bandaży.

– Przyniosłam też gazetę – powiedziała Annie. – Deerbaum zaczął mówić, więc historia trafiła na pierwszą stronę. – Podała mu gazetę.

Wziął ją, ale nie zajął do niej od razu.

– Ilekroć budziłem się w nocy, widziałem Bena siedzącego w fotelu i patrzącego na mnie spode łba.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To by pasowało do Bena.

– Domyślam się, że postawiłaś mu warunek. Pojedziesz się przespać, jeśli on będzie przy mnie czuwał.

– Rzeczywiście potrzebowałam snu – przyznała. – Ale Ben został tu, ponieważ sam tego chciał. Doglądał ciebie. Wiesz, jak się zachowuje wobec całej rodziny. Wszyscy jesteśmy jego kaczątkami, które nie mogą się obejść bez jego opiekuńczych skrzydeł.

Jack zaczynał rozumieć, co czuła Annie wobec nadopiekuńczości swojego dużego brata. Dlaczego tak ją to irytowało, i dlaczego, mimo wszystko, to znosiła.

– Chyba nie mogę się uskarżać.

– Chyba nie. Sama nigdy nie przypuszczałam, że będę zadowolona z nawyku Bena pilnowania nas na każdym kroku.

Szeryf zajechał przed front domu Deerbauma już w kilka minut po strzelaninie – szybciej, niż należało się go spodziewać. Później powiedział Annie, dlaczego dotarł tak szybko. Gdy Annie nie zatelefonowała, by powiadomić Bena, że bezpiecznie dojechali, i gdy Ben nie mógł się dodzwonić na jej komórkę, zadzwonił do szeryfa. Tak długo nudził i naprzykrzał się, że szeryf, acz niechętnie, zgodził się tam pojechać, przekonany w pełni, że z powodu nieustępliwości nadopiekuńczego krewnego zakłóci tylko prywatność dwojga ludzi. W połowie drogi do chaty otrzymał informację

o telefonie Annie. Włączył syrenę i wezwał przez radio dodatkowe siły i karetkę pogotowia. Gdyby tego nie zrobił, Jack prawdopodobnie już by nie żył.

Zerknął teraz na gazetę i z zainteresowaniem zaczął przebiegać wzrokiem artykuł. Skrzywił się.

– Czy Deerbaum ma w tym jakiś interes? Ścierwo gada wszystko. Wyobrażam sobie miny jego kontrahentów! No, no! Sędzia okręgowy obiecał nie wszczynać postępowania o usiłowanie zabójstwa, natomiast zamierza skazać Deerbauma na dożywocie za zabicie Leah...

Jack czytał dalej. Tak jak przypuszczał detektyw Harold Straight, motywem działania Deerbauma były pieniądze. Ale nie parę tysięcy, jakie Metz dostał za sprzedanie leków przeznaczonych dla kliniki. Deerbauma interesowały miliony dolarów.

Wszedł w porozumienie z mafią i dogadał się z kilkoma ważnymi ludźmi ze świata przestępczego, żeby wykorzystując MPRB, przywozić i wywozić lekarstwa do wielu państw. W ciągu ostatniego roku przez regionalne biura MPRB przeszło dwukrotnie więcej przesyłek, niż powinno. Jako dyrektor, Deerbaum doskonale znał system i wiedział, jak ukryć informacje o dodatkowych przesyłkach; jego częste wizyty w regionalnych biurach stwarzały mu po temu idealną okazję. Rola Leah polegała na zamianie danych przychodzących do głównego biura. Deerbaum znał system prawie równie dobrze jak Herbie, znał też hasła, niezbędne do uzyskania dostępu do programów. Potrzebował tylko osoby mającej dostęp do bazy danych, która będzie robiła to, co jej każe – kogoś bardzo zainteresowanego pieniędzmi i bez moralnych skrupułów. Metz był pomocnikiem Deerbauma. Organizował fałszywy towar.

Proceder mógł trwać latami, gdyby nie pazerność Metza, który na własną rękę postanowił sprzedawać pewną część

lekarstw przeznaczonych do klinik. Nie ulega wątpliwości, że Deerbaum przyczynił się do śmierci Metza, ale sędzia okręgowy uważa, że nie będzie można tego dowieść. Zdaniem sędziego, najwięcej zasług w całej sprawie ma Jacek Merriman, który uparcie szukał winnego, narażając własne życie.

Jack skończył czytać artykuł i zde gustowany rzucił gazetę na podłogę.

– Ten głupi dziennikarz kreuje mnie na bohatera. Cytuje nawet słowa Herbiego, który podobno mówił mi o moim „oddaniu ideałom, które przyświecają MPRB”.

Uśmiechnęła się, rozbawiona.

– No cóż, jesteś bohaterem. Nawet Herbie to dostrzegł.

– Biedny Herbie. Próbuje w tym wszystkim znaleźć coś pozytywnego. Wie dobrze, że ta sprawa nie przysłuży się, a wręcz zaszkodzi wizerunkowi firmy... Miałem rano telefon od jednego z członków zarządu.

– Już?

– Zarząd zwołuje zebranie w trybie nadzwyczajnym. Chcą, żebym pełnił obowiązki dyrektora. – Przesunął się odrobinę. Cholerna klatka. Boli. – To byłby ten pozytywny element. Jestem tym facetem, który jako jedyny odkrył oszustwo, a więc powierzenie mi tej funkcji miałyby być rękojmnią wiarygodności firmy... dla klientów i dla potencjalnych sponsorów.

Milczała przez chwilę.

– Wiem, że nie lubisz pracy biurowej, Jack, ale przez jakiś czas będziesz rekonwalescentem, więc i tak nie mógłbyś wyjechać w teren. Rozumiem, że praca, którą ci proponują, miałaby charakter przejściowy.

– Herbie napomknął, że mogłaby być stała, gdyby sprawy potoczyły się... gdybym chciał.

Zmarszczyła brwi.

– Mówisz tak, jakbyś rozważał taką możliwość.

– Większą część czasu spędzałbym w Denver. Wiem, że nie lubisz wielkiego miasta, ale byłabyś blisko Highpoint i swojej rodziny. A ja bym nadal od czasu do czasu podróżował.

– Jack. – Wyciągnęła do niego rękę. – Nie.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

– Kochasz to, co robisz. Nie chcę, żebyś zrezygnował z tego dla mnie.

– Ty kochasz Highpoint.

– Nie tak bardzo jak ciebie.

Powiedziała to tak lekko i naturalnie. Tym razem, kiedy usłyszał te słowa, nie chciał uciekać. Zrobiło mu się ciepło, poczuł się szczęśliwy i ścisnęło go w gardle.

– Nie zasługuję na ciebie ani na twoją miłość. Po tamtym wieczorze, kiedy uciekłem, masz prawo wątpić, czy na pewno chcesz zostać ze mną. Ale...

– Zostaję z tobą, Jack.

Poczuł, jak te słowa przenikają weń głęboko, jak obietnica, na której może na pewno polegać.

– Zrobię dla ciebie wszystko, Annie. Zmiana pracy nie będzie takim wielkim poświęceniem. Ja, hm... – Nie znajdował słów. Jego gardło... gdzie tam gardło, do licha, jego całe ciało stawiało opór, a serce biło tak szybko, jak wtedy, kiedy walczył z Deerbaumem. – Jest coś, co chcę ci powiedzieć. Coś ważnego. Pomyślałem, że...

– Nie musisz tego mówić. Wiem, że mnie kochasz.

Zamrugnął oczami.

– Wiesz?

Uśmiechnęła się czule.

– Doszłam do tego powoli. Nie przyglądałam się uważnie. Tak bardzo przyczepiłam się do słów, że nie słyszałam tego wszystkiego, co mi powiedziałeś bez słów. Ożeniłeś się ze mną. Wróciłeś po mnie, kiedy jeszcze czuleś się zraniony i zły, i nie wiedziałeś,

czy mnie pocałować, czy nawrzeszczyć na mnie, więc zrobiłeś jedno i drugie. Przedłożyłeś moje bezpieczeństwo nad swoje, ciągle to robiłeś. I kochałeś się ze mną tak, że... – Jej uśmiech zamienił się w figlarny. – Powinnam to już wtedy wiedzieć, ale nie wiedziałam. Dopóki nie zobaczyłam, jak rzucasz się na Deerbauma. Byłeś gotów oddać życie, żeby ocalić moje... och, Jack... – Łzy napłynęły jej do oczu. – Nie wiem, czym innym mogłeś się kierować, jeżeli nie miłością.

– To... prawda. Chyba tak to jest, że... – Bolała go pierś, ale nie dlatego plątał mu się język. Sprawiał to inny ból, znacznie bardziej zadawniony, który nosił w sobie od lat. Wziął głęboki oddech. – Annie, miałas rację. Słowa naprawdę wiele znaczą.

To z powodu słów, których nie powiedział ciotce, i tych, których ona nigdy nie powiedziała jemu, było mu teraz tak trudno. Miał złe doświadczenia. Miłość w jego mniemaniu zawsze szła w parze z utratą kochanej osoby. Bał się, że wypowiedzenie tych słów oznaczałoby utratę Annie. Powiedziała jednak, że zostaje. I uwierzył jej.

– Wydaje mi się... czy chcesz je usłyszeć, czy nie, ale ja chyba muszę je powiedzieć.

– Okej. – Czekala.

Serce mu waliło.

– Kocham cię, Annie.

– Och, Jack. I ja ciebie kocham. Chyba zawsze cię kochałam. A jeżeli nie pocałuję cię natychmiast, mogę eksplodować.

Jej wargi były ciepłe i uważne. Smakowała jak kawa i poranek, i te wszystkie słodkie rzeczy, które zaczną robić razem, gdy tylko on wyzdrowieje.

Kiedy się odsunęła, powiedział z wahaniem:

– Nie rozumiem... Zawsze czułem się dobrze przy tobie, a to uczucie pogłębiało się z czasem, ale nie

wiedziałem, co to znaczy. Przy tobie wszystko staje się bardziej realne. Kolory są żywsze i rzeczy znaczą więcej. Czuję się bardziej sobą. Czy to, co mówię, ma sens?

– Jak najbardziej. – Poglaskała go po policzku. – Przy tobie ja też czuję się bardziej sobą.

– Jesteś pewna, że nie miałabyś nic przeciwko podróżowaniu razem ze mną?

– Jestem pewna. Chcę zobaczyć niektóre z tych egzotycznych miejsc osobiście.

– Tak się zastanawiałem... pamiętasz, co powiedziałaś tamtego wieczoru? Że zapomniałem o kondomie?

Przygryzła wargę i pokiwała głową.

– Myślisz, że możesz być w ciąży?

– Możliwe. Kto wie?

– Jeżeli jesteś, to albo załatwię przeniesienie do głównego biura, albo odejdę.

– Jack...

– Posłuchaj mnie. Chciałbym jeszcze przez wiele lat podróżować dzięki mojej pracy. Chcę cię zabierać wszędzie, gdziekolwiek pojedę. Myślę, że ty także to polubisz. Możesz uczyć, a ja mogę budować. Ale gdy będziemy mieli dzieci, nie zostawię ich pod opieką kogoś innego.

Przytaknęła kiwnięciem głowy, a w jej oczach malowała się miłość.

– A jeżeli nie jestem jeszcze w ciąży? Chcesz mieć dzieci, Jack?

– Oczywiście, że chcę. – Nie myślał o ojcostwie, ale teraz, kiedy o to zapytała, zrozumiał, że zawsze chciał mieć dzieci. Z Annie. Uśmiechnął się i dodał: – Gdybyśmy jednak mogli poczekać parę lat z założeniem rodziny, byłoby dobrze. Miałbym czas, aby nabrać wprawy w mówieniu o tym...

– O czym? – Tak naprawdę nie musiała wcale pytać. Po jej uśmiechniętej twarzy widział, że wie.

Jeszcze nigdy w życiu Jack nie czuł się taki szczęśliwy i wolny. Tym razem powiedział to bez wysiłku, bez obawy.

– O tym, jak bardzo cię kocham, Annie.